

Prof. Michał Śliwa
Co zostało po PPS?

Niewyjaśnione zabójstwo
Jolanty Brzeskiej

Kazirodztwo we Francji
– w każdej klasie trzy ofiary

Zdalna nauka
– efekt piżamy

Tylko tak możemy się obronić

POLSKA MUSI MIEĆ FABRYKĘ SZCZEPIONEK



Fabryka szwajcarskiego
koncernu biotechnologicznego
Lonza w miejscowości Visp

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311102

STODOLA

more
than
live
music

KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERTY



L P
4 O

PREMIERA PŁYTY

13.03.2021

KLUB STODOŁA / WARSZAWA

SOLD OUT

14.03.2021

KLUB STODOŁA / WARSZAWA

DRUGI KONCERT

rockhouse[★]
ENTERTAINMENT

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL, WWW.TICKETCLUB.PL



Gdy mówią o historii, zawsze kłamią

Spadkobiercy szmalcowników, kolaborantów i bandytów mordujących i okradających Polaków, Żydów, Rosjan, Słowaków i kogo tylko się dało piszą swoją wersję historii. Jaką? Widzimy i słyszymy. Corocznego gloryfikowania „żołnierzy wyklętych” przez znanych z prawdomówności polityków prawicy nie mącą fakty. Odświeżaniu kolejnych tablic pamiątkowych towarzyszą peany niezłomnego prezydenta na cześć niezłomnych „wyklętych”. I opowieści Morawieckiego o bohaterskich czynach własnej rodziny.

Ci dwaj, gdy mówią o historii, zawsze kłamią. Duda potrafił powiedzieć, że w każdym polskim lesie byli po wojnie „prawdziwi patrioci”. Prezydent udaje, że nie wie, że ofiarami tych „patriotów” byli wiejscy nauczyciele, geodeci dzielący ziemię między bezrolnych chłopów, sołtysi, kobiety i dzieci. Wychwala „wyklętych”, a w pogardzie ma miliony Polaków, którzy odbudowali kraj z ruin.

Z rąk „wyklętych” zginęły po wojnie 5143 osoby. Co powinno zmuszać każdego człowieka, a nawet polityka, do głębszej refleksji. Bo przecież jeśli są ofiary, to muszą też być sprawcy. Jak można pogodzić wiedzę o brutalnej

śmierci 187 dzieci w wieku do 14 lat ze składaniem hołdu ich mordercom? Znałe są miejsca, gdzie dochodziło do zbrodni. Ofiary mają imiona i nazwiska. Niestety, nie mają nawet skromnych tabliczek na murze ani kamienia na polu czy w lesie, gdzie dopadła je śmierć.

Słowa wygłaszane 1 marca są zamierzoną manifestacją. Niemądrą. Ideologicznie zacietrzewioną. Kłamstwem kwestionującym nawet ich, IPN-owskie, opracowania. A pomysł, by nominacje generalskie powiązać z „żołnierzami wyklętymi”, jest głupotą upokarzającą tych oficerów.

Kiedy PiS czciło swoich bohaterów: „Ognia”, „Burego”, „Łupaszkę”, „Bohuna” i innych, bandytów mających na sumieniu wiele cywilnych ofiar, w tym kobiety i dzieci, to rodziny zamordowanych opłakiwały swoich krewnych.

Nie pamiętam, by był w PiS choć jeden sprawiedliwy, który pochylił się nad cierpieniami tych ludzi. Politycy weszli w rolę spadkobierców „wyklętych”, a nie ich ofiar. Jednym tchem wymieniają postacie tak skrajnie różne jak „Bury”, „Łupaszka” i „Ogień” oraz gen. August Fieldorf „Nil” czy rtm. Witold Pilecki. Przecież to oczywista paranoja. I plugawienie pamięci faktycznych bohaterów.



CYTATY

PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO,

były wicepremier

Gorbaczow pomylił się niczym Kolumb.

O co innego mu chodziło, a co innego z tego później wyniknęło.

„Rzeczpospolita”

ED WONG,

amerykański popularyzator nauki

Wirus tysięcy razy mniejszy od kurzu

powalił najpotężniejsze państwo świata

„Forum”

BAKOWSKI



**NIE KUPUJ KOTA
W WORKU** 
**Sprawdź, jak wygląda
e-wydanie PRZEGLĄDU**

Kliknij baner na 
www.tygodnikprzeglad.pl

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Polska musi mieć fabrykę szczepionek**
Tylko tak będziemy mogli się obronić
- 11 Zdalna nauka jak więzienna izolatka**
Siada psychika nastolatków
- 14 Coraz ciszej nad tą śmiercią**
Niewyjaśnione zabójstwo
Jolanty Brzeskiej

HISTORIA

- 18 PPS – mit, który wraca**
– rozmowa z prof. Michałem Śliwą

ZAGRANICA

- 22 Dzieciństwo w żałobie**
Korespondencja z Francji
- 26 Szczepienia czynią wolnym**
Brytyjska polonia podzielona
- 29 Słowacki rząd chwije się przez covid**
Punktem zapalnym rosyjskie szczepionki
- 32 Opróżnianie magazynków**
Co z posiadaniem broni w USA
- 34 Prawdziwy koszt sprzeciwu**
Aktywiści w Arabii Saudyjskiej

OPINIE

- 38 Małgorzata Żuber-Zielicz**
Godziny pożądania
- 41 Leon Podkaminer**
Gdyby nie Kołodko

KULTURA

- 42 Latarnie Kieślowskiego**
W 25. rocznicę śmierci
- 46 Pisarki portret intymny**
– rozmowa z Mirą Marcinów
- 48 Laleczka, bojowniczką, gimnastyczką**
Jane Fonda odbiera premię za całokształt
- 50 Kulturalia**
- 66 Nieładnie**

OBSERWACJE

- 52 Marcowy sabat**
Patriarchat boi się czarownicy

NAUKA

- 54 Niesamowita panorama**
Czerwonej Planety

SPORT

- 56 Nie potrzebuję specjalnych praw**
– rozmowa z Danielem Pietrasem

EKOLOGIA

- 58 Ściśnięci jak sardynki**
Inteligencja ryb

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Gdy mówią o historii, zawsze kłamią
- 25 Roman Kurkiewicz**
Chcę, mogłem, nie zaszczepiłem się
- 37 Tomasz Jastrun**
Czas żniw
- 45 Wojciech Kuczek**
Obsceniczni mistrzowie
- 51 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Ość w gardle, dycha na chodniku

11
KRAJ



ZDALNA NAUKA JAK WIĘZIENNA IZOLATKA

Siada psychika nastolatków



34
ZAGRANICA

PRAWDZIWIY KOSZT SPRZECIWU

Aktywiści w Arabii Saudyjskiej

46
KULTURA



PISARKI PORTRET INTYMNY

– rozmowa z Mirą Marcinów

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. LONZA LTD





✉ Legendarna armia

Gdyby Tomasz Greniuch korzystał w swoich badaniach „naukowych” z moich wspomnień z lat powojennych jako źródła informacji, mam nadzieję, że nie powstałaby jego rozprawa doktorska zatytułowana „Chrystus za nas, my za Chrystusa”.

W maju 1945 r. moja rodzina zamieszkała w Czechowicach-Dziedzicach (wówczas były to oddzielne miejscowości) przy Rynku nr 1, w domu Mikołajczyków (rodziców późniejszego dziennikarza Edwarda). Nie było tu jeszcze polskiej szkoły, gdy syn Mieczysława Łaszczuka, zamordowanego przez hitlerowców harcmistrza, organizował drużynę harcerską, do której od razu wstąpiłem. Jedynym zadaniem drużyny było wówczas maszerowanie w niedzielę do kościoła na mszę. (...)

Jako harcerz co kilka tygodni otrzymywałem z miejscowej komendy milicji „wezwanie” do udziału w uroczystym pogrzebie kolejnego zamordowanego milicjanta lub działacza politycznego. Byli to mało ważni ludzie, rangi gminnej, chyba nigdy powiatowej. „Wezwania” na pogrzeb podpisywał sam komendant – początkowo Zimmermann, później Zamorski (nie wiedziałem, że to ta sama osoba), co mi bardzo pochlebiało. (...)

Pewnego razu nasza drużyna spotkała się na cmentarzu z bardzo liczną delegacją górników kopalni Silesia w Dziedzicach. Chowano wtedy przewodniczącego rady zakładowej tej kopalni Józefa Szczotkę i jego żonę, zamordowanych przy użyciu granatu. W tej delegacji był mój ojciec. Znany mi jako twardy

górnik, zadziwił mnie swoim poruszeniem śmiercią szefa rady zakładowej. Opowiadał mi o jego zapobiegliwości w sprawach bytowych górników, w tamtym czasie niemal dramatycznych.

Mam nadzieję, że gdyby bohaterowie Greniucha wiedzieli, kogo mordują, nie daliby temu „naukowcowi” pretekstu do stworzenia tak podniosłego hymnu: „Legendarna armia Podziemnej Polski, w której tysiące chłopców i dziewcząt w swej młodości i entuzjazmie, zapalonych idealizmem i wiarą, szły do walki, a tarcze ryngrafów z Matką Bożą chroniły ich młode piersi przed wrogą kulą”. A prezydent Andrzej Duda nie mógłby mianować pośmiertnie majorem i odznaczyć Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski dowódcy tej „legendarnej armii” z powiatu bielskiego, Henryka Flamego.

Tadeusz Kucharski

f Zapis TVN na PRZEGLĄD

TVN, Polsat... to nie są media wolne, ale prywatno-biznesowe. Nie są wolne od presji oglądalności, chęci zysku, a więc dostosowują ofertę do masowego odbiorcy i jego poziomu. W tym są rzeczywiście wolne. Część czerpie zyski z reklam, raczej niemałe, ale za dostęp do atrakcyjnych treści zwykły odbiorca musi zapłacić – zewsząd ma być dochód. Trudno dopatrywać się w tym wszystkim wolności – to jest biznes i tyle. Być może wolnych mediów w ogóle nie ma?

Piotr Krzeszewski



ZDJĘCIE TYGODNIA



Pielgrzymka chasydów na grób cadyka Dawida Bidermana w Lelowie. Żydzi z całego świata co roku przez kilka dni modlą się, tańczą i śpiewają. Autor zdjęcia, Jakub Porzycki, został nominowany do tytułu Fotoreportera Roku i nagrodzony w kategorii Kultura i obyczaj w konkursie Stowarzyszenia Fotoreporterów.

257,6 mld zł, czyli 57,9 mld euro, dostanie Polska z budżetu UE na wsparcie gospodarki w ramach Krajowego Planu Odbudowy.

Elżbieta Podleśna, Anna Prus i Joanna Gzyra-Iskandar, które w 2019 r. rozlepiły wokół kościoła w Płocku wlepki z Matką Boską w tęczowej aureoli, zostały w pierwszej instancji uniewinnione.

Sędzia Igor Tuleya ma immunitet sędziowski i cały czas może orzekać. Tak uznał Sąd Apelacyjny w Warszawie w składzie sędzia Marzanna Piekarska-Drażek, przewodnicząca, oraz Dorota Tyrafa i Przemysław Filipkowski.

Ponad 400 tys. egzemplarzy „Wiedźmina” Andrzeja Sapkowskiego sprzedano w zeszłym roku w Rosji.

Poznańskie Laboratorium Radiowęglowe określiło datę budowy jednej z prawdopodobnych rezydencji Mieszka I na lata 936-985. Palatium miało charakter pałacowo-sakralny.

Jagoda Grondecka została laureatką nagrody medialnej Pióro Nadziei przyznawanej przez Amnesty International za działania na rzecz praw człowieka.

Lubiatowo i Żarnowiec to lokalizacje rozpatrywane w związku z budową pierwszej polskiej elektrowni atomowej. A wystarczyło kontynuować prace nad planowaną już w latach 70. elektrownią w Żarnowcu.

30% najbardziej zanieczyszczonych miast w Europie znajduje się w Polsce.

Po pięciu latach od decyzji o powołaniu Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL na Rakowieckiej realne są tylko koszty. Na płace idzie co roku 700 tys. zł, a na utrzymanie tego niebytu w 2020 r. poszło 2,2 mln zł. W tym roku będzie to prawie 7 mln zł.

W 2018 r. 36% osób w wieku 25-34 lata mieszkało z rodzicami. Więcej mężczyzn (43%) niż kobiet (29%). Chyba nikt nie powie, że teraz jest lepiej?

Piotr Schab, prezes Sądu Okręgowego w Warszawie, odmówił przywrócenia sędziego Tulei do orzekania. Nie, bo nie – i co mu zrobicie?

Tomasz Duklanowski, autor licznych ataków na marszałka Senatu w TVP i TVP Info, zasłużył na duży awans. Z reportera na zastępcę redaktora naczelnego Radia Szczecin.

Polska Fundacja Narodowa sfinansowała film o 11-letnim Mateuszku (Morawieckim), który obalił „imperium złą” i wyrósł na świetnego przywódcę. Za ten kuriozalny wygłup zapłacili polscy podatnicy.

Mamy 580 samochodów na 1000 mieszkańców, ale 30% ma ponad 20 lat, a 73% powyżej 10 lat.

PRZEBŁYSKI

Duńczyk o Macierewiczu

Co się dzieje? Kto by się spodziewał, że tygodnik braci Karnowskich „Sieci” tak potraktuje Antoniego Macierewicza? Zwłaszcza że Macierewicz ma do dyspozycji „Gazetę Polską” i może się odwinąć. Nie bacząc na to, „Sieci” opublikowały niezwykle krótką wypowiedź Jorgensena. A to przecież nie byłoby zwykłą podkomisjszą badającą katastrofę – dużo ważniejsze – jest mężem reżyserskim zamachu na samolot.

Co mówi Jorgensen? Że Macierewiczowi brakuje kompetencji, że doprowadza sprawy do absurdu. Że komunikaty, które wygłasza, są najeżone błędami i wręcz niezgodne z prawdą. Że Macierewicz tworzy wrogów, miesza rzeczy istotne z błędnymi, oszukuje partnerów itd. Uf! Toż to obraz intrygantą i patologicznego kłamcy.



Z kamerą przez życie

Skoro transmisja ze ślubu Jacka Kur-
skiego z Joanną Klimek była w „Wi-
domościach”, to pewnie przyjsie na
świat ich córki też zostanie pokazane.
A później chrzest i kolejne etapy. Aż do
momentu, gdy prezes TVP przejdzie do
korpusu byłych przesów.

Cieszymy się więc tym, co widzimy. Czyli piękną, bo dojrzałą miłością. Pan Jacek, lat 55 i troje dzieci, i pani Joanna, lat 48 i dwóci synów, nie są debiutantami. Wręcz odwrotnie. Drugi ślub kościelny rozwodników w Łagiewnikach to ewenement. Nawet jak na elastyczność polskiego Kościoła. Niełatwo będzie to przebić. Chyba że namówią prezesa Kaczyńskiego, by wszedł do rodziny i został ojcem chrzestnym córki. Transmisja murowana.



Dyrdymały Kalety

Jak ten czas leci. Pięć lat minęło od obiecanek dojrzałej zmiany, że ustawą zakończy reprivatyzacyjną przestępczą reprivatyzację kamienic. W ustawę nikt już nie wierzy. Gangsterka ciągle górą. Przybyło niestety ofiar, które potraciły mieszkania. Tylko obywatelstwo porobiło kariery. Pstryk! Jakiś europejczyk kosi euro.

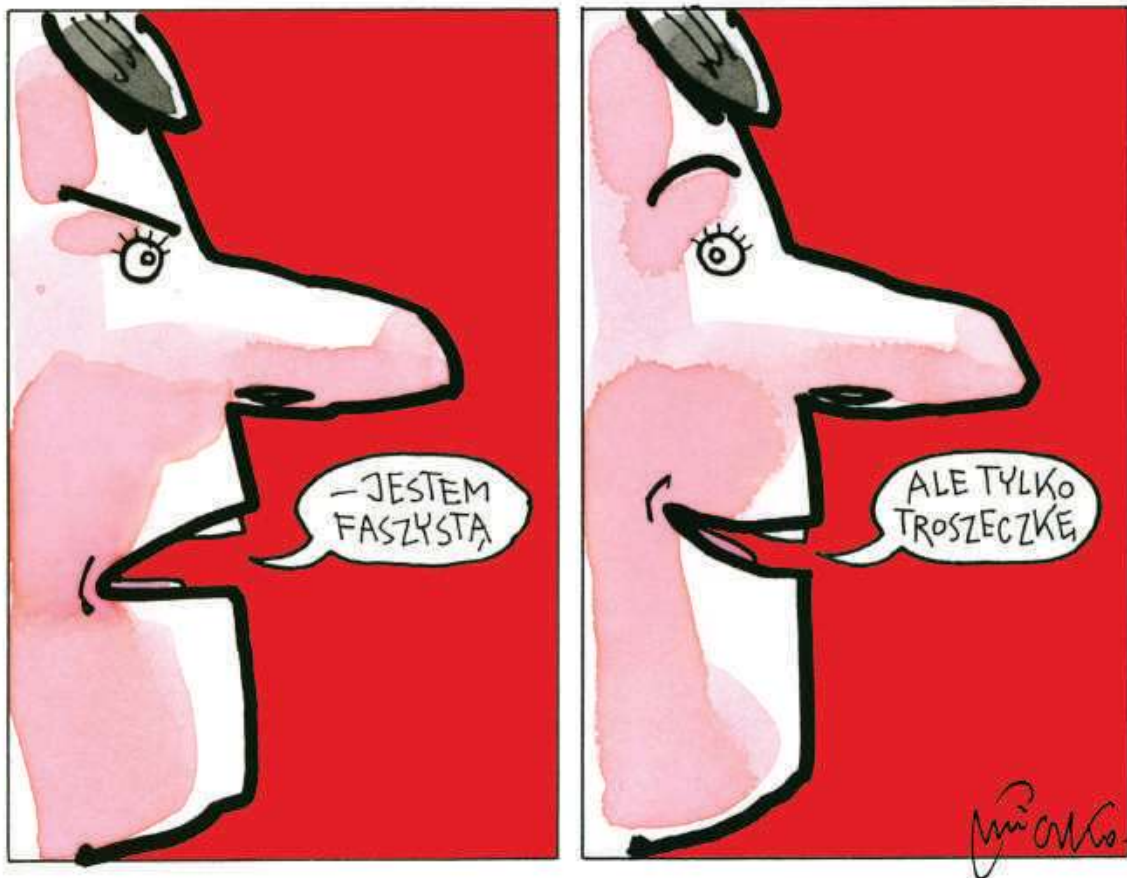
A jego następca, Sebastian Kaleta, kosi jako przewodniczący komisji ds. reprivatyzacji nieruchomości warszawskich. I jako wiceminister sprawiedliwości. Jako poseł od Ziobry też. I co za to wszystko dostajemy? Hucpiarskie dyrdymały. Bo nawet taki Kaleta musi rozumieć, że bez ustawy jego opowieści to kłamiwa propaganda.



Plus na zero

Nasz czytelnik, który pożegnał się z siecią Plus, bo mu chcieli wcisnąć w ramach premii za wieloletnią wierność nowy telefon droższy niż na Allegro, dostał przesyłkę z Polkomtela. Wypasiona koperta i faktury. Zdziwił się, bo wszystko zapłacił. Ale jeszcze bardziej zdziwiła go kwota na fakturze. Do 04.03.2021 ma zapłacić 0,00. Biedne lasy. Biedna poczta. I biedny pracownik/pracowniczka Polkomtela, który(a) tak się nabiedził(a).

Rozliczenie konta		
Kwota bieżącego rachunku płatna do 04.03.2025		0,00
Saldo konta po wystawieniu bieżącego rachunku		0,00



PYTANIE TYGODNIA

Czy Polacy powinni mieć prawo wyboru rodzaju szczepionki na COVID-19?

DR GRAŻYNA CHOLEWIŃSKA,
*mazowiecki konsultant wojewódzki
w dziedzinie chorób zakaźnych*

Nie znam kraju w Europie, w którym pacjent może wybrać, jakim preparatem na wspomnianą chorobę chce zostać zaszczepiony. Rozważania na temat takiej możliwości nie mają sensu, bo dostęp do tych szczepionek determinują ogólnie systemy ich dystrybucji i moce przerobowe producentów. Poza tym mówimy o narodowym programie, w ramach którego państwo, zgodnie z możliwościami, mimo dramatycznych niedoborów na rynku zdobywa i finansuje obywatelom profilaktykę zdrowotną. W tej sytuacji można się zaszczepić albo nie zaszczepić, ale nie ma co kapryścić. Kontekst jest bowiem zupełnie inny niż w przypadku tzw. szczepień zalecanych, gdzie dostępnych jest po kilka płatnych preparatów. I wówczas tłumaczymy pacjentowi czy rodzicowi dziecka, że np. szczepionka A zabezpiecza od razu przed kilkoma chorobami, ale jest znacznie droższa od B – i niech sam podejmie decyzję.

DR HAB. DOROTA KARKOWSKA,
Fundacja Ius Medicinæ, kancelaria Karkowska & Orzechowska

Pacjent powinien mieć zagwarantowaną realizację prawa do informacji o następstwach zastosowania u niego wyrobu medycznego czy produktu leczniczego – wypływa to z jego prawa do bezpieczeństwa, do poszanowania godności i innych podstawowych praw obywatelskich. Abyśmy mogli podejmować świadome decyzje, powinno nam się jasno tłumaczyć, jakie są różnice w składzie szczepionki Pfizera i firmy AstraZeneca, dlaczego

w przypadku tej drugiej częściej zdarzają się reakcje alergiczne itd. Medycy uspokajają, że wedle ich obecnej wiedzy obie są bezpieczne, ale trzeba tłumaczyć, dlaczego są bezpieczne, by pacjenci wiedzieli, co dostaje się do ich organizmu. W przestrzeni publicznej brakuje takich informacji. Być może decydenci uznali, że sama konieczność powszechnych szczepień dla wspólnego dobra zwalnia z obowiązku informowania, co zawiera szczepionka i jak działa. A przecież brak rzetelnych i przekazanych zrozumiale informacji to woda na młyn twórców teorii spiskowych. Ja mogłam się zwrócić do osoby o odpowiedniej wiedzy, ale nie każdy ma takie szczęście. Dopiero gdy wysłuchałam wyjaśnień, moje lęki opadły i poddałam się szczepieniu, do którego byłam uprawniona jako przedstawicielka zawodu medycznego.

DR MAGDALENA KOZELA,
*Instytut Zdrowia Publicznego,
Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego*

Docelowo pacjenci powinni mieć możliwość wyboru, tak jak w przypadku szczepień na inne choroby. Jednak na froncie walki z epidemią, kiedy zależy nam, aby jak najszybciej uodpornić jak najwięcej osób, trzeba szczepić tym, co jest. Oczywiście nie oznacza to dowolnych preparatów, jedynie te, których bezpieczeństwo i skuteczność zostały potwierdzone w wiarygodnych badaniach naukowych i mają akceptację Europejskiej Agencji Leków. Wybór zostawmy na czas, kiedy sytuację uda się opanować – obecnie większą wartością jest dążenie do odporności zbiorowiskowej. Walka z epidemią rządzi się swoimi prawami.

Not. Michał Sobczyk

Polska musi mieć fabrykę szczepionek

Tylko tak będziemy mogli się obronić

Marek Czarkowski

Kiedy niemal co tydzień dostajemy informacje o opóźnieniu dostaw szczepionek od kolejnych zagranicznych koncernów, nie sposób dojść do wniosku, że powinniśmy produkować je w Polsce, na przykład na licencji. Powodów jest kilka, do rozstrzygnięcia są kwestie, kto powinien podjąć się produkcji, ile ma to kosztować i jak to zrealizować.

PO CO?

O tym, że nasz kraj powinien mieć nowoczesną fabrykę szczepionek, w kręgach akademickich mówiono od dawna. W 2013 r. w udzielonym portalowi Nauka w Polsce wywiadzie „Po co nam własne szczepionki?”, prof. Włodzimierz Zagórski-Ostoja z Instytutu Biochemii i Biofizyki PAN mówił, że kraj powinien mieć zabezpieczenie w postaci własnego potencjału produkcyjnego. Bo to daje lepszą pozycję negocjacyjną w razie epidemii.

28 lutego br. w wywiadzie dla Polskiej Agencji Prasowej premier Mateusz Morawiecki stwierdził: „Koniczne jest zainwestowanie w budowę fabryk lub linii produkcyjnych szczepionki w Polsce. Jesteśmy na to przygotowani. Odbudowa siły polskich firm farmaceutycznych to jeden z priorytetów na najbliższe lata. Zwłaszcza na początku epidemii widzieliśmy, w jakiej pułapce znalazła się niemal cała Europa ze względu na *outsourcing* produkcji leków czy wyrobów medycznych do państw azjatyckich. Tego błędu w przyszłości nie możemy powtórzyć”.

Premier wskazał źródło finansowania – środki pochodzące z Krajowego Planu Odbudowy, który zostanie sfinansowany z pieniędzy unijnych. Mamy otrzymać 23,9 mld euro dotacji i ponad 34 mld euro pożyczek.

Orientacyjny koszt budowy fabryki szczepionek – zdaniem rządu – to zaledwie 250 mln zł.

Prawie nie zdarza nam się chwalić Mateusza Morawieckiego, lecz tym razem *chapeau bas*! Powinniśmy mieć taką fabrykę! Bo tylko tak będziemy mieli szansę skutecznie obronić się przed kolejną pandemią. Lecz, jak zwykle, diabeł tkwi w szczegółach.

Premier w cytowanym wywiadzie wspomniął, że krajowe firmy farmaceutyczne gotowe są zaangażować się w wytwarzanie szczepionki przeciw SARS-CoV-2. Nie powinno to dziwić, gdyż spółka, która na zlecenie rządu będzie budowała taką fabrykę lub instalowała linie technologiczne, otrzyma potężny zastrzyk gotówki.

KTO?

Od kilku miesięcy krążyły po Warszawie wieści o dialogu rządu z branżą farmaceutyczną. 13 listopada ub.r. premier Morawiecki z przedstawicielami koncernu Pfizer rozmawiał o dostawach szczepionki do Polski.

zapomnieć. Bo gdy krajowi koryfeusze w dziedzinie chemii, biologii i nauk medycznych dyskutowali z Jarosławem Gowinem, inny wicepremier, Jacek Sasin, brał byka za rogi.

17 lutego br. w wywiadzie dla Polsat News przyznał, że produkcja szczepionki w Polsce – w odróżnieniu od konfekcjonowania – to kwestia lat. – W produkcję potrzeba zainwestować ok. 3 mld zł – ocenił. A 1 marca br. w „Salonie politycznym Trójki” oświadczył, że Polska obecnie ma jedną poważną firmę farmaceutyczną, którą jest spółka skarbu państwa Polfa Tarchomin. – Polski przemysł farmaceutyczny przez ostatnich 30 lat był rozprzedawany, niszczone – grzmiał Sasin – ale rząd dąży do odbudowy polskiego przemysłu farmaceutycznego!

Uchylił też rąbka tajemnicy, mówiąc, że w maju w Polfie Tarchomin rozpocznie się montaż linii do ampułkowania szczepionek, a jesienią zakład będzie gotowy do ich rozlewania. Stuchacze Trójki dowiedzieli się, że firma prowadzi rozmowy

Orientacyjny koszt budowy fabryki szczepionek to – zdaniem rządu – zaledwie 250 mln zł.

Podobne rozmowy prowadził wicepremier Jarosław Gowin. Ostatnie spotkanie odbyło się 3 marca br. Uczestniczyli w nim m.in. biochemik i prezes Fundacji na rzecz Nauki Polskiej prof. Maciej Żylicz, biolog, specjalista w zakresie wirusologii oraz prof. Krzysztof Pyrc, prof. Marcin Drąg, chemik, laureat Nagrody Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, a także przedstawiciele branży farmaceutycznej. Temat – produkcja szczepionki i leków na COVID-19 w Polsce.

Jeśli wicepremier Gowin chciał mieć wpływ na decyzje o podziale środków na ten cel, to może o tym

na ten temat z dwoma zachodnimi koncernami. Nieoficjalnie może chodzić o Pfizer i AstręZenecę. Sasin napomknął, że choć dziś Polfa Tarchomin nie mogłaby się podjąć produkcji szczepionki, to po wnikliwych analizach, przy pełnej determinacji i decyzji kierunkowej byłoby to możliwe.

A ponieważ prawdziwa władza polega na posiadaniu możliwości dzielenia publicznych pieniędzy, pozycja Sasina jest o niebo lepsza od pozycji Gowina. Gdyby dzisiaj miała zapaść decyzja, gdzie zostanie wybudowana nowa polska fabryka szczepionek, to z pewnością w Tarchominie. Obecnie



Fabryka firmy BioNTech w Marburgu w Niemczech.



Fabryka Pfizera w Puurs w Belgii.

Fabryka koncernu AstraZeneca we francuskiej Dunkierce.



Polfa jest modernizowana, a rząd postrzega tę spółkę jako jedną z kluczowych. 20 grudnia 2019 r. premier Morawiecki podjął decyzję o dokapitalizowaniu tego zakładu 200 mln zł. Jeśli otrzyma jeszcze 250 mln zł albo więcej, to na rozlewnię szczepionek, o której wspominał Sasin, wystarczy.

ZA ILE?

To pytanie nurtuje wielu. Zadeklarowane przez rząd ćwierć miliarda złotych to za mało. Lecz nawet gdyby miała kosztować miliard, i tak przy spełnieniu pewnych warunków byłaby to opłacalna inwestycja. Zapewniłaby Polakom większe bezpieczeństwo i uchroniła gospodarkę przed groźnymi wstrząsami. Ile zatem mogłaby kosztować?

– Oczywiście trzeba będzie ponieść wydatki na wyposażenie techniczne, budynki i inne środki trwałe, lecz najistotniejsi są ludzie – mówi dr Maciej Wiecek, prezes spółki Celon Pharma, współzałożyciel i akcjonariusz biotechnologicznej spółki Mabion SA.

3 marca br. podpisała ona umowę z amerykańską firmą Novavax Inc w sprawie produkcji serii technicznej antygenu do NVX-CoV2373 oraz serii testowej, jak podano w komunikacie, „kandydata na szczepionkę przeciw COVID-19”. Na początku lutego Europejska Agencja Leków (EMA) rozpoczęła proces dopuszczenia szczepionki do obrotu. Nasz kraj zakontraktował 8,4 mln dawek.

Umowa to duży sukces polskiej spółki. Pojawiły się głosy, że szczepionka Novavaksu będzie produkowana w Polsce. – Rozłożony na lata koszt, jaki ponieśliśmy, budując Mabion, z pewnością był wyższy niż 250 mln zł. Lecz nie w tym rzecz. Największym kapitałem są pracownicy, bez których nie osiągnęlibyśmy pozycji, jaką mamy. Biotechnologia jest bardzo szybko rozwijającą się dziedziną. Wręcz rewolucyjną. Nie tylko my potrzebujemy specjalistów. A oni kosztują – podkreśla prezes spółki Celon Pharma.

Na pytanie, jak ocenia rządowy pomysł budowy w Polsce fabryki szczepionek, dr Maciej Wiecek odpowiada: – W Europie toczy się ożywiona debata na temat potrzeby uniezależnienia się od dostawców substancji czynnych oraz innych komponentów do produkcji leków z Chin i Indii. Jestem przekonany, że to, co robimy, temu właśnie służy. Mogę zapewnić, że Mabion ma dziś zdolność produkcji antygenu z wykorzystaniem technologii rekombinacji białka, które może być użyte jako szczepionka przeciw COVID-19. Myślę, że pomysł budowy fabryki szczepionek będzie ewoluował. Nie uważam, by wszystko zostało już przesądzone. Także jeśli chodzi o koszt inwestycji. Lecz o szczegóły należałoby pytać przedstawicieli administracji rządowej.

► Na Węgrzech rząd Viktora Orbána podjął decyzję, by w kraju uruchomiono produkcję własnych preparatów przeciw COVID-19. Mają powstać Narodowa Fabryka Szczepionek oraz Narodowa Fabryka Szczepionek przeciw Koronawirusowi. Ta druga zostanie ulokowana w Debreczynie i ma się zająć produkcją szczepionki opracowanej przez tamtejszy uniwersytet. Pierwsze dawki mają zejść z linii produkcyjnej pod koniec 2022 r. Planowany koszt inwestycji to ok. 152 mln euro, czyli ponad 680 mln zł.

W maju 2020 r. szwajcarska spółka Lonza Technologies podpisała umowę z amerykańską firmą biotechnologiczną Moderna Therapeutics, dotyczącą współpracy przy produkcji szczepionki przeciw COVID-19 z wykorzystaniem technologii mRNA. W głównym zakładzie firmy w miejscowości Visp w kantonie Valais miały powstać trzy nowe linie produkcyjne, każda o wydajności 100 mln dawek rocznie. Koszt – 210 mln franków szwajcarskich, czyli ok. 860 mln zł. Termin realizacji – osiem miesięcy, zamiast ponad dwóch lat przy projekcie tej wielkości. – Wszystko będzie gotowe do produkcji pierwszych dawek w grudniu – zapewnił kierownik zakładu Torsten Schmidt. I było.

Jeśli weźmiemy pod uwagę talenty organizacyjne obecnej ekipy rządzącej, to budowa polskiej fabryki szczepionek będzie kosztowała podatników grubo ponad miliard złotych i potrwa kilka lat.

JAK?

Wbrew opiniom polityków PiS o konieczności odbudowy w Polsce przemysłu farmaceutycznego, ten ma się nie najgorzej. Niestety, jest

prywatny, co w oczach rządzących stanowi okoliczność obciążającą. Jesteśmy liczącym się europejskim producentem leków generycznych. Lecz produkcja nowoczesnych szczepionek to poważne wyzwanie, kosztowne i ryzykowne. Zdaniem przedstawicieli branży farmaceutycznej przed wybuchem pandemii balansowała ona na granicy opłacalności. Dlatego nad Wisłą od lat praktycznie nie wytwarzano szczepionek. Jedyne Biomed Lublin oferował i nadal oferuje własny specyfik przeciwgruźliczy BCG 10.

Wiosną zeszłego roku Komisja Europejska oraz rządy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, chcąc zachęcić koncerny farmaceutyczne do szybkiego opracowania szczepionek przeciw COVID-19 i ograniczyć ponoszone przez nie ryzyko finansowe,

miesiące, gdy w Europie zarejestrowane i dopuszczone do obrotu zostaną szczepionki innych producentów, co zaostrzy konkurencję. Rząd Morawieckiego mógłby zorganizować konkurs lub przetarg, którego zwycięzca otrzymałby środki na zakup licencji i linii technologicznej do produkcji szczepionki przeciw COVID-19. Tylko co będzie, jeśli wygra firma prywatna?

3 marca br., w trakcie wspomnianego już spotkania wicepremiera Gowina z naukowcami i przedstawicielami przemysłu farmaceutycznego, padła propozycja, by rząd zamiast na budowę fabryki przeznaczył fundusze na ośrodek naukowy, który podjąłby badania nad bakteriami i wirusami oraz prace nad technologiami produkcji szczepionek, które potem trafiłyby do przemysłu.

Krajowe firmy farmaceutyczne gotowe są zaangażować się w wytwarzanie szczepionki przeciw SARS-CoV-2.

zaoferowały liczone w miliardach dolarów i euro kontrakty na dostawy. Mimo że dopiero rozpoczynano badania kliniczne i nikt nie miał pewności, czy szczepionki Moderny, Pfizera, CureVacu, Astrazeneki, Johnson & Johnson bądź Novavaksu okażą się skuteczne i bezpieczne dla pacjentów.

Decyzja o budowie fabryki szczepionek w Polsce wiąże się także z ryzykiem finansowym. Żadna rodzima firma farmaceutyczna nie dysponuje dziś odpowiednią technologią. W grę wchodziłby jedynie zakup licencji. Na razie gotowość jej udostępnienia zadeklarowali rosyjscy producenci Sputnika V i koncern AstraZeneca. Sytuacja pewnie zmieni się za kilka

Wydaje się jednak, że najlepszym rozwiązaniem jest to, co chcą robić Węgrzy – ośrodek naukowo-badawczy i fabryka szczepionek. Dziś w pewnym sensie próbuje to realizować spółka Mabion, która z zapowiedzianym 40-milionowym wsparciem ze strony rządowego Polskiego Funduszu Rozwoju znalazła amerykańskiego partnera.

Obawiam się jednak, że zapowiedzi premiera Morawieckiego budowy fabryki szczepionek i odbudowy rodzimego przemysłu farmaceutycznego skończą się tym, co zwykle. Środki na zakup linii produkcyjnej oraz licencji na produkcję szczepionek otrzyma Polfa Tarchomin. Za jakiś czas z pewnością uruchomi produkcję, która okaże się niezbyt konkurencyjna wobec szczepionek importowanych. Na koniec z informacji Najwyższej Izby Kontroli opinia publiczna dowie się, że szczepionki Sasina kosztowały nas bardzo dużo.

Czy po doświadczeniach z ratowaniem przemysłu stoczniowego, planach produkcji nad milionem samochodów elektrycznych, budowy 100 tys. mieszkań stać nas na kolejne rozczarowanie?

Naszemu Przyjacielowi i Autorowi „Przeglądu”

prof. Andrzejowi Werblanowi

serdecznie współczujemy po stracie Żony

prof. Lidii Werblan

Wyrazy głębokiego żalu kierujemy do Córk Hanny i Bliskich

Jerzy Domański, Paweł Dybicz, Robert Walenciak

Marek Czarkowski

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

ZDALNA NAUKA jak więzienna izolatka

Chcę się zabić – jak wielu rodziców słyszy to od dzieci uczących się zdalnie?

Beata Igielska

Mamo, przepraszam cię, chciałam się zabić – płacz w telefon. Jest wieczór, 1 marca. Droga z Warszawy do Gdańska. Licealistka rzuca się pod samochód, kierowca odbija w ostatniej chwili. Delikatne draśnięcie. Gwałtowne hamowanie. Kilka samochodów w ostrej kolizji. Dym i smród, obawa, że coś wybuchnie. Dziewczyna siada na poboczu.

„Zatrzymujemy się. Żona, pedagog szkolny, rozmawia z nastolatką, głaszcząc ją i trzymając za rękę, bierze telefon, żeby poinformować matkę, że obrażenia są raczej niewielkie. Ale nie pozwala dziewczynie wstać, boi się o stan jej nóg. Matka – prawie zawał. Ja pocieszam kierowcę samochodu. To starszy pan, około siedemdziesiątki, któremu przed chwilą świat spadł na głowę. Dzwonię do jego dzieci, bo w takim stanie nie może prowadzić auta”, relacjonuje na Facebooku świadek próby samobójczej. Na miejscu pojawiają się pogotowie, policja, straż pożarna.

„Mamo, jeśli moje życie ma tak wyglądać, to ja nie chcę żyć”, oznajmia Mikołaj, 15-latek o szerokich horyzontach, laureat wielu olimpiad przedmiotowych. „Nie widzę sensu uczenia się w tych warunkach”, stwierdza. Rodzice robią wszystko, żeby go wyrwać z tego stanu. Ponieważ jest nastoletnim mistrzem sportu, jedzie na mistrzostwa Polski. To go ustawia do pionu na kilka tygodni. Ostatnio do rodziców: „Jak długo można żyć przez internet?”.

Dagmara, lat 13, kilkakrotnie traci przytomność. Ratownicy z pogotowia za każdym razem długo przywracają ją do życia. Diagnoza: nerwy, brak kontaktu z rówieśnikami. Na to nie ma leków. Dagmara zawsze była świetną



uczennicą, otrzymywała stypendium wójta. Teraz więc siedzi przed komputerem całe dni. Gdy pierwszy raz straciła przytomność, pan od wufu kazał zrobić 6 tys. kroków i przysłać zrzut ekranu smartfonu. Dagmara mimo wyczerpania wyszła z psem. Ten

Jak długo można żyć przez internet?

jej uciekł. Padła na ulicy. Zauważyła to matka. Żałuje, że wywierała na córkę niesamowitą presję – zmuszała ją do poprawiania nawet czwórki z plusem. Zorganizowała młodej wypad z koleżankami do galerii handlowej, dostały po 100 zł, żeby mogły wydać, na co chcą. Dziewczyna trochę stanęła na nogi. Na jak długo?

Obrabowano ich z rytuałów młodości

„Z młodzieżą – dramat. Im się da psychika. Nic im się nie chce.

Nawet wrócić do szkoły. Rwą im się przyjaźnie i znajomości. Jestem wychowawczynią II klasy. Do szkoły chodzili pół roku, zaczęli się zgrywać, czuć jak klasa. Potem pół roku na zdalnym. Świadectwa dostali do ręki, w reżimie sanitarnym. Na zakończeniu roku uczennica, 17-latka, zapytała, czy może się do mnie przytulić. Za nią poszli inni. Oni się do siebie tulili! Od września

sześć tygodni w reżimie sanitarnym, w salach śmierdzących odkażaczem. I w stanie zawieszenia, ale względnie normalnie. Znowu zaczęli się wdrażać. A potem ciach i zdalne. A za chwilę III klasa i koniec, bo moi uczniowie są po gimnazjum. Nawet jeśli wrócą do szkoły, nie będzie to klasa, ale grupa obcych sobie ludzi. Obrabowano ich z rytuałów młodości. Wycieczek nie ma, wyjść nie ma, studniówki nie ma. Poczucia przynależności nie ma. Wspólnoty przeżyć, wspólnych wagarów, interesów, żartów z nauczycieli nie ma. Klasy I w ogóle ▶

► nie poznały się. Znam wszystkie imiona i nazwiska uczniów, ale nie potrafię skojarzyć z twarzami, bo nie zmuszamy do włączania kamer. Gdy więc słyszę od urzędników, jak świetnie idzie nauczanie online, krew mnie zalewa”. To list od polonistki z dobrego liceum w podtódzkiej miejscowości. „Moja najstarsza córka jest w liceum. Ma zaburzenia nastroju, problemy ze snem”, pisze z kolei zrozpaczony ojciec.

Na świecie szkoły są ostatnim miejscem, które się zamyka, i pierwszym, które się otwiera. Ale nie w Polsce. Gdy praktycznie w całej Europie szkoły były otwarte już od kwietnia czy maja, polskie dzieci siedziały samotnie przed komputerami (patrz ramka). Do niedawna młodzi od 13. do 18. roku życia siedzieli do godz. 16 w domach. Chyba sam diabeł podpowiedział rządzącym ten

pomysł na rozwiązanie pandemicznych problemów.

„Zdalne nauczanie? W więzieniu kara izolacji jest uznawana za najcięższą z możliwych”, wytyka czytelnik w liście do redakcji. Podkreśla problem uczniów, którzy przez zdalne nauczanie wypadli z systemu.

W Polsce całkiem niedawno możliwe było kompletne rozwalenie systemu opartego na gimnazjach, a teraz nie jest możliwe takie reorganizowanie szkół, aby pozwolić dzieciom na normalny rozwój. Gdy rząd zamyka restauracje czy sklepy meblowe, od razu są protesty. Dlaczego nasze społeczeństwo z równym oddaniem nie broni własnych dzieci? Przecież po wrześniowym powrocie do szkoły okazało się, że niektóre maluchy mają regres rozwojowy, zapomniały, jak się czyta albo trzyma ołówki.

Już w zestawieniu Eurostatu z 2014 r. pod względem samobójstw wśród młodych Polska z 209 samobójstwami zajęła drugą pozycję w Europie. W roku 2020 zanotowano 2085 prób samobójczych podejmowanych przez osoby w wieku 7-24 lata, w 456 przypadkach były to próby skuteczne. Z powodu samobójstwa co roku umiera kilka klas szkolnych.

Badania nauki zdalnej przeprowadzone przez prof. Jacka Pyżalskiego pokazały, że kilkanaście procent uczniów ze względu na brak wsparcia w domu bardzo boleśnie doświadczyło konsekwencji obecnej sytuacji. Połowa mówi, że pogorszyły się ich relacje z rówieśnikami. Jest tylko niewielka grupa zadowolonych – to dzieci lękowe i wycofane. Siedząc przed komputerem, utwardzają pancerz łęków. Będzie go trudno skruszyć.

Efekt piżamy

Ewa Jarczeńska-Gerc, psycholog społeczny, trener biznesu, w rozmowie z PRZEGLĄDEM (nr 5/2021) radiła: „Zamiast łażyć w piżamie, ze zmierzwiionymi włosami, wstańmy rano, jakbyśmy szli do biura, zrobmy pełny makijaż, włożmy biurowy strój i dopiero siądźmy do pracy. Wielu osobom efekt piżamy szkodzi”.

Krystyna Janda w Radiu Nowy Świat w audycji Elizy Michalik: „Żal mi moich wnuczek. Od godz. 8 do 15 w piżamie, w łóżku z laptopem. Potem snują się nieprzytomne”.

Zapominamy, że my, dorośli, mamy ukształtowane mechanizmy obronne, młodzi je dopiero kształtują. Uczą się, że można spędzić cały dzień z laptopem w łóżku, opracowując coraz lepsze techniki ściągania. Mama 16-letniego Krzyska (iloraz inteligencji 140, kłopoty z rówieśnikami i ze szkołą, w związku z czym wyłączał w nie najlepszym liceum): „Budzi się, włącza laptop, by mieć odhaczoną obecność, idzie spać. Motywacja do nauki zerowa”.

Paweł Łęcki, polonista z Sopotu, którego na Facebooku obserwuje 55 tys. osób, od dawna w postach alarmuje, że największym problemem edukacji zdalnej jest psychologia. W przypadku nauczycieli – mówienie do ikonki. Gdy nauczyciel odpala się na kamerce, nie patrzy na te ikonki, tylko na

Nauka szkolna w Europie

- W Norwegii szkoły funkcjonują normalnie. Z wyjątkiem Oslo, gdzie w lutym podjęto decyzję o zamknięciu szkół i basenów w związku ze wzrostem zachorowań. Ale zamyka się tylko te szkoły podstawowe, gdzie pojawiły się zakażenia. Przez całą jesień i zimę dzieci chodziły do szkół również w Oslo. W oddalonym zaledwie 30 km od Oslo Drøbak szkoły i baseny działają, bo w tej gminie jest mało przypadków COVID-19.

- W Danii w ubiegłym roku po Wielkanocy wróciły do szkół klasy I-V. Miesiąc później – klasy VI-IX. W czerwcu został oficjalnie przedstawiony raport pokazujący, że start szkół nie miał żadnego wpływu na pandemię, współczynnik zakażenia wręcz spadał, dopóki ludzie nie zaczęli wyjeżdżać na wakacje. Od sierpnia duńscy uczniowie znów normalnie chodzili do szkół. Zamknięto je tydzień przed świętami Bożego Narodzenia. 8 lutego wróciły klasy I-IV. W sześcioletniej Danii wykonuje się 160 tys. testów dziennie.

- W Niemczech sytuacja zależy od landu, ale też od dyrektorów szkół, którzy mają dużą autonomię. Podjęto wszelkie działania, aby szkoły pozostały otwarte tak długo, jak się da. W listopadzie 2020 r. Konferencja Ministrów Edukacji i Kultury zaleciła, by w regionach szczególnie dotkniętych pandemią przejść z systemu nauczania tradycyjnego na system zmianowy lub mieszany. Szkoły zostały zamknięte 18 grudnia. Rodzice, którzy nie byli w stanie zapewnić opieki dzieciom, mogli je posyłać do szkoły do 22 grudnia. Obecnie np. w Nadrenii Północnej-Westfalii do szkół chodzą uczniowie przygotowujący się do matury. Od 8 marca rząd federalny pokryje koszt jednego szybkiego testu na koronawirusa w tygodniu dla każdego obywatela.

- We Francji we wrześniu dzieci normalnie ruszyły do szkół. W październiku zamknięto zaledwie 24 spośród 61,5 tys. szkół i 199 spośród 528,4 tys. klas, w listopadzie – 5 szkół i 7 klas, w grudniu – 10 szkół i 123 klasy. Teraz, po lutych feriach, dzieci wróciły do szkół. Rządowe komunikaty: absolutnie nie będziemy zamykać szkół. Dyrektorzy liceów mają dużą autonomię.

- W Wielkiej Brytanii od marca do września 2020 r. był *home schooling*. Od września do końca października uczniowie podstawówek chodzili do szkół. Szkoły średnie były zamknięte, chodziły tylko dzieci rodziców pracujących w kluczowych dla gospodarki zawodach. W listopadzie, mimo lockdownu, podstawówki nadal były czynne do Bożego Narodzenia. Od stycznia uczniowie byli w domu. Teraz wracają do szkół, ale ci ze średnich mają być testowani trzy razy tygodniowo.

SAMOBÓJSTWA DZIECI I MŁODZIEŻY

7-12 lat: 29 prób samobójczych, 1 zgon (2019 r.: 46 prób, 4 zgony)

13-18 lat: 814 prób samobójczych, 106 zgonów (2019 r.: 905 prób, 94 zgony)

19-24 lata: 1242 próby samobójcze, 349 zgonów (2019 r.: 1226 prób, 360 zgonów)

Źródło: Komenda Główna Policji

siebie, kontroluje, jak wygląda, czy dobrze mówi. A przecież w realu nauczyciel widzi drugiego człowieka. Gdy choć jeden uczeń włączy kamerkę, od razu mówi się do kogoś. Uczennica Łęckiego: „Pokój stał się przestrzenią mojego życia. Tam pracuję, jem, śpię, oglądam seriale”. „Tak się nie da funkcjonować. To są podstawowe problemy edukacji zdalnej i żadnymi kursami, szkoleniami, żadną nauką kolejnych narzędzi ich nie wyeliminujemy”, konkluduje polonista.

Do tego dodajmy ogromną niespójność rządowych komunikatów. Minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek 25 lutego mówił: „Powrót starszych roczników do szkół przy obecnej dynamice zakażeń jest nie-realny. Raczej trzeba martwić się, czy młodsze roczniki nie będą musiały wrócić do domu”. A sześć dni wcześniej, 19 lutego: „Przecież gdyby uczniowie rzeczywiście transmirowali koronawirusa, to ich rodzice i domownicy byliby chorzy na covid i byliby w izolacji, a oni sami byliby na kwarantannie. Nie są na kwarantannie, chodzą do szkoły”.

Minister ponadto każe młodym ludziom konfrontować się z wzorcami z przeszłości, jakby kiedyś wszyscy młodzi byli powstańcami warszawskimi albo roznosili ulotki Solidarności. Dziewczynkom wytyka otyłość. Zajął się też światłem Ewangelii. Jak ma znaleźć czas, by zająć się realnymi problemami młodych?

Minister od samotności

W Japonii Tetsushi Sakamoto został pierwszym na świecie ministrem od samotności. Stanowisko stworzono z powodu wzrostu liczby samobójstw w czasie pandemii. W Polsce sondaż przeprowadzony przez Kantar pokazał, że w ubiegłym roku co dziesiąty obywatel zerwał kontakt z bliską osobą, a z bratem lub siostrą co siódmy. W grupie wiekowej 15-17 lat co piąty badany stracił kontakt

z bliską osobą, a spośród tych między 18. a 24. rokiem życia co siódmy. Jednocześnie polskie dzieci jeszcze potrafią spotkać się, pójść do galerii, obejrzeć wspólnie film. Nikt więc nie powoła ministra od samotności. Nikogo nie interesuje, że „psycholog w szkole jest luksusem, większym niż basen w ogrodzie. (...) Skoro nie można szybko trafić do publicznej ochrony zdrowia psychicznego, młody człowiek mógłby chociaż pójść i pogadać ze specjalistą w szkole. Cóż. Nie każdy musi mieć basen przy swoim domu”. To znowu Łęcki.

Pokój stał się przestrzenią mojego życia. Tam pracuję, jem, śpię, oglądam seriale.

„Przed chorobami, złym nastrojem chronią nas zwłaszcza dobre relacje społeczne w realnym świecie. Dodatkowo badania pokazują, że wysiłek fizyczny już pół godziny trzy razy w tygodniu przez kilka miesięcy wspomaga leczenie depresji. Tak samo jak właściwa dieta i dobry sen. Nasz umysł musi także mieć wyzwania, żebyśmy mogli dobrze się czuć. Tych wszystkich rzeczy

w dużej mierze zostaliśmy pozbawieni. Zwłaszcza nastolatki. Przez zdalną naukę są zazwyczaj samotne, mają zaburzony rytm dnia, mało okazji do kontaktu ze światem. Wiele z nich uciekało z domu przed różnego rodzaju przemocą, krytyką czy odrzuceniem. Teraz muszą w nim zostać. Mamy więc bardzo niedobłą mieszankę”, wylicza dr Artur Kołakowski, psychiatra z poradni Poza Scheumatami. „W mojej ocenie dopóki nastolatki nie wrócą do normalnego życia, nie będą mieć kontaktów z rówieśnikami, raczej niewiele może się zmienić. Obserwuję, że dla wielu moich pacjentów leczenie i psychoterapia w połączeniu z izolacją i samotnością to jedynie walka, by nie było gorzej. Nastolatki zmagające się z lękiem są zadowolone, że mogą unikać trudnych dla nich sytuacji czy relacji, gdy nie muszą wychodzić z domu. Niestety, kiedy coraz bardziej unikamy realnego życia i spotykania się z innymi, nasz lęk zaczyna mieć cały nasz świat dla siebie. Obawiam się, że wielu młodych ludzi będzie miało problem z powrotem do normalnego funkcjonowania, kiedy to już stanie się możliwe”, dodaje Kołakowski.

Dzieci muszą wrócić do szkół w pierwszym możliwym terminie, gdy tylko krzywa zakażeń zacznie opadać! To wołanie w końcu ktoś musi usłyszeć. Co z tego, że przetrwamy pandemię biologicznie, skoro będziemy ostro zaburzeni i chorzy fizycznie, bo stres sprzyja chorobom. Lekarstwo nie może być groźniejsze od choroby.

Beata Igielska

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl



Ludwik Stomma – pamiętamy

Trudno uwierzyć, że już minął rok. 7 marca 2020 r. odszedł prof. Ludwik Stomma – antropolog kultury, historyk, autor książek i felietonista. Na łamach PRZEGŁADU przez ponad sześć lat w cyklu „Sherry brandy” ukazało się przeszło 150 Jego felietonów, w których zaprzeczał tzw. prawdom oczywistym, z zapałem niszczył stereotypy i zastane przekonania.

Pisał o Polsce i Polakach, wiele razy krytycznie, ale zawsze z troską, bo zależało mu na tym, jak o naszym kraju mówią w Europie. Bolało Go, że prawica i IPN zakłamują polską historię, zwłaszcza tę z okresu PRL. Do wszystkiego miał dystans, jaki daje spojrzenie znad Sekwany. Wielka postać, wielki erudyta, z ogromną wiedzą i urzekającym ciepłem. Bardzo przydałaby się teraz Jego mądrość.

Coraz ciszej nad tą śmiercią

Niewyjaśnione mimo upływu 10 lat
zabójstwo Jolanty Brzeskiej obnaża
nieudolność policji i prokuratury.
Oraz lekceważenie polityków

Piotr Ciszewski

Gdy w roku 2016 Zbigniew Ziobro w blasku fleszy zapowiadał wznowienie śledztwa w sprawie śmierci warszawskiej działaczki lokatorskiej Jolanty Brzeskiej, mówił, że Ministerstwo Sprawiedliwości dokończy wszelkich starań, aby znaleźć jej zabójców. Zapowiadał, że prowadzący wcześniej sprawę prokuratorzy odpowiedzą „za rażące braki i zaniechania na pierwszym etapie śledztwa”. Po 10 latach od śmierci Brzeskiej i pięciu od konferencji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego ani nie wyjaśniono okoliczności zabójstwa, ani nie ukarano osób winnych zaniechań we wcześniejszym śledztwie. Również problem dzikiej reprivatyzacji budynków oraz nękania lokatorów przez prywatnych właścicieli pozostaje nierozwiązany.

Niewygodna lokatorka

Jolanta Brzeska od dzieciństwa mieszkała w budynku przy ulicy Nabelaka 9 na warszawskim Mokotowie. Wprowadziła się tam z rodzicami w latach 50. Jej problemy rozpoczęły się w 2006 r., gdy kamienica została zwrócona przez miasto spadkobiercom przedwojennych właścicieli. Działo się to, gdy Warszawą rządził prezydent Lech Kaczyński, a następnie komisarz Kazimierz Marcinkiewicz.

Właścicielem budynku przy Nabelaka 9 szybko stał się Marek M. (obecnie oskarżony w innej sprawie związanej z reprivatyzacją), zwany kolekcjonerem kamienic. Wyszukiwał dawnych kamieniczników i ich potomków, aby skupować roszczenia i przejmować zwrócone nieruchomości. Znany był m.in. z przygotowania listy zatytułowanej „Moje nieruchomości warszawskie”,

zawierającej kilkadziesiąt adresów, których zwrotu domagał się od miasta. Z Markiem M. współpracował podający się za księcia Hubert M.

Dotychczasowi lokatorzy byli przez Marka M. traktowani jak przeszkoda w sprzedaży kamienic. Przeprowadzał remonty utrudniające mieszkańcom życie, uniemożliwiał dostęp do powierzchni wspólnych budynku, zastraszał. Jego metody poznali m.in. lokatorzy z Otwockiej, Francuskiej, Dahlberga, Krakowskiego Przedmieścia i Hożej. 22 stycznia 2007 r. przed drzwiami mieszkania Jolanty i Kazimierza Brzeskich pojawił się w asyście kilku osiłków. Zaczęli ciąć diaską zawiasy drzwi. M. krzyczał, że jest zameldowany w lokalu i ma prawo do niego wejść. Jolanta Brzeska przerażona tłumiła iskrę wpadającą do mieszkania przy cięciu zawiasów. Omal nie doszło do pożaru. Przybyli na miejsce policjanci początkowo wzruszali ramionami: – Konflikt między lokatorem a właścicielem to nie nasza sprawa – twierdzili. Dopiero pod naciskiem

Jolanta Brzeska stała się symbolem walki o prawa lokatorów, podobnie jak hasło „wszystkich nas nie spalicie”.

działaczy lokatorskich, którzy przyjęli wezwani przez Brzeską, uznali, że Marek M. nie powinien wyłamywać drzwi, i nakazali mu opuszczenie budynku. Do dziś nie wyjaśniono, który z miejskich urzędników umożliwił kamienicznikowi zameldowanie się u Brzeskich. Marek M. domagał się także kilkudziesięciotysięcznego odszkodowania za rzekome bezumowne korzystanie z lokalu. Straszyl lokatorkę, że eksmisja jest tylko kwestią czasu. Inni mieszkańcy budynku poddali się i wyprowadzili. Mąż



Jolanta Brzeska na sesji Rady Miasta st. Warszawy, 30 września 2010 r.

Brzeskiej ciężko odchorował nałot kamienicznika i wszystko, co działo się potem. Zmarł w grudniu 2007 r. Została Jolanta. Po każdej wyprowadzce Marek M. dzwonił do niej i pytał: – Kiedy wyprowadzi się pani z mojego mieszkania?

Mimo to Jolanta Brzeska toczyła z nim boje sądowe. Nie godziła się na płacone odszkodowania za bezumowne korzystanie z lokalu. Powtarzała, że dom przy Nabelaka 9, zniszczony w powstaniu warszawskim,

nie zostałby odbudowany, gdyby nie społeczny wysiłek. Jej ojciec brał udział w odbudowie. Nie dostał za to pieniędzy, lecz kwaterunek w zrekonstruowanym budynku.

Brzeska walczyła nie tylko dla siebie. Była współzałożycielką Warszawskiego Stowarzyszenia Lokatorów, walczącego z reprivatyzacją i łamaniem praw lokatorskich. Powtarzała, że warszawskie kamienice odbudowane przez całe społeczeństwo nie powinny trafiać w ręce kombinatorów. Stołeczne władze rozkładały

ręce. – Restytucja mienia – mówili miejscy urzędnicy. – Nie możemy w nią ingerować – powtarzał m.in. Andrzej Jakubiak, ówczesny wiceprezydent Warszawy. W 2010 r. odbyła się sesja nadzwyczajna rady miasta, podczas której wiceprezydent tłumaczył, że „nie może nic zrobić”. Pytania przybyłych na sesję lokatorów zbywał milczeniem. Także większość mediów nie interesowała się barbarzyńską reprivatyzacją. Dziennikarka Iza Michalewicz, która poznała Brzeską jeszcze w 2009 r., nie znalazła redakcji, która opublikowałaby artykuł o rozgrywającym się dramacie.

Spalona w Lesie Kabackim

We wtorek 1 marca 2011 r. Jolanta Brzeska o godz. 13.07 wypłaciła w banku niewielką kwotę pieniędzy. Do domu wróciła około wpół do drugiej. Co wydarzyło się dalej – nie wiadomo.

3 marca wieczorem zaczęła krążyć po Warszawie wiadomość o zaginięciu Jolanty Brzeskiej. „Od dwóch dni nie odbierała telefonów. (...) Magda Brzeska, córka Joli, tego dnia odbierała ze szpitala wyniki badań swojego syna. Od miesięcy obie Brzeskie niecierpliwie czekały na diagnozę. – Zadzwoń natychmiast, jak wyjdiesz od lekarza – przypominała Jola w poniedziałek, podczas rozmowy telefonicznej z córką. Magda dzwoniła jeszcze we wtorek, może w środę, ale telefon milczał. Trochę ją zdziwiło, że mama nie oddzwoniła, ale pomyślała, że pochłonęła ją jakaś nowa sprawa. Niepokój pojawił się w czwartek. Po kilkunastu bezskutecznych próbach połączenia się z mamą (...) zaczęła dzwonić do jej znajomych ze stowarzyszeń lokatorskich”, pisała 8 stycznia 2012 r. w PRZEGŁADZIE Ewa Andruszkiewicz. Nikt nic nie wiedział.

Magda Brzeska próbowała zgłosić zaginięcie matki na komendzie policji przy ulicy Malczewskiego, była jednak zbywana. Pojechała więc na Nabelaka. Korzystając z zapasowych kluczy, weszła do mieszkania. Zameki w drzwiach były nienaruszone. Wszystko pozostało tak, jakby jej matka wyszła tylko na chwilę. Wyjęte z lodówki produkty na obiad zaczynały już się psuć. W mieszkaniu zostały telefon, dokumenty i karta z biletem



1 marca, w 10. rocznicę śmierci Jolanty Brzeskiej, na skwerze jej imienia przy ul. Iwickiej złożono kwiaty pod głazem z postulatami Warszawskiego Stowarzyszenia Lokatorów.

na komunikację miejską. Bez tych rzeczy Jolanta na pewno nie wyszłaby na dłużej z domu.

1 marca biegacz w warszawskim Lesie Kabackim znalazł spalone zwłoki. Policja podała, że „odnaleziono ciało niezidentyfikowanej młodej kobiety”. Przez siedem dni nie połączono faktów zaginięcia Brzeskiej i odkrycia zwęglonego ciała. Tylko dzięki spostrzegawczości jednego z funkcjonariuszy oraz bliskich zaginionej udało się zidentyfikować znalezione przy zwłokach przedmioty jako należące do Jolanty Brzeskiej. 7 marca w mieszkaniu przy ul. Nabelaka

pojawił się policjanci. Nie zabezpieczyli jednak nawet śladów daktyloskopijnych. Z ich wizyty nie zachował się w aktach sprawy żaden dokument. Dopiero 24 marca na wniosek prawniczki reprezentującej Magdaleny Brzeską policja zaczęła zabezpieczać nagrania z monitoringu wzdłuż potencjalnej trasy z Nabelaka 9 do Lasu Kabackiego. Część nagrań została do tego czasu skasowana. Sprawdzenie tożsamości zmarłej za pomocą testów DNA trwało do 15 kwietnia 2011 r., czyli aż pięć tygodni zamiast standardowych dwóch. Według policji na komendzie przy ulicy Malczewskiego zaginęły przedmioty mające służyć jako materiał porównawczy. Policji i prokuraturze nie udało się ustalić, w jaki sposób Brzeska trafiła z domu do Lasu Kabackiego.

Śledztwo na manowcach

Prokuratura Rejonowa Warszawa-Mokotów początkowo przyjęła wersję samobójstwa. Stało się tak,

mimo że taka hipoteza była całkowicie nieprawdopodobna. Nie mając samochodu, Jolanta Brzeska nie zdążyłaby dotrzeć z domu, do którego wróciła z pieniędzmi wypłaconymi w banku, do Lasu Kabackiego przed godz. 15. Również okoliczności śmierci wykluczały samobójstwo. Nieopodal miejsca, w którym zginęła Brzeska, jest polana



► piknikowa. Na pewno ktoś by usłyszał krzyk płonącej żywcem kobiety. Na miejscu zdarzenia nie znaleziono też pojemników po łatwopalnej cieczy, którą obłana była Brzeska.

Mimo to Komenda Rejonowa Policji Warszawa II kierowana przez insp. Sylwestra Sawickiego i nadzorowana przez komendanta stołecznego nadinsp. Adama Mularza jako jedno z pierwszych działań przeprowadziła przeszukanie piwnic w budynku przy Nabelaka 9. Sprawdzano m.in., czy zmarła nie przechowywała tam środków łatwopalnych. Nie zabezpieczono natomiast spisu telefonów logujących się w momencie śmierci Brzeskiej w okolicy miejsca zdarzenia. Zignorowano młodych ludzi, którzy 1 marca 2011 r. byli na polanie w Lesie Kabackim. „Kilka dni po morderstwie do prokuratury zgłosiło się małżeństwo, które zapamiętało dwóch mężczyzn, zbierających chrust na chwilę przed śmiercią Joli. Chcących złożyć zeznania pogoniono jak natrętów”, pisała Ewa Andruszkiewicz.

Prokuratura zmieniła kierunek śledztwa dopiero pod koniec sierpnia 2011 r. „W toku postępowania brane są pod uwagę wszystkie wersje śledztwa mogące mieć związek ze zgonem Jolanty Brzeskiej, tj. dotyczące jej samobójstwa, jak i udziału osób trzecich mogących przyczynić



Działacze ruchu lokatorskiego zorganizowali 1 marca pod Ministerstwem Sprawiedliwości protest, domagając się powołania komisji śledczej do wyjaśnienia śmierci Jolanty Brzeskiej.

używany przez jednego ze współpracowników kamienicznika. Dawny właściciel powiedział, że sprzedał pojazd, a policja nie umiała go odnaleźć.

Postanowieniem z 8 kwietnia 2013 r. Prokuratura Okręgowa w Warszawie umorzyła śledztwo „wobec niewykrycia sprawców czynu zabronionego”. Było to wkrótce po przedstawieniu ekspertyzy przez krakowskich biegłych, którzy stwierdzili, że najprawdopodobniej Jolanta Brzeska została zamordowana, a motyw zabójstwa był związany z kwestią reprivatyzacji kamienic. Pod oświadczeniem w sprawie umorzenia

jaką kwotę. Również inne lokale w kamienicy znalazły nabywców.

Wznowione w 2016 r. śledztwo miało doprowadzić do szybkiego rozwiązania sprawy. Mimo zapowiedzi utknęło w miejscu. Prokuratura Regionalna w Gdańsku, mająca pracować z dala od stołecznych nacisków oraz powiązań, zaczęła wzywać kolejnych świadków. Rozesłano apele o zgłaszanie się osób, które 1 marca 2011 r. mogły być w Lesie Kabackim. Statystyki przedstawiane przez prokuraturę pozornie robią wrażenie – 200 przesłuchanych, w kraju i za granicą, czasami wzywanych kilkakrotnie. Przy bliższym przyjrzeniu się widać jednak, że były sztucznie pompowane. Najważniejsze zeznania zostały złożone już w pierwszym śledztwie. Teraz głównie je powtarzają. Prokuratura wzywała także osoby niemające nic wspólnego ze sprawą, np. współpracujące z ruchem lokatorskim już po śmierci Jolanty Brzeskiej, aby zwiększyć liczbę przesłuchanych świadków. W roku 2018 pojawiły się informacje, że prokuratura wróciła do odrzuconej wcześniej i słusznie uznanej za nieprawdopodobną wersji o samobójstwie Jolanty Brzeskiej. Zaczęła również badać, czy zmarła była ubezpieczona na wypadek śmierci. Było to podążanie w absurdalnym kierunku, ponieważ gdyby takie ubezpieczenie istniało, jego ukrycie nie byłoby możliwe przez tak wiele lat.

O ile znalezienie sprawców zabójstwa po niemal 10 latach jest bardzo trudne, o tyle znacznie szybsze powinno być postępowanie wobec

Problem nękania lokatorów przez prywatnych właścicieli oraz dzikiej reprivatyzacji pozostaje nierozwiązany.

się do śmierci Jolanty Brzeskiej”, pisał w oświadczeniu prokurator rejonowy Warszawy-Mokotowa Paweł Wierchołowski. Śledztwo przejął Wydział Terroru Kryminalnego Komendy Stołecznej Policji, lecz i jego funkcjonariusze nie znaleźli żadnych nowych dowodów. Śledztwo toczyło się „w sprawie”, gdyż nie wytypowano podejrzanych.

Przez pięć miesięcy od śmierci Brzeskiej prokuratura przesłuchiwała jedynie 16 świadków, zapominając o przepytaniu ludzi, którzy na śmierci Brzeskiej skorzystali najbardziej – Marka M. i Huberta M. Zostali oni wezwani na przesłuchanie dopiero w październiku, mogli zatem skutecznie zasłonić się niepamięcią. W międzyczasie „zaginął” samochód

śledztwa podpisał się rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Warszawie prokurator Dariusz Ślepokura. W dokumencie nie podano, kto podjął decyzję. Prokuratorem generalnym był wówczas Andrzej Seremet.

Winnych nie ma

Odzyskanie kamienicy przy Nabelaka 9 przyniosło kupcom roszczeń ogromne pieniądze. W 2014 r. mieszkanie Jolanty Brzeskiej zostało wystawione na sprzedaż za milion złotych. „Zamieszkać w towarzystwie ludzi ze świata kultury i nauki”, reklamowano ofertę. Wówczas nikt nie chciał kupić lokalu. Być może sprawa zabójstwa była jeszcze zbyt świeża. Sprzedano go dwa lata później, nie wiadomo za

odpowiedzialnych za zaniedbania we wcześniejszym śledztwie. Wydział Spraw Wewnętrznych Prokuratury Krajowej, którego naczelnikiem jest obecnie Adam Gierk, prowadzi od 2016 r. równoległe śledztwo w sprawie niedopełnienia obowiązków służbowych przez prokuratorów i funkcjonariuszy policji, którzy dopuścili się wówczas zaniedbań. Choć w aktach łatwo znaleźć personalia osób odpowiedzialnych za zacieranie śladów i błędy oraz wykazujących rażąco niekompetencję, dochodzenie wewnętrzne do dziś nie przyniosło rezultatów. Komunikaty w sprawie postępowania są bardzo lakoniczne.

Warszawskie Stowarzyszenie Lokatorów zapytało prokuratora generalnego oraz Prokuraturę Regionalną w Gdańsku, na jakim etapie znajdują się śledztwa. Do czasu ukończenia artykułu, mimo upływu miesiąca od

wysłania zapytania, nie otrzymało jeszcze odpowiedzi.

Jolanta Brzeska stała się symbolem walki o prawa lokatorów, podobnie jak hasło „wszystkich nas nie spalicie” nawiązujące do jej tragicznej

parlamentarny Lewicy złożyły wniosek o powołanie sejmowej komisji śledczej do zbadania nacisków politycznych, które zahamowały śledztwa w sprawie zabójstwa, oraz błędów policji i prokuratury.

Ani PiS, ani PO nie mają woli politycznej, aby zająć się prawną regulacją problemu reprivatyzacji.

śmierci. Na murach Warszawy i innych miast pojawiają się graffiti z wizerunkiem Brzeskiej. Marek M. z kolei został przez anonimowych twórców przedstawiony z kanistrem benzyny w rękę na muralu widniejącym na jednej z kamienic. Obok napis: „Warszawa jest łatwopalna”.

1 marca br., w 10. rocznicę śmierci Jolanty Brzeskiej, Warszawskie Stowarzyszenie Lokatorów oraz klub

Organizacje lokatorskie zwracają również uwagę, że do dziś parlament nie uchwalił ustawy reprivatyzacyjnej, która zakazywałaby przekazywania dawnym właścicielom lub ich spadkobiercom budynków. Stosowny projekt, zgłoszony przez Lewicę, trafił do sejmowej zamrażarki. Ani PiS, ani PO nie mają bowiem woli politycznej, aby zająć się prawną regulacją problemu.

Piotr Ciszewski

Nie umiemy pogodzić się z myślą, że odszedł

ANDRZEJ KRATIUK

nasz Przyjaciół

Absolwent SGPiS (SGH) i Uniwersytetu Warszawskiego. Wyrósł z tradycji i ducha aktywności w ruchu studenckim. Był przewodniczącym Zrzeszenia Studentów Polskich w Warszawie. Człowiek o otwartym umyśle, bliski ideałom lewicy, co wyrażało się w społecznej pasji działania na rzecz tych, których los potraktował gorzej. Gromadził wokół siebie ludzi, którzy wierzyli, że można zmienić zastaną rzeczywistość. Z uporem i konsekwencją potrafił dążyć do celu. Nie zabiegał o uznanie.

Dopiero po Jego śmierci dowiadujemy się, w ilu społecznie ważnych inicjatywach uczestniczył. Nikomu nie potrafił źle życzyć. Próbował zrozumieć przeciwników, a nawet zdeklarowanych wrogów.

Także tych, którzy zabrali Mu kilka lat spokojnego życia.

Jesteśmy Mu wdzięczni za wszystkie chwile, które mogliśmy z Nim spędzić.

Dziękujemy, Andrzej, za Twoją mądrość, za przyjacielskie wsparcie, za Twoją wielką osobistą kulturę, za rzadką umiejętność budowania małych wspólnot.

Dopóki żyjemy, jesteś z nami.

Ani, Basi, Rodzinie i Współpracownikom z Kancelarii składamy wyrazy głębokiego współczucia

Jerzy Barański, Piotr Czyżewski, Tomasz Dera, Antoni Dragan, Marek Grabarek, Wiesław Kaczmarek, Jerzy Kamiński, Ludwik Klinkosz, Adam Kowalczyk, Józef Mikosa, Krzysztof Moczulski, Ireneusz Nawrocki, Tadeusz Sawic, Ireneusz Sitariski

PPS – mit, który wraca

Kolejne pokolenie, już posolidarnościowe,
jest pokoleniem lewicującym

PROF. MICHAŁ ŚLIWA

– politolog i historyk. Specjalizuje się w historii idei i doktryn politycznych oraz historii ruchu socjalistycznego. Autor takich publikacji jak „Polska myśl socjalistyczna (1918-1948)”, „Idee polityczne w Polsce – wiek XX”, „Ignacy Daszyński”, „Demokracja polska. Idee – ludzie – dzieje”.



Rozmawia Robert Walenciak

Jeżeli popatrzymy na historię Polski Ludowej, to wciąż natykać się będziemy na ślady ludzi PPS, ich dokonania, idee, które im przyświecały.

– Wpływy polskich socjalistów, może poza okresem stalinowskim (1949-1955), widoczne były w skali całego kraju. Józef Cyrankiewicz był premierem rządu. Polityką zagraniczną kierował przez wiele lat Adam Rapacki. Można udokumentować tezę, że polscy socjaliści wywarli decydujący wpływ na ukształtowanie się polskiej *Realpolitik*. Odegrali też istotną rolę w sprawach gospodarczych. Pierwsze powojenne trzy lata odbudowy gospodarki były czasem realizacji planu Czesława Bobrowskiego. To był cały fundament pod odbudowę polskiej ekonomiki.

Bobrowskiego zobaczymy jeszcze po Październiku '56 i po Sierpniu '80!

– W różnych okresach Polski Ludowej, zwłaszcza tzw. przełomów, z kręgów dawnych socjalistów wychodziły propozycje zmiany polityki gospodarczej. Po Październiku '56 powrócił Czesław Bobrowski, była grupa Langego z Michałem Kaleckim. Oni przygotowywali program reform gospodarczych, próbowali wiązać warunki gospodarki planowej z regułami wolnego rynku. Socjaliści odegrali istotną rolę w procesie modernizacji gospodarki i w ogóle modernizacji polskiego społeczeństwa. Po Październiku swoje propozycje reform ustrojowych prezentował Julian Hochfeld, który wtedy

zajmował stanowisko wiceszefa klubu poselskiego PZPR – żeby model dyktatury proletariatu powiązać z systemem demokracji parlamentarnej. Chodziło mu o stworzenie modelu pośredniego między modelem zachodniej demokracji parlamentarnej a modelem wschodnim autorytarnego państwa, czyli – jak to wówczas mówiono – urzeczywistnienie polskiej drogi do socjalizmu.

Nie ten czas i nie to pokolenie

Próba zbudowania takiego modelu to stały motyw w historii Polski Ludowej.

– Z drugiej strony znaczna część socjalistów, kiedy już widziała, że nie jest w stanie zreformować struktur państwa, zaczęła wiązać nadzieje z kształtującą się opozycją. Zresztą ją inicjowali.

W PPS dominował pogląd, że trzeba odbudować kraj i zadbać o odbudowę biologiczną społeczeństwa.

I Klub Krzywego Koła, i KOR.

– Po latach wytykamy, że Jacek Kuroń, Adam Michnik czy Antoni Macierewicz wykorzystali grupę profesorów, grupę starszych panów, do legitymizacji samych siebie. Ale spójrzmy na to z innej strony – przecież Edward Lipiński, Ludwik Cohn, Antoni Pajdak, Aniela Steinsbergowa czy Adam Szczypiorski to symbole tradycji socjalistycznej! To byli ważni członkowie PPS. I oni dawali swoje nazwiska nowym ruchom.

Ale szyldu PPS nie dali.

– W okresach przełomowych Polski Ludowej stale odradzała się idea odbudowy PPS. W latach 1956-1957 w kilku ośrodkach, w Krakowie, Warszawie, Gdańsku, Katowicach, były już konkretne zespoły ludzi, które przygotowywały odbudowę PPS. O podobnych próbach można

mówić i po Grudniu '70, a także w roku 1980. Interesującą próbę odbudowy PPS podjęto w latach 80. Pamiętam rozmowy z Józefem Cyrankiewiczem wiosną 1982 r. Już ostatni wówczas żyjący socjaliści wielkie nadzieje pokładali właśnie w dawnym premierze. Jako starzy konspiratorzy spotykali się w parku Łazienkowski, żeby ktoś ich nie podsłuchał, i zastanawiali się, jak odbudować PPS. Cyrankiewicz nie bardzo chciał na te spotkania przychodzić, unikał

rozmów o reaktywowaniu partii socjalistycznej. Tłumaczył, że nie ma co utrudniać gen. Jaruzelskiemu sytuacji, że nie ten czas i nie to pokolenie... Pamiętam te rozmowy, z Tadeuszem Jabłońskim, z Krzysztofem Duninem-Wąsowiczem, który był po wojnie wiceszefem Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej (ZNMS). W 1987 r. doszło do połączenia się grup socjalistycznych, i tych w kraju, i grupy Ciołkoszów z emigracji, i reaktywowania PPS. Nie wyszło z tego wiele, bo chyba wyjść nie mogło. To były już zupełnie inne warunki, nieprzystające do działań partii socjalistycznej. Choć sprawy, o które PPS walczyła, pozostają aktualne.

Funkcjonowała jedna koncepcja – Józefa Stalina

Jak socjaliści patrzyli na zjednoczenie z PPR?

– Część uznała, że nastąpiło zjednoczenie, i znalazło to wyraz w nazwie nowej partii, inni negowali ten fakt. Mówili, że nastąpiła po prostu likwidacja PPS. Nie wdając się w te kwestie, warto zauważyć, że Polska była ostatnim krajem tzw. demokracji ludowej, w którym nastąpiła integracja partii robotniczych. Wy-



Konferencja na temat odbudowy stolicy. 24 września 1947 r., od prawej: Kazimierz Rusinek, Józef Cyrankiewicz, Stanisław Szwalbe, Czesław Bobrowski.

...czyli tradycja komunistyczna.

– Ale też istotne są tradycja walki o niepodległość, patriotyzm, które wносиła do zjednoczonej partii PPS. Uważał, że połączenie tych dwóch orientacji, rewolucyjnej i niepodległościowej, da nową jakość. To miało być zintegrowanie na zasadach równorzędności. Ale nie wyszło, Gomułkę oskarżono o tzw. odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne i usunięto z partii. Do głosu doszli zwolennicy

i 17 zastępców członka KC. Natomiast w przypadku PPR – 47 i 38. W Biurze Politycznym na 11 członków było już tylko trzech z PPS – Józef Cyrankiewicz, Adam Rapacki i Henryk Świątkowski. Zdecydowanie gorzej ta sytuacja przedstawiała się w przypadku struktur lokalnych.

Ślady, które zostały

Ale w niektórych miejscach wpływy dawnych pepeesowców utrzymały się długo.

– O tak! W edukacji, w nauce... Szczególną tutaj rolę odgrywał wspomniany ZNMS, który był bardzo silny już w latach 30., zwłaszcza na uczelniach. Tam rozwijał działalność. Po wojnie przejawiał bardzo dużą aktywność, jego szefem był Jan Strzelecki, jeden z największych polskich myślicieli społecznych. A jeśli idzie o myśl socjalistyczną, to pierwszy ▶

Pierwsze powojenne trzy lata to realizacja planu Czesława Bobrowskiego – fundamentu pod odbudowę polskiej ekonomiki.

daje się, że nie było możliwe wyczekanie z tą sprawą i przyjęcie innego modelu. Bo tutaj funkcjonowała jedna koncepcja – Józefa Stalina. By ruchowi robotniczemu w poszczególnych krajach nadać kształt komunistyczny, w wersji stalinowskiej.

Gwałtowne przyspieszenie w sprawie zjednoczenia nastąpiło w Polsce na przełomie lat 1947 i 1948.

– To przyspieszenie dotyczyło nie tylko stosunku do socjalistów, ale i samej PPR. Mianowicie w połowie 1948 r. zainicjowano tam walkę frakcji, doprowadzając do usunięcia z władz Władysława Gomułki, który lansował tezę integracji ruchu robotniczego, ale w sposób demokratyczny. Mówił, że ważna jest w tradycji ruchu robotniczego linia rewolucji, dążenie do przemian społecznych...

koncepcji Stalina, z Bolesławem Bierutem na czele. To również podziało na PPS. Swoje pozycje zaczęła umacniać frakcja prostalinowska, z Feliksem Baranowskim, Stefanem Matuszewskim, skupiona wokół czasopisma „Lewy Tor”. W konsekwencji grupa centrowa, z Józefem Cyrankiewiczem, wahająca się wcześniej, teraz, żeby uprzedzić rozwój wydarzeń, rozpoczęła silną akcję na rzecz integracji. Ale tak, żeby przenieść do nowej partii jak najwięcej wartości bliskich PPS, zachować jak najwięcej wpływów.

Parytet, który przyjęto na zjeździe zjednoczeniowym, 2:1 na korzyść PPR, dawał pewne nadzieje.

– I jeśli chodzi o centralne instytucje typu KC czy Biuro Polityczne, to go przestrzegano. Do KC PZPR powołano 22 socjalistów jako członków





Posiedzenie Sejmu 29 października 1947 r. W ławach rządowych od lewej: Adam Rapacki, Michał Kaczorowski (w głębi) i Czesław Bobrowski.

► umysł. Znaczna część profesury, szczególnie w naukach społecznych, wywodziła się z tego kręgu. Miałem zaszczyt, że w tym właśnie kręgu – Jana Baszkiewicza, Marka Sobolewskiego, Marka Waldenberga, Krzysztofa Dunina-Wąsowicza – rozwijałem się i kształtowałem. Była to szczególnie formacja, ich postawy, poglądy były humanistyczne, demokratyczne, nacechowane najlepszymi wartościami. **Symbolem najpiękniejszych postaw jest Irena Sendlerowa, działaczka PPS, a po wojnie radna PZPR w Warszawie.**

– Żegotę w dużym stopniu organizowali socjaliści.

Po wojnie przez wiele lat ludzie PPS zachowali silną pozycję w szkolnictwie.

– Ruch zawodowy nauczycieli, ZNP, w dużym stopniu był przed wojną pod wpływem socjalistów. To zostało. Ale ludzie wywodzący się z PPS zachowali też wpływy w innych środowiskach. Ruch samorządowy w Polsce – tu symbolem jest prezydent Warszawy Stanisław Tołwiński. Ruch spółdzielczy! To Stanisław Szwalbe i dziesiątki podobnych ludzi, jeszcze pamiętających wykłady, spotkania z Edwardem Abramowskim, Stanisławem Wojciechowskim. Świat sportu... Włodzimierz Reczek, cały ruch olimpijski. I lekkoatletyka – co by była warta bez Jana Mulaka, której działalność rozwijał jeszcze przed

wojną w warszawskiej Skrze, typowym klubie robotniczym. Świat kultury – zazwyczaj podaje się nazwisko Andrzeja Struga. Wiele osób było związanych z tą orientacją myślenia o sprawach kultury.

To były mocne związki?

– Pamiętam, rozmawiałem z Andrzejem Wajdą i tak wspominaliśmy: „Przecież jak ja zdawałem do łódzkiej Filmówki – mówił mi – też byłem związany z ZNMS”. Niedawno, bo w ubiegłym roku, czytałem wypowiedź naszego byłego piłkarza i trenera Jacka Gmocha. On bodaj z Pruszkowa pochodzi i wspominał, że jako mały chłopiec był bardzo przejęty ideami, o których opowiadał

W okresach przełomowych Polski Ludowej stale odradzała się idea odbudowy PPS.

mu ojciec, majster w miejscowych zakładach, przedwojenny pepeesiak, socjalista. Do niego w niedzielę po południu przychodzili zawsze koledzy robotnicy i opowiadali o PPS. „W tym wszystkim wyrośłem – mówił Gmoch. – I do końca życia tym będę przejęty”. A organizacje, które działały zaraz po wojnie – ZNMS i OM TUR? Przez nie zdążyły przejść dziesiątki tysięcy młodych ludzi. Przez wykłady, odczyty, spotkania. I to pokolenie funkcjonowało do lat 90. ubiegłego stulecia. Ślady PPS

w kulturze polskiej, idei i ludziach są bardzo bogate i różnorodne.

Usiłował zachować polską substancję

Jak ludzie PPS patrzyli na Polskę Ludową? Budowali ją przecież, ale i z nią walczyli.

– Zdecydowana ich większość nową Polskę przyjęła i zaakceptowała. Z różnych powodów. Z jednej strony, z powodu *Realpolitik*. Bo nie ma innego wyjścia. Liczyć na nową wojnę światową? Nie ma sensu. Z drugiej zaś, po latach wojny społeczeństwo potrzebowało wytchnienia, odbudowy. Jak się czyta wspomnienia osób lepiej zorientowanych w sytuacji, inteligencji twórczej, jak się rozmawia z ludźmi tamtej epoki, to oni uważali, że trwanie w oporze, liczenie na nową wojnę jest bezsensowne. Powstanie warszawskie, w którym wielu brało udział, uważali za bezsensowne. W zdecydowanym stopniu dominował więc pogląd, że trzeba odbudować kraj i przede wszystkim zadbać o odrodzenie się społeczeństwa, o jego odbudowę biologiczną.

A ci, co byli przeciwni?

– To była mniejszość, w dużym stopniu wypchnięta przez ówczesne władze, traktowana jako wrogowie realnego socjalizmu. To byli ludzie pokroju Kazimierza Pużaka; poddani represjom, jeszcze bardziej usztywniali się w swoich postawach. Wystarczy przeczytać wspomnienia tych, którzy siedzieli z Pużakiem w Rawiczu. W pewnym momencie była

wola ze strony władz, żeby go zwolnić z więzienia. Tylko był jeden warunek – żeby napisał oświadczenie. Czyli podpisał lojalkę. On przed

tym się bronił. „Przecież ja carowi nie podpisałem lojalki, a Bierutowi będę podpisywał?”. Tego typu postawy też więc wśród socjalistów istniały – że nowa Polska nie ma nic wspólnego z socjalizmem, że to podległość Moskwie. Ale zdecydowana większość wykazywała realistyczne postawy – że co prawda już nie ma naszej PPS, ale my po prostu działamy, w tych dziedzinach, do których jesteśmy przygotowani, czy to w ruchu oświatowym, czy sportowym, czy spółdzielczym... Dla dobra społeczeństwa.

Czy Józef Cyrankiewicz, premier rządu, trzymał nad tą grupą parasol ochronny?

– Usiłował w jakiś sposób zachować polską substancję. Żeby było jak najmniej represji, prześladowań. Jeśli mógł, to pomagał. Choć wiele spraw było nieoczywistych, jak choćby ta Kazimierza Pużaka, który wcześniej był szefem Cyrankiewicza w krakowskiej PPS. Można by zapytać: dlaczego jego były szef partyjny siedzi w więzieniu, a on jest premierem i nie może załatwić, żeby go wypuszczono? Dlaczego na to więzienie pozwala? Ale trzeba pamiętać, jakie były czasy. Samego Cyrankiewicza inwigilowano. Zbierano materiały przeciw niemu. Może więc nie mógł... Ale jeśli zdołał, jeśli było to możliwe, to dziesiątki ludzi uratował. Pewne jest też to, że był politykiem wybitnym. Jak na warunki Polski Ludowej starał się, by działania państwa i polskiej polityki w miarę możliwości odpowiadały polskim interesom. Dzięki tego typu zachowaniom i postawom system realnego

socjalizmu w Polsce znacznie się odróżniał na korzyść od pozostałych krajów zależnych od ZSRR.

Rapacki także prowadził inną politykę zagraniczną.

– Plan Rapackiego! To była polska inicjatywa. A postawa Rapackiego i Cyrankiewicza, gdy dostrzegli, że wszystko to zmierza w złym kierunku, kiedy Gomułka w sprawach wewnętrznych poszedł w kierunku antysemickim... Wtedy Rapacki demonstracyjnie zrezygnował ze stanowiska.

Rząd dusz przejął kler

Dlaczego nie wychowali sobie następców?

– Pojawiła się przerwa międzypokoleniowa. Nastąpił jakiś skręt polskiego społeczeństwa, szczególnie młodego pokolenia, tego posierpniowego, w prawo. I to jest problem, że dzisiejsze pokolenie 40-, 50-latków poszło w tym kierunku. Ale optymistycznie patrzymy w przyszłość – bo okazuje się, że kolejne pokolenie, już

posolidnościowe, jest pokoleniem lewicującym. Może nie w duchu pepeesowskim, bo wiele nazwisk ludzi ze świata socjalizmu polskiego nic tej generacji nie mówi. Ale reprezentuje ona poglądy lewicowe.

Lewica znów stanie się atrakcyjna?

– Kto był główną siłą inicjującą odbudowę niepodległości? Socjaliści! Jednak gdy w 1919 r. doszło do wyborów, zaledwie co dziesiąty wyborca głosował na PPS, okazało się, że rząd dusz ma Narodowa Demokracja. Nie pepeesowcy. Taka była Polska – nurt lewicujący był nurtem mniejszościowym. To samo z Solidarnością. Typowy ruch robotniczy, a przejął go Kościół, kler. Robotnicy, jak czytamy we wspomnieniach ze strajków, nie chcieli wykładu o Limanowskim, chcieli mszę. I dlatego tak ważne jest, że coś zaczęło się w naszym społeczeństwie dziać, że już widać, że nie jesteśmy skazani na prawicę. Że odbudowują się tendencje lewicowe. I że pójdziemy w tym kierunku.

Robert Walenciak

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

JESTEŚMY OTWARCI !!!

PAŁAC PRZEBENDOWSKICH/RADZIWIŁŁÓW
GŁÓWNA SIEDZIBA MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI
ZAPRASZA DO ZWIEDZANIA WYSTAW STAŁYCH



al. Solidarności 42
00-240 Warszawa

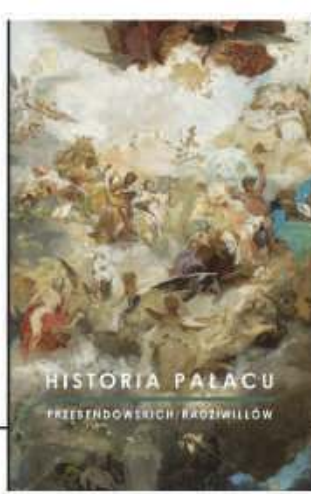
Muzeum jest otwarte
od środy do niedzieli
od 10.00 do 17.00
(ostatnie wejście 16.30)



POLONIA RESTITUTA
O NIEPODLEGŁOŚĆ I O KRAJECIE 1914-1921



KRESY I BEZKRESY
W TRIOKACH MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI



HISTORIA PAŁACU
PRZEBENDOWSKICH/RADZIWIŁŁÓW



Z ORŁEM BIAŁYM PRZESZ WIEKI
SYMBOL WŁADCÓW, PAŃSTWA I NARODU

ODWIEDŹ NASZĄ KSIĘGARNIĘ INTERNETOWĄ: KSIEGARNIA.MUZEUM-NIEPODLEGLOSCI.PL

Dzieciństwo w żałobie

Co roku we Francji 165 tys. dzieci zostaje zgwałconych, jedna dziewczynka na pięć pada ofiarą molestowania seksualnego

Joanna Orzechowska
Korespondencja z Paryża

Czy w dobie internetu literatura wciąż może wywołać społeczną rewolucję? Historia książki Camille Kouchner – z zawodu prawniczki, a w życiu prywatnym córki polityka Bernarda Kouchnera i jego ekszony Evelyne Pisier – udowadnia, że tak. „La Familia grande” („Duża rodzina”) ukazała się 7 stycznia i zmieniła Francję. Tytuł ten jest dziś znany wszystkim, nie tylko z racji talentu autorki – Camille Kouchner ujawnia w książce gwałty, jakich dopuszczał się przez lata na jej bracie bliźniaku ojczym – znany politolog Olivier Duhamel, ulubieniec programów telewizyjnych, prezes fundacji zarządzającej elitarnym Instytutem Nauk Politycznych w Paryżu (Sciences Po) i bliski doradca prezydenta Emmanuela Macrona.

Książka Camille Kouchner wywołała we Francji społeczną rewolucję.



W każdej klasie trzy ofiary

O skłonnościach politologa wiedzieli na dobrą sprawę wszyscy, w tym, przynajmniej od dwóch lat, dyrektor Instytutu Nauk Politycznych Frédéric Mion, poinformowany przez byłą minister kultury Aurélie Filippetti. Żadne z nich jednak nie powiadomiło wymiaru sprawiedliwości. Trzeba było dopiero skandalu wywołanego publikacją książki oraz manifestacji i petycji studentów uczelni, aby Mion podał się do dymisji, przed czym zresztą bronił się jak mógł. Duhamel zrezygnował z pełnionych funkcji natychmiast po ukazaniu się „Wielkiej rodziny”, pociągając za sobą politycznych przyjaciół i popleczników – w tym byłą minister sprawiedliwości oraz zatrudnienia i solidarności

społecznej Élisabeth Guigou, stojącą na czele... powołanej 10 grudnia 2020 r. niezależnej komisji do spraw kazirodztwa, i Marca Guillaume’a, prefekta regionu paryskiego, który sprawował różne funkcje u boku politologa i złożył rezygnację, czując się „zdradczony”. Nie należy jednak sądzić, że opisany przez Camille Kouchner przypadek kazirodztwa należy do rzadkości – na stronie internetowej szanowanej France Culture można przeczytać, że jest to „praktyka wywołująca społeczną dezaprobatę, ale rozpowszechniona”.

To niestety prawda – według statystyk (w tym instytutu badań demograficznych, INED) problem ten dotyczy we Francji co 10. osoby, czyli, bagatela, 6,7 mln! Co roku 165 tys. dzieci zostaje zgwałconych, jedna dziewczynka na

pięć pada ofiarą molestowania seksualnego, a każda klasa liczy co najmniej trzy małe ofiary kazirodztwa. W ciągu ostatnich 10 lat ich liczba się potroiła – w 2009 r. mówiło się oficjalnie o 2 mln przestępstw. Psychiatra i wiktymolożka Muriel Salmona opisuje mechanizm „systemu agresji” budowany przez rodzinnych oprawców – dzieci stają się w nim nie tylko ofiarami, ale także niejako gwarantami trwałości rodziny, zakładnikami w świecie hipokryzji i milczenia. Według badań przeprowadzonych przez Muriel Salmonę 70% skrzywdzonych denuncjuje swojego agresora średnio po upływie 10 lat. Jedynie 8% zostaje wysłuchanych – innym po prostu się nie wierzy, uciekając przed odpowiedzialnością i wypierając rzeczywistość. Fenomen ten dotyczy wszystkich środowisk – zarówno najbiedniejszych warstw społecznych, jak i rodzin wielkiej burżuazji oraz arystokracji, w których kazirodztwo istnieje od



pokoleń: molestowane i krzywdzone dzieci, którym wmawia się, że wszystko toczy się normalnym torem, kopiując otrzymany w spadku model we własnych rodzinach. Często przytacza się tu przykład ojca piosenkarki Barbary, któremu miała poświęcić piosenkę „Czarny orzeł”, czy artystki Niki de Saint Phalle, ofiary swojego dystygowanego ojca. Kazirodstwu sprzyja bowiem system społeczny, oparty na dominacji i agresji – wygrywa silniejszy, to on narzuca reguły gry.

Poznałam trzy czy cztery ofiary kazirodstwa – wszystkie wywodziły się z tzw. dobrych rodzin. Jedną jako dziewczynkę była przez kilka lat gwałcona przez brata przy milczącej akceptacji rodziców, druga przeżyła dramat rodziny z powodu siostry, również gwałconej przez starszego brata, trzecia padła ofiarą ojca, zapalonego fotografa, który regularnie rozbierał do zdjęć własne córki i inne dziewczynki z rodziny. Po jego śmierci, już jako dorosła kobieta, odnalazła pudła niewywołanych klisz – zaczęła wtedy zadawać sobie pytanie, czy anoreksja, a następnie śmierć jej córki nie miały czegoś wspólnego z osobą dziadka. Reguła jest wciąż ta sama: rodziny nie wiedzą i nie chcą wiedzieć. Nie widzą, a nawet jeśli widzą, to odrzucają prawdę. Mało tego, gwałciciele cieszą się często ich szacunkiem i miłością.

Niech kaci drżą

Co na to prawo? Chociaż kazirodstwo jest we Francji zabronione, system sprawiedliwości nie karze go jako takiego – stanowi element obciążający w przypadku utrzymywania stosunków seksualnych z osobą poniżej 15 lat czy też gwałtu. Po osiągnięciu wieku dojrzałości seksualnej i w kontekście relacji opartej na obopólnej zgodzie kazirodstwo nie jest karane. Przed rewolucją francuską było zabronione jako obraza moralności – oznaczało relacje seksualne utrzymywane między członkami szeroko pojętej rodziny, również tymi, których nie łączyły więzy krwi. Za czasów ancien régime'u sądzone były obie osoby i chociaż dzieci z reguły uniewinniano, uczestniczyły w procesach na równi z dorosłymi. Dopiero rewolucja

francuska wprowadziła pojęcie ofiary – kazirodstwo zniknęło jednak wtedy z Kodeksu karnego, aby ponownie pojawić się w 1810 r. w Kodeksie Napoleona, używanym aż do roku 1994. Przez te wszystkie lata zaliczano je do kategorii przestępstw natury seksualnej, tak jak gwałt i obraza moralności, z tym że od 1863 r. system sprawiedliwości chronił potencjalne ofiary w łonie rodziny aż do ukończenia przez nie 21 lat (w przypadku braku więzi rodzinnych – do 15). W 1994 r. po reformie Kodeksu karnego obraza moralności stała się agresją seksualną, pojęcie gwałtu pozostało bez

dnia osiągnięcia przez nie pełnoletności – to początek rewolucji.

Po rewelacjach Camille Kouchner mają się pojawić kolejne zmiany w prawie. Jej bolesna spowiedź, adresowana do zmarłej matki, wywołała bowiem lawinę – pod koniec stycznia w mediach społecznościowych powstał, na wzór wcześniejszego ruchu „Balance ton porc” („Zadenuncjuj swoją świnię”) i światowego tsunami #MeeToo, hashtag #MeeTooInceste, który w ciągu tylko jednego dnia został zalany ponad tysiącem świadectw. W trakcie posiedzenia Rady Ministrów głos

Dzieci stają się nie tylko ofiarami, ale także niejako gwarantami trwałości rodziny, zakładnikami w świecie hipokryzji i milczenia.



Aktor Richard Berry został oskarżony o gwałt przez córkę, Camille Berry.

zmian, stworzone zostało natomiast przestępstwo nadużycia seksualnego na osobie nieletniej. Fakt kazirodstwa mógł być od tej pory uznany przez sędziego za element obciążający, ale nie w sposób automatyczny – zależało to od oceny stanu świadomości dziecka. Formuła „kazirodstwo” pojawiła się w Kodeksie karnym ponownie w 2016 r., wciąż jako czynnik obciążający, dwa lata później zaś w tzw. prawie Schiappa powrócono do zasady popełnienia gwałtu na wszystkich nieletnich przed ukończeniem 15. roku życia. Okres przedawnienia skargi ofiar przedłużono do 30 lat od

na ten temat zabrał sam prezydent Emmanuel Macron, podkreślając wyzwolicielską rolę wyznań, a jego żona Brigitte, matka trojga dorosłych dzieci i babcia, wypowiedziała się 17 stycznia br. w wywiadzie dla dziennika telewizyjnego za reformą Kodeksu karnego. „Niech kaci drżą”, napisał w tweecie przyrodni brat Camille Kouchner, Alexandre, deklarując, że jest dumny z rodzeństwa.

Pojawiły się nowe oskarżenia: Camille Berry, córka aktora Richarda Berry'ego, złożyła skargę na słynnego ojca, oskarżając go o gwałt, kazirodcze zachowania i zmuszanie do uczestnictwa w seksualnych zabawach dorosłych, kiedy miała 8-10 lat, wszystko przy akceptacji jego ówczesnej partnerki – piosenkarki Jeane Manson. Prezes Narodowego Centrum Kinematografii Dominique Boutonnat, protegowany prezydenta Macrona, został z kolei oskarżony przez 22-letniego chrześniaka o próbę gwałtu w czasie wspólnych letnich wakacji. Policja kryminalna prowadzi również śledztwo przeciwko producentowi filmowemu Gérardowi Louvinowi, którego 48-letni dziś bratanek oskarża o współudział w organizacji gwałtu. Obiektem oskarżeń o agresję seksualną, tym razem nie kazirodcze, stały się też inne znane postacie świata kultury: aktor Gérard Depardieu, dziennikarz Patrick Poivre d'Arvor, artysta plastyk Claude Lévêque oraz działacz partii komunistycznej Maxime Cochard.

- Fala rozchodzi się coraz szerzej – studenci renomowanych uczelni ujawnili królujący w nich seksistowski i opresyjny system, z gwałtami włącznie, a poseł prezydenckiej partii LREM Bruno Questel oświadczył publicznie, że sam padł jako dziecko ofiarą przemocy seksualnej.

Prawo w kobiecych rękach

Czy wreszcie coś w tej materii się zmieni, z mentalnością włącznie? Wydaje się, że tak. Powołanie komisji do spraw kazirodztwa, mającej przedstawić raport w... 2023 r., okazało się wprawdzie totalnym fiaskiem z powodu osoby Élisabeth Guigou, ale do francuskiego Senatu wpłynęło kilka propozycji ustaw wzmacniających ochronę nieletnich i wprowadzających surowsze kary dla agresorów. Co znamienne, wszystkie projekty są autorstwa kobiet, reprezentujących różne opcje polityczne. Senatorka centrum Annick Billon proponuje utworzenie pojęcia „przestępstwa seksualnego” oraz zakaz wszelkich relacji seksualnych między dorosłym a osobą, która nie ukończyła 13 lat. Projekt, analizowany przez Senat 21 stycznia br. i wzbogacony o środki mające na celu walkę z kazirodztwem, spotkał się z krytyką ze strony stowarzyszeń obrony dzieci oraz adwokatów zajmujących się sprawami gwałtów na nieletnich



Prezesa Narodowego Centrum Kineematografii Dominique’a Boutonnata o próbę gwałtu oskarżył 22-letni dziś chrześniak.

– ich zdaniem kategoria wieku może stanowić argument w rękach obrony.

Postanka prezydenckiej partii LREM Alexandra Louisa pragnie z kolei zachować w tej kwestii dotychczasowy limit 15 lat, wprowadzając

do prawa Schiappa, przedstawioną przez senatorkę Partii Socjalistycznej Marie-Pierre de La Gontrie – kazirodcze relacje z osobą nieletnią miałyby odtąd być karane 10 latami więzienia i grzywną w wysokości 150 tys. euro. Marie-Pierre de La Gontrie i senatorka Partii Zielonych Esther Benbassa uzyskały również aprobatę dla definicji „przestępstwa seksualnego” rozszerzonej o dodatkowy wachlarz praktyk.

Aby walczyć z omertą rodzin – znową milczenia w imię fałszywie pojętej solidarności i wspólnych interesów – komisja senatorska przyjęła poprawkę postanki prawicowej partii Les Républicains Marie Mercier, wydłużającą okres przedawnienia w przypadkach złego traktowania, ukrywania agresji seksualnej na nieletnich i niedenuncjowania sprawców. Christophe Castaner, przewodniczący grupy partii LREM w Zgromadzeniu Narodowym, zapowiedział prace nad kolejną propozy-

Hashtag #MeeToolnceste w ciągu jednego dnia został zalany ponad tysiącem świadectw.

jednocześnie dwie kategorie przestępstw, w zależności od rodzaju stosunków seksualnych.

W międzyczasie Komisja Prawna Senatu zaakceptowała poprawkę

cją, na temat konieczności ochrony dzieci wypowiedział się także minister zdrowia Olivier Véran.

Świat polityczny doczekał się również w końcu reakcji kontrowersyjnego ministra sprawiedliwości i adwokata Érica Duponda-Moretiego – jego projekt przewiduje rozłożenie okresu przedawnienia przestępstwa, tak aby wszystkie osoby skrzywdzone mogły zachować status ofiary. Polega to na tym, że jeśli są np. cztery ofiary i przestępstwo w przypadku dwóch się przedawniło, a w przypadku pozostałych nie, te dwie pierwsze będą mogły złożyć skargę i mimo przedawnienia korzystać ze statusu ofiary.

Francja wyraźnie się ruszyła. Camille Kouchner, a wcześniej jej odważne siostrzyce – Vanessa Springora, obnażająca pedofilię znanego pisarza Gabriela Matzneffa, czy Flavie Flament, ofiara fotografa Davida Hamiltona, wygrały pojedynkę z systemem. Miejmy nadzieję, że nie na chwilę. Droga jest długa, ale należy nią podążać.

Joanna Orzechowska





Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Chcę, mogłem, nie zaszczepiłem się

Być może zasadnym pytaniem jest, czy warto ryzykować życie (swoje i innych), żeby napisać felieton. Wprawdzie sytuacja i wybór, którego dokonałem, nie były tak określone, ale w końcu nie można wymagać od innych dobrej woli w interpretowaniu naszych decyzji i postaw. Raczej jest wręcz przeciwnie. Otóż mając niespełna 60 lat, nie będąc pracownikiem służby zdrowia, żyłem w przekonaniu, że sobie poczekam na szczepienie przeciw COVID-19, bo tak to zostało zorganizowane. Jestem zwolennikiem szczepień, w tym antycydowych, niezależnie od wątpliwości związanych z tempem i regułami powstawania czy testowania tych szczepionek. Chciałbym być zaszczepiony, ponieważ generalnie, chociaż zapewne nie fundamentalnie, przestrzegam zaleceń (bo przez indolencję i bylejakość władzy nie są to wiążące nas reguły) dotyczących zasłaniania twarzy, dystansu, niespotykania się itd. Dlaczego więc, kiedy taka szansa się pojawiła, nie skorzystałem z niej i nie zapisałem się na szczepienie?

Postaram się to wyjaśnić, w dużej mierze wyjaśniam to także czy przede wszystkim samemu sobie, bo nadal biję się z myślami. Jako pracownik uczelni nie bardzo rozumiałem dla mnie rzutem na taśmę zostałem nagle przeniesiony do grupy mającej realną szansę na zaszczepienie się. I o ile zrozumiałe i pożądane jest szczepienie nauczycieli, którzy mają kontakt bezpośredni z uczniami w szkole, o tyle w moim przypadku nie jest

to już tak oczywiste, delikatnie ujmując – ja niestety z moimi studentami od marca zeszłego roku mam wyłącznie relacje cyfrowe i tak będzie co najmniej do października tego roku.

No, nie ja sam przeskokczyłem, przedstawiono mnie w tej kolejce. Dostałem bonus od władzy, od premiera „Koronawirus jest w odwrocie. Już teraz nie trzeba się jego bać. Trzeba pójść na wybory tłumnie 12 lipca” Morawieckiego, od ministra zdrowia, ministra edukacji i władz mojej uczelni. Poczułem się z tym źle. Nie potrafiłem tego zaakceptować, choć przecież, niezależnie nawet od fizjologicznego niemal instynktu przetrwania, widzę też racje przemawiające za tym, żeby nie filozofować, tylko brać, co dają, bo to może życie uratować. Okazało się jednak, że jestem na takim etapie życia, kiedy rozważania nad przywilejami, szczególnie przywilejami niezasłużonymi (lubiłem np. przywileje, z których nie korzystałem, ale mogłem, jako honorowy dawca krwi), sprawiły, że nie byłem w stanie wspiąć się do tej kolejki. Walka racjonalnego (trzeba się szczepić, szczepionki są OK, każdy zaszczepiony zwiększa pulę wszystkich nienarażonych i bezpiecznych) z nieracjonalnym – my, którzy nie kontaktujemy się bezpośrednio ze studentami, mamy wyskoczyć przed tych, którzy kontaktują się z innymi

codziennie, przez wiele godzin, nie mając wpływu na to, jak ci inni się zachowają (sklepy, działające usługi, personel pomocniczy itd.) – przeważała szale. Zdecydowałem: nie biorę w tym udziału na takich warunkach. Nie mogę, nie chcę. Nawet jeśli to nic nie zmieni. Nawet jeśli to oznacza, że nikt inny nie dostanie tej potrzebnej dawki, bo system przewidywał ją dla Ciebie, z mocy Twojego uprzywilejowania.

Jako biały, zasadniczo heteronormatywny mężczyzna w wieku dojrzałym+, z Europy, należę do wąskiej, najbardziej uprzywilejowanej grupy zamieszkujących nasz glob. Problemu męskiej władzy, jak sądzę, nie da się dłużej zamiatować pod dywan, udawać, że jej nie ma, różną głupą, że to, że tamto. Władza symboliczna jest oczywiście w jakiejś mierze niewymierna i niepoliczalna, co nie zmienia faktu, że jest równocześnie potężna, wszechwładna i niesłychanie trudno zbywalna, zwłaszcza w takim społeczeństwie jak polskie: katolickim, patriarchalnym, konserwatywnym, zachowawczym. Ten przywilej przyspieszonego zaszczepienia się bez sensownych racji wywołał we mnie efekt masy krytycznej, ładunki niechęci do niezasłużonego traktowania skumulowały się i podjąłem decyzję: nie zapisuję się, czekam. Nie walczę o siebie, choć dostaję to na tacy, nie

wchodzę w kolejkę, bo mogę, bo inni nie widzą problemu. Ja widzę. Nie jestem równocześnie ewangelistą w wojnie o szczepionki. Z drugiej strony może należałoby oczekiwać, że taka grupa zawo-

dowa jak nauczyciele akademicki zada pytanie publicznie i w zorganizowany sposób, dlaczego jest traktowana lepiej, skąd ta nagroda, jakie racje stoją za tym, żeby już teraz została nagrodzona szczepieniami. Żeby w październiku być OK? A studenci zostaną do tego czasu zaszczepieni? A administracja? A osoby sprzątające? A pilnujący budynków i sal uczelnianych? Dlaczego to się dzieje zniechacka i wedle niezrozumiałych reguł?

Podczas ubiegłotygodniowych protestów garstki młodych ludzi z Extinction Rebellion blokujących ulice Warszawy w obronie klimatu (uwrażliwienia na temat i jego wagę) na transparentach widniało bolesne wyznanie: „Boję się tego, że będę musiał zabijać w wojnie o wodę”. Może dostęp do szczepionek jest również dobrym i wystarczającym pretekstem do zadania sobie i nam wszystkim pytania o to, gdzie nasza solidarność, gdzie reguły wspólnotowe, gdzie przywileje kasty, klasy, gdzie zasadność pierwszeństwa jednych przed drugimi, komu przywilej, a komu pominięcie.

No i oczywiście na koniec życzę sobie i wszystkim zdrowia i dobrego życia we wspólnocie społecznej, którą tworzymy i nazywamy Polską.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Problemu męskiej władzy nie da się dłużej zamiatć pod dywan.

Szczepienia czynią wolnym

Polonia brytyjska podzielona wobec szczepionek przeciw koronawirusowi



30 stycznia 2021 r. Uniwersytet w Hull rozpoczął szkolenie osób wykonujących szczepienia w celu wsparcia brytyjskiego programu szczepień przeciwko COVID-19.

Zuzanna Muszyńska

Do końca lutego 2021 r. ponad 20 mln osób otrzymało co najmniej jedną dawkę szczepionki przeciw COVID-19. Wielka Brytania znajduje się na szczycie rankingu szczepień (31,7 dawki na 100 mieszkańców), po Izraelu (92,4 dawki) i Zjednoczonych Emiratach Arabskich (62,6 dawki). Co trzecia dorosła osoba została zaszczepiona jednokrotnie. Drugą dawkę przyjęło ponad 844 tys. osób (1,2% populacji).

Anna Krawczyk, dietetyczka z londyńskiego szpitala Royal Marsden, pierwszą dawkę szczepionki Pfizera dostała w grudniu. Zaznacza, że wielu jej współpracowników było niezadowolonych, gdy okazało się, że wbrew zaleceniom producenta okres oczekiwania na drugą dawkę wydłużono z trzech-czterech do

12 tygodni (chodziło o dotarcie do jak największej liczby pacjentów, co powinno spowodować odciążenie NHS i zmniejszyć liczbę zgonów – przyp. aut.). Anna pracowała do niedawna na internie przy pacjentach z koronawirusem. – Chorzy tracą apetyt, a zapotrzebowanie kaloryczne organizmu jest podwyższone. Podajemy w takich sytuacjach doustne suplementy żywieniowe. Pacjentów pod respiratorami żywimy pozajelitowo – tłumaczy. Dodatkowo zatrudniła się w punkcie szczepień, właśnie przechodzi ostatni trening. Pomoc przy programie szczepień uważa za pokoleniową szansę.

Program poprzedziły badania nad szczepionką przeciw COVID-19. Jednym z 300 tys. ochotników został Karol Ekert. – Zgłosiłem się już w lipcu 2020 r. – opowiada. – Przebadano mnie, również na obecność przeciwciał. Podwójnie ślepa próba

świadczy o rzetelności badaczy. Miałem co jakiś czas konsultacje telefoniczne. Przez pierwszy tydzień codziennie mierzyłem temperaturę, wypełniałem szczegółowy kwestionariusz.

W lutym NHS zaprosiła Karola, który pracuje jako opiekun, na standardowe szczepienie. Trzeba było podjąć decyzję – albo nadal brać udział w badaniach, albo przyjąć „pewną” szczepionkę. Trzykrotnie upewniano się, że Karol rezygnuje, wtedy dopiero powiedziano mu, że otrzymał placebo. Zgodnie z zasadami po otrzymaniu placebo dostaje się dwie dawki normalnej szczepionki, po autentycznej szczepionce próbnej – jedną. – Właśnie zostałem zaszczepiony pierwszą dawką od AstryZeneki – mówi Karol. – Odczuwam objawy lekkiej grypy. Zdecydowałem się przerwać testy, gdyż żyję pod jednym dachem z osobą w grupie ryzyka i boję się mutacji wirusa, który już zdążył poważnie doświadczyć moją rodzinę. Zmarł wujek, stryj ma zniszczone płuca i krtań. Mama ciężko przechorowała covid, a dwa tygodnie temu tata miał pocovidowy zawał i udar. Córka kuzynki po bezobjawowym zakażeniu wylądowała w szpitalu z podejrzeniem zawału.

Szczepionkowe być albo nie być

Pierwsza faza szczepień trwała od grudnia. Na początku kolejki znaleźli się rezydenci i pracownicy domów opieki, za nimi osoby powyżej 80. roku życia oraz pracownicy służby zdrowia i społeczeństwo. Do przedziału wiekowego 70-75 lat dołączyli pacjenci z grup podwyższonego ryzyka z powodów medycznych. Wśród nich Artur Kieruzal z Londynu: – Jestem po pierwszej dawce i nie mogę się doczekać drugiej. Zostałem zaszczepiony z powodu choroby autoimmunologicznej Leśniowskiego-Crohna. Przyjmuję leki immunosupresyjne. Podczas wizyty w centrum szczepień zobaczyłem masę

młodych ludzi. Nie sądziłem, że jest nas aż tak wielu.

Artur obserwuje proces walki z pandemią z pozycji nie tylko obywatela i pacjenta, ale również dziennikarza. Dostrzega zmianę w podejściu do szczepień. Angażuje się w ich promowanie, wchodząc w dyskusje w mediach społecznościowych. – O ile większość Brytyjczyków rozumie istotę szczepionek, o tyle wśród Polaków górą nad rozumem biorą zabobony – irytuje się. – Wielu niezdecydowanych, widząc „odwagę” innych, decyduje

ośrodku w Aylesbury, który specjalizuje się w opiece nad ludźmi z niepełnosprawnościami, m.in. z porażeniem mózgowym, autyzmem i stwardnieniem rozsianym. Pracowników ośrodka zaszczepiono w styczniu, teraz przyszła kolej na rezydentów. – Każdy ma prawo odmówić – wyjaśnia Adrianna. – Wszyscy składamy pisemną deklarację, czy wyrażamy zgodę na szczepionkę. Niektórzy podopieczni boją się wizyty w centrum – ci zostaną obsłużeni u nas, na miejscu. Jedna osoba odmówiła poddania się

dwadzieścioro, poza mną trzy osoby z Anglii i ośmiu Szkotów. Wszyscy się zaszczepili, pierwszą dawkę dostaliśmy w styczniu. Nikt nie miał obiekcji, niektórzy wręcz nie mogli się doczekać – relacjonuje. – Miałam wątpliwości co do krótkiego terminu dopuszczenia szczepionki i skutków ubocznych. Myślę, że osoby, które mają bezpośredni kontakt z chorymi na covid, chętniej poddają się szczepieniu.

Uniwersytet w Oksfordzie oraz Londyńska Szkoła Higieny i Medycyny Tropikalnej podają, że w grupie osób powyżej 80. roku życia jest bardzo wiele nierówności – osób o czarnym kolorze skóry zaszczepiono aż o jedną trzecią mniej niż białych. W najuboższych regionach odsetek zaszczepionych 80-latków jest niższy (85%) niż w najzamożniejszych (94%).

Odkąd zalecono w styczniu wydłużoną przerwę pomiędzy pierwszą i drugą dawką szczepionki, program znacznie przyspieszył, osiągając w lutym rekordową liczbę 400 tys. dawek dziennie (za Stanami Zjednoczonymi, Chinami i Indiami). Średnia tygodniowa liczba dawek spada ze względu na opóźnienia w dostawach. Wielka Brytania zamówiła w sumie 400 mln dawek siedmiu najbardziej obiecujących szczepionek. Rząd brytyjski zamówił też profilaktycznie 50 mln dawek szczepionki firmy CureVac, która miałaby zwalczać nowe warianty wirusa.

Droga ewakuacyjna

„Szczepionki są drogą do wolności”, takie hasło w listopadzie zeszłego roku widniało na okładce londyńskiego dziennika „Even-

O ile większość Brytyjczyków rozumie istotę szczepionki, o tyle wśród Polaków nad rozumem górą brały zabobony.

się na ten krok. Szkoda tylko, że do zaszczepienia się trzeba być odważnym, a nie świadomym.

Podobnego zdania jest Michał Kapelski, architekt, który też trafił do grupy podwyższonego ryzyka z powodu przyjmowania leku immunosupresyjnego. Zaraz po otrzymaniu szczepionki Michał pochwalił się tym w mediach społecznościowych. Sądzi, że jego wpis pomógł co najmniej kilku mniej przekonany znajomym. – Skala dezinformacji i powielanych fake newsów jest przerażająca – ocenia. – W polskich grupach jest duży odsetek ludzi, którzy twierdzą, że pandemia to spisek.

Michała zaszczepiono w styczniu w szpitalu St. Thomas. Po dwóch tygodniach dostał telefon, że zmieniły się zalecenia medyczne i osoby z jego schorzeniem otrzymają drugą dawkę w zalecanym przez Pfizera terminie. Przyjął ją w połowie lutego. – Dotychczas nie odnotowałem żadnych skutków ubocznych. Mogę wyłącznie pochwalić program szczepień za łatwość rejestracji, możliwości wyboru terminu, i to rychłego. Centra szczepień – często są to namioty polowe na zewnątrz szpitali – są tak zorganizowane, że od punktualnego przybycia na miejsce do momentu podania szczepionki mija ok. 15 minut.

Warunki odmowy

Nie wszyscy chcą się zaszczepić mimo przynależności do grup wysokiego ryzyka. Z taką sytuacją spotkała się Adrianna, pracowniczka

szczepieniu, gdyż panicznie boi się igieł. Cierpi na autyzm.

Kilka osób z personelu również odmówiło przyjęcia szczepionki. Ich argumenty są poufne, ale z rozmów wynika, że niczym się nie różnią od tych głoszonych przez sceptyków – za mało badań, za dużo niewiadomych na temat skutków ubocznych, spisek firm farmaceutycznych bądź to, że składnik jednej ze szczepionek kłóci się z wypełniaczem warg (ang. *lip filler*). – Zdecydowana większość z nas rozumie powagę sytuacji i jeśli miała wątpliwości, to już je pokonała, w czym pomogła nasza szefowa. Na jednym z mityngów wygłosiła krótki wykład na temat szczepień – podsumowuje Ada.

Wszystkie regiony Anglii poza Londynem oraz Szkocja i Walia zaszczepiły ponad 90% osób 70-letnich i starszych (Londyn – 84%). Podobne dane napływają z północy Wysp. – Północni Irlandczycy szczepią się bardzo chętnie – potwierdza

Rząd brytyjski zamówił profilaktycznie 50 mln dawek szczepionki firmy CureVac, która miałaby zwalczać nowe warianty wirusa.

Nikoletta Majewska, pracowniczka domu opieki w Belfaście. – Ja jestem po dwóch szczepionkach. Z moich kolegów nie zaszczepili się ci z Europy Wschodniej i jeden Pakistańczyk. Sama miałam trochę obaw przed skutkami ubocznymi u kobiet chcących zajść w ciążę.

Edyta Majewska, mama Nikolett, pracuje w prywatnym domu opieki w Glasgow. – Jest nas

ning Standard” wkrótce po publikacji badań instytutu YouGov, według których aż 25% londyńczyków nie zamierzało poddać się szczepieniu przeciw koronawirusowi. To samo hasło znalazło się na ulotkach ze zmodyfikowanym rysunkiem obozu śmierci w Auschwitz – zastąpiło na nich napis „Arbeit macht frei”. Policja aresztowała znanego działacza antyszczepionkowego Piersa Corbyna, brata ▶

► byłego lidera Partii Pracy, Jamesa. Corbyn roznosił ulotki w Barnet na północy Londynu, gdzie mieszka duża społeczność żydowska. Według ekspertów ds. zdrowia za podwójną tragedię można uznać fakt, że wysoki stopień sceptycyzmu wobec szczepionek występuje właśnie wśród mniejszości etnicznych, bardziej niż inne grupy społeczne narażonych na zgon po zakażeniu koronawirusem.

W trzeciej fazie programu, wiosną, zaszczepione zostanie pozostałe 21 mln dorosłych rezydentów Wielkiej Brytanii.

Według zeszłorocznych badań naukowców z Londyńskiej Szkoły Higieny i Medycyny Tropikalnej w środowiskach polonijnych odsetek sceptyków wobec szczepionki utrzymywał się na wysokim poziomie – osoba mówiąca po polsku zamieszkała w Wielkiej Brytanii była o 55% mniej skłonna do przyjęcia szczepionki niż rodowity Anglik czy Walijczyk. Dla Marty z Newcastle sprawa jest jednoznaczna – ona i mąż na pewno się nie zaszczepią. – Oboje jesteśmy w grupie wiekowej 35-39 lat, ogólnie zdrowi i nawet jeśli złapiemy covid, nie będzie on zagrażał naszemu życiu – twierdzi. – Badania nad szczepionką zaczęły się już w 2002 r. przy epidemii SARS-CoV-1. Zgodnie z protokołem testy wykonywano najpierw na zwierzętach. Do badań na ludziach nigdy nie doszło, ponieważ fretki cierpiały na poważne choroby autoimmunologiczne i dalszych testów zaniechano. W przypadku szczepionki na SARS-CoV-2 przeskoczono etap testów na zwierzętach, skupiając się na ludziach. Do tego testy były niepełne, mało rygorystyczne (brak placebo), badania trwały niezwykle krótko, a ich uczestnicy cierpieli na niepokojące skutki uboczne.

Marta dba o zdrowie synów metodami naturalnymi, nie stosuje farmakologii. Już będąc w ciąży, odmówiła rutynowych szczepień, kierując się przypadkiem znajomej, której dziecko zaczęło chorować dopiero po szczepionkach wieku dziecięcego. W Anglii, podobnie jak w Polsce, namawia się rodziców do szczepień, a nawet straszy śmiertelnymi konsekwencjami ich odmowy. Ale przymusu nie ma. – W szkole, gdzie co roku szczepi się dzieci na

grypę, nie rozmawiamy otwarcie o naszym wyborze, bo traktuje się nas bez zrozumienia, wręcz z pogardą – tłumaczy Polka. – Co do wyeliminowania niektórych chorób, np. ospy prawdziwej, dzięki globalnym programom szczepień, uważam, że większość z nich można kontrolować, podwyższając standard życia ludzi. W przypadku ospy rozwinięcie infrastruktury sanitarnej i zwiększenie

higieny wyeliminowało chorobę. Niestety przypisuje się całą zastugę szczepionce.

Masowe szczepienia na covid Marta nazywa eksperymentem medycznym. Boi się wprowadzenia paszportów szczepionkowych, które wykluczyłyby osoby niezaszczepione z życia społecznego – nie tylko wizyt w teatrze czy restauracji, ale i podróży, dostępu do służby zdrowia, a nawet edukacji. – Niektóre firmy w UK już zaczęły wpisywać wymóg szczepień na covid do umów o pracę – mówi. – To działanie wbrew prawom człowieka.

Dotrzeć z informacją

Kamil Arendt, działacz polonijny, zaangażował się w aktywność grupy samopomocy w swojej dzielnicy

Kłamstwa i mity oferują proste odpowiedzi na skomplikowane pytania i rozchodzą się szybciej niż prawda.

Londynu, Greenwich. – Nasi wolontariusze dowożą mieszkańców do punktów testowania i szczepień – opowiada. – Wśród organizatorów programu szczepień, władz dzielnicy i wolontariuszy rośnie jednak niepokój. Polacy i migranci z innych krajów o tradycyjnie niskim kapitale społecznym i słabym zaufaniu do władz wyrażają dużo mniejsze zainteresowanie szczepieniami niż ogół społeczeństwa.

Różne organizacje startują z programami informacyjnymi kierowanymi do grup mniejszościowych, ale odkrywają, że przed nimi dotarła tam już dezinformacja, głównie przez media społecznościowe. – Niemal codziennie po pracy czytam najnowsze

publikacje naukowe z zakresu badań nad szczepionkami. Piszę podsumowania, udzielam się w komentarzach pod artykułami, próbuję gdzie się da prostować nieprawdy, ale to walka z wiatrakami – utyskuje Kamil, z zawodu informatyk.

– Kłamstwa i mity oferują proste odpowiedzi na skomplikowane pytania i rozchodzą się z prędkością znacznie większą niż prawda, która w dodatku niemal nigdy nie bywa jednoznaczna. Trudno się dziwić, że ludzie czują lęk i mają wątpliwości. Nauka w odbiorze społecznym powinna przecież dawać jednoznaczne odpowiedzi. Ale ona nie jest zbiorem dogmatów, lecz metodą powolnego dochodzenia do prawdy – tłumaczy działacz i dodaje: – Na początku pandemii mówiono: opracowanie szczepionki potrwa dwa lata, może półtora roku. Zazwyczaj proces ten rzeczywiście ciągnie się latami. Czy można się dziwić, że gdy „nagle pojawiają się” szczepionki, wydaje się, że ktoś poszedł na skróty? Znajomi naukowcy opowiadają jednak, że te lata ich pracy to często siedzenie i czekanie na grant. Wykorzystane technologie też nie są niczym nowym. Technologia mRNA jest ulepszeniem o dekad. Czekają przyczajona na swój czas – śmieje się Kamil. – Same testy kliniczne były bardzo rygorystyczne i zakrojone na szeroką skalę. Nikt nie chciałby narazić swojej reputacji na zarzut, że czegoś nie dopilnował.

Wielka Brytania właśnie weszła w drugą fazę szczepień. Po grupie wiekowej 65-69 lat zaszczepiona zostanie ta 60+ wraz z osobami w wieku 16-64 lata cierpiącymi na choroby współistniejące. W wielu punktach szczepień rozsyła się już zaproszenia dla osób powyżej 50. roku życia. Do połowy kwietnia powinno się zakończyć szczepienie powyższych grup, w których doszło do 88% wszystkich zgonów w związku z koronawirusem.

W trzeciej fazie programu, która rozpocznie się wiosną, zaszczepione zostanie pozostałe 21 mln dorosłych rezydentów Wielkiej Brytanii.

Zuzanna Muszyńska

Źródła: NHS England, BBC Research, Our World in Data, „New York Times”



Premier Igor Matovič (z prawej) i minister zdrowia Marek Krajčí postawili na rosyjską szczepionkę Sputnik V. Transport przybył na lotnisko w Koszycach 1 marca.

Słowacki rząd chwieje się przez covid

Punktem zapalnym stały się rosyjskie szczepionki, ale koalicjanci byli skonfliktowani już wcześniej

Łukasz Grzesiczak

Na Słowacji trwa kryzys rządowy, po tym jak premier Igor Matovič, nie oglądając się na koalicjantów, zamówił rosyjskie szczepionki Sputnik V. W tle tych wydarzeń wyłania się szerszy rządowy spór o słowacką walkę z pandemią koronawirusa.

Pisanie dziś o sytuacji politycznej na Słowacji przypomina przygotowywanie artykułu o zwycięzcy wyborów prezydenckich na podstawie badań exit poll, kiedy obaj kandydaci idą łeb w łeb, a spływają dopiero pierwsze cząstkowe wyniki głosowania z najmniejszych komisji wyborczych. Obserwujemy bowiem najpoważniejszy od powstania rządu Igora Matoviča w 2020 r. kryzys. Koalicjanci oskarżają się wzajemnie i grożą upadkiem rządu.

Wszystko przez pandemię koronawirusa. Słowacja, podobnie jak cała Europa Środkowa, minionej

wiosny uchodziła za prymusa w walce z COVID-19. Informacja o pierwszym zakażonym pochodzi z 6 marca 2020 r., w sąsiednich Czechach o pierwszej trójce zakażonych poinformowano 1 marca.

Z danych słowackiego resortu zdrowia z 3 marca tego roku wynika, że w tamtejszych szpitalach z powodu COVID-19 przebywa 3814 pacjentów, z czego 364 osoby potrzebują wsparcia respiratora. Od początku pandemii z powodu koronawirusa zmarło 7,5 tys. osób. Dobowy przyrost zgonów to 101 osób. A mówimy tu o kraju, który ma 5,4 mln obywateli. W siedmiokrotnie większej Polsce tego samego dnia resort zdrowia informował o dobowej liczbie zmarłych na poziomie 309 osób. Gdyby porównać dobową liczbę zgonów w obu krajach, na Słowacji zmarło statystycznie dwa razy więcej osób na 1 mln mieszkańców niż w Polsce. Jeśli chodzi

o liczbę zmarłych od początku pandemii, różnice nie są już tak dramatyczne. Na Słowacji zmarło dotąd prawie 1387 osób na milion mieszkańców, a w Polsce niemal 1168 na milion. Słowacy niechlubne statystyki gonią właśnie teraz.

– Jeśli chodzi o liczbę śmierci na milion mieszkańców, mamy najgorsze wyniki w całej Unii Europejskiej. Niedawno mówiło się, że jeżeli liczba chorych w szpitalach przekroczy 4 tys., znajdziemy się w ogromnym kryzysie. Właśnie dobijamy do tej liczby – komentuje Małgorzata Wojcieszynska, polska dziennikarka, która od lat mieszka pod Bratysławą.

Dwa tygodnie temu premier Igor Matovič apelował o pomoc do państw unijnych. Polacy zaproponowali 200 łóżek w naszych szpitalach. Rumuni z kolei przystali na Słowację swoich lekarzy i pielęgniarki. Mają pracować 21 dni w bratysławskim szpitalu. – To pozwoliło na stworzenie dodatkowych dziewięciu wyspecjalizowanych łóżek covidowych. Dziś na Słowacji walczy się o każde łóżko – mówi Wojcieszynska. Swoje łóżka w szpitalach zaoferowali Słowakom również Niemcy, a sąsiednia Austria zaproponowała pomoc pracowników służby zdrowia.

– Tuż przed Bożym Narodzeniem wprowadzono *lockdown*. Z każdym tygodniem staje się on coraz bardziej rygorystyczny – opowiada dziennikarka. Zamknięto sklepy, ▶

Chcesz patrzeć mądrzej?

TRYBUNA

Czeka w kiosku!

A w niej:

Jerzy J. Wiatr
 Longin Pastusiak
 Tadeusz Iwiński
 Danuta Waniek
 Bogusław Liberadzki
 Krzysztof Janik
 Tadeusz Wojciechowski
 Tadeusz Klementewicz
 Andrzej Wilk
 Piotr Gadzinowski

www.tribuna.info

► zostawiając tylko te, które sprzedają produkty pierwszej potrzeby, nie działają salony fryzjerskie, kosmetyczne, centra fitness. Wojcieszńska: – Rząd pozwolił ludziom spędzić święta w gronie najbliższej rodziny, w swojej bańce, by nie narażać innych. Oczywiście te bańki zaczęły się mieszać, a ludzie spotykali się z innymi osobami. Lawinowo rosła liczba chorych. W sylwestra zamknięto więc stoki narciarskie.

To też nie pomogło. Na Słowacji, podobnie jak w innych krajach, ludzie są zmęczeni i mają dość obostrzeń, więc zaczęli szukać wyjść awaryjnych. Kiedy rząd pozwolił na wyjazd do sanatorium, Słowacy masowo postanowili podreperować zdrowie. Lokale działały na hasełko przy zastłoniętych oknach. Dużą popularnością cieszy się wynajem mieszkań przez Airbnb na imprezy.

– Badania pokazują, że mniej niż jedna trzecia Słowaków może pracować zdalnie, więc ludzie masowo chodzą do pracy. Tylko 45% nosi w pracy maseczki. Tak wirus się rozprzestrzenia. Kontakty towarzyskie

niechęć i sprawiło, że się z tym oswoiliśmy. Teraz to dla nas normalne. Przez styczeń i luty w zasadzie cały czas się testowałam. Wszystko wygląda całkiem sprawnie. Loguję się przez internet, umawiam na konkretną godzinę, nie czekam w żadnej kolejce. Wynik przychodzi mejlem

Słowacy mają najgorsze w całej Unii Europejskiej wyniki, jeśli chodzi o liczbę zgonów na milion mieszkańców.

i SMS-em – opowiada Małgorzata Wojcieszńska. Chociaż nie jest ono obowiązkowe, bez regularnego testowania nie sposób normalnie funkcjonować na Słowacji. – Chcąc wyjść na spacer w moim powiecie, potrzebuję aktualnego negatywnego wyniku testu. Kiedy chcę gdzieś coś załatwić, muszę go pokazać. Pracownicy mają obowiązek jego sprawdzenia – tłumaczy.

Ratunkiem dla Słowaków mogłyby być szczepionki, ale kolejne partie, które przychodzą do naszych sąsiadów, są bardzo ograniczone. W tej sytuacji premier Igor Matovič

plany oprotestowały jednak dwie z czterech koalicyjnych partii. Najsilniej przeciwko pomysłowi wystąpiła wicepremier i minister rozwoju Veronika Remišová z partii Za ľudí (Dla Ludzi). Dziś jest ona liderką tej formacji, po tym jak z życia politycznego wycofał się założyciel partii,

były prezydent Andrej Kiska. Pomoc Matovičowi zaoferował od razu Andrej Danko. To największy słowacki rusofil, przewodniczący Słowackiej Partii Narodowej (SNS), w poprzedniej kadencji marszałek jednoizbowego parlamentu. Dziś jego partia jest poza parlamentem. Reprezentując słowacki parlament, Danko był jedynym tej rangi przedstawicielem z państw UE podczas obchodów zakończenia II wojny światowej w Moskwie w maju 2019 r. Kwestionował celowość sankcji gospodarczych nałożonych na Rosję przez UE, a słowaccy dziennikarze wyliczyli, że jako szef parlamentu częściej jeździł do Moskwy niż do Brukseli.

Matovič z pomocy Danki zrezygnował i wydawało się, że po protestach koalicjantów porzucił temat rosyjskiej szczepionki. Media pisały, że być może informacją o ewentualnym zakupie Sputnika V chciał przykryć dramatyczną sytuację w służbie zdrowia. W miniony poniedziałek premier zapowiedział jednak konferencję prasową na lotnisku w Koszycach i gruchnęła wieść, że na Słowację przyleci rosyjska szczepionka. Rząd wykorzystał furtkę, która ministrowi zdrowia pozwala na warunkowe

Mniej niż jedna trzecia Słowaków może pracować zdalnie, więc masowo chodzą do pracy. Tylko 45% osób nosi w niej maseczki.

ograniczyło zaledwie 39% osób – wylicza Małgorzata Wojcieszńska.

W środę 3 marca rząd nałożył dodatkowe obostrzenia. Od godz. 20 do 1 w nocy obowiązuje godzina policyjna. Jej przestrzegania ma pilnować na ulicach prawie 2 tys. żołnierzy. Wzmocniono partole policji. Wolno wyjść jedynie do pracy lub w sytuacjach najwyższej konieczności. Zamknięto przejście graniczne z Polską. Na granicy z Austrią czy Węgrami tworzą się kolejki. Nie ma już wyrwykowych kontroli, każde auto jest sprawdzane. Od połowy marca we wszystkich pomieszczeniach zamkniętych obowiązkowa będzie maseczka FFP2. Podróże między powiatami są zakazane. Można wyjeżdżać wyłącznie do pracy lub z ważnych powodów.

Słowacy postawili na masowe testowanie. Wprowadzono je na przełomie października i listopada, kiedy na ten kraj skierowały się oczy całej Unii walczącej z pandemią. – Pierwszy raz testowałam się w październiku. To przełamało

postanowił wspomóc się rosyjską szczepionką Sputnik V. W programie informacyjnym słowackiej telewizji publicznej zachwalał ją korespondent TVP z Moskwy Tomasz Jędruchów. Kiedy samolot z rosyjskimi szczepionkami na pokładzie wylądował w Koszycach we wschodniej Słowacji, polski dziennikarz przekonywał, że są bezpieczne i skuteczne. Wspominał, że prestiżowy „Lancet” opublikował wyniki badań nad opracowaną przez Rosję szczepionką,

Od godz. 20 do 1 w nocy obowiązuje zakaz przemieszczania się.

i stwierdził, że nie jest niebezpieczna, skoro silne w Rosji media niezależne i użytkownicy Facebooka nie informują o problemach z nią związanych. Wśród Rosjan wzrasta zaufanie do Sputnika V, a Moskwa chce wykorzystywać szczepionkę w dyplomacji.

O tym, że rząd rozważa zakup rosyjskiej szczepionki, premier Matovič mówił jeszcze w lutym. Jego

dopuszczenie leku lub innego produktu ratującego życie. Przyleciało 200 tys. rosyjskich szczepionek, a do końca czerwca ma ich być 2 mln. Można by więc nimi zaszczepić milion osób.

Wybuchł ogromny kryzys rządowy. Dwaj najmniejsi koalicjanci są oburzeni. Słowackie media obiegała informacja, że o zakupie nie wiedział nawet tamtejszy minister spraw

zagranicznych Ivan Korčok – smaczku sprawie dodaje fakt, że to były ambasador Słowacji w USA – który o przesyłce miał się dowiedzieć od swojego podwładnego, ambasadora Słowacji w Rosji. Matovičowi nie pomógł też pewnie dosyć niefortunny żart w reakcji na pytanie dziennikarza. Kiedy ten zapytał, co Słowacja obiecała Rosji w zamian za szczepionkę Sputnik V, premier odpowiedział, że Ukrainę Zakarpacą. Zaprotestowały władze Ukrainy.

Słowacki rząd nie ma jeszcze roku. Na jego czele stoi happener Igor Matovič, szef partii OĽaNO

się sporym poparciem (zajmuje pod tym względem drugie miejsce) i według sondażu Focus z lutego chciałoby na nią głosować 13% wyborców, Sulík ma w pamięci, że to za jego sprawą upadł rząd Ivety Radičovej, po czym na osiem lat władzę przejęła socjaldemokratyczna partia Smer Roberta Ficy. W obecnej sytuacji czwarty koalicjant, czyli Sme Rodina, uchodzi za wiarygodnego partnera, który chce uratować koalicję. Warto przypomnieć, że na czele tej partii stoi Boris Kollár. To ojciec jedenaściorga dzieci, które ma z dziesięcioma kobietami, a jego

ponad 10%. Traci wyborców, ponieważ w ich oczach Matovič jest nieprzewidywalny.

Wybory za to prawdopodobnie opłaciłyby się opozycyjnej partii Hlas. Nowe socjaldemokratyczne ugrupowanie założył były premier Peter Pellegrini po opuszczeniu Smeru. Jego partia jest liderem sondaży i popiera ją 23% wyborców. Czwartym poparciem w sondażu może się pochwalić Smer Roberta Ficy, na który chciałoby zagłosować 9,2% Słowaków.

Juraj Marušiak nie uważa, by zakup rosyjskiej szczepionki świadczył o obraniu przez Słowację wschodniego kursu. – Igor Matovič rzadko wypowiada się w kwestiach polityki zagranicznej, ta nie jest dla niego priorytetem. W jego partii znajdują się otwarci zwolennicy opcji euroatlantyckiej, ale i politycy sympatyzujący z Rosją. Nie miałbym za złe Matovičowi kupna rosyjskiej szczepionki. Podobny scenariusz rozpatrują Czesi, Chorwaci czy Austriacy. To nie jest wina Słowacji, że dostawy zorganizowane przez Komisję Europejską się opóźniają i jest ich mało, a sytuacja pandemiczna na Słowacji zrobiła się bardzo zła – tłumaczy politolog.

Łukasz Grzesiczak

l.grzesiczak@tygodnikprzeglad.pl

Aby wyjść na spacer w moim powiecie, potrzebuję aktualnego negatywnego wyniku testu. Kiedy chcę gdzieś coś załatwić, muszę go pokazać.

(Zwyczajni Ludzie i Niezależne Osobistości). Zesłoroczne wybory parlamentarne wygrał pod hasłem walki z korupcją i przyznać trzeba, że konsekwentnie z nią walczy. Konserwatywno-liberalną koalicję tworzą jeszcze Sme Rodina (Jesteśmy Rodziną), SaS (Wolność i Solidarność) oraz Za ľudí (Dla Ludzi).

– Szczepionki stały się punktem zapalnym, ale koalicjanci byli skłonni do ustępstw. Zwłaszcza Igor Matovič i dwie najmniejsze partie z koalicji – mówi Juraj Marušiak, politolog ze Słowackiej Akademii Nauk. Jak tłumaczy, premier jest w konflikcie z partią Dla Ludzi, którą w proteście opuściło już dwóch posłów. Miroslav Kollár zrobił to z powodu – jego zdaniem – niekompetentnej walki rządu z pandemią. Tomáš Valášek przestał popierać rząd z powodu zakupu rosyjskiej szczepionki. Premier jest również skłócony z szefem SaS Richardem Sulíkiem. Tu spór dotyczy lockdownu i luzowania gospodarki, czego domaga się Sulík pełniący funkcję wicepremiera i ministra gospodarki właśnie. Przedstawiciele tych partii chcieliby wymiany premiera.

– Trzeba pamiętać, że partia Dla Ludzi w ostatnich sondażach jest na granicy progu wyborczego. Przedterminowe wybory mogą jej się nie opłacać. Z drugiej strony, trwając w takiej koalicji, może stracić wiarygodność w oczach swoich wyborców – wyjaśnia Juraj Marušiak.

W trudnej sytuacji jest też Richard Sulík. Choć jego partia cieszy

partia na sztandarach wypisała wartości rodzinne.

Czy jest możliwa zmiana premiera w ramach tej samej rządzącej koalicji? Juraj Marušiak zachowuje sceptycyzm: – Teoretycznie wymiana premiera jest możliwa, ale musiałby się zgodzić na nią lider najsilniejszego ugrupowania. A jego partia jest w zasadzie jego własnością.

Wydaje się, że i premierowi Matovičowi wybory się nie opłacają. W ciągu roku poparcie dla niego spadło. Jego partia w cytowanym już sondażu zajmuje trzecie miejsce, chce na nią głosować niewiele

DUX
Najlepszy muzyczny prezent na Dzień Kobiet.

GRAŻYNA BACEWICZ
PIANO MUSIC

Joanna SOCHACKA
fortepian

Premiera 8 marca.

www.dux.pl

Mateusz Mazzini

Trudno sobie wyobrazić większy dysonans symboliczny niż to, co w walentynki działo się w Parkland, nieco ponad 20-tysięcznym miasteczku na Florydzie. Podczas gdy świat obchodził święto zakochanych, przed budynkiem liceum im. Marjory Stoneman Douglas, dziennikarki, pisarki, aktywistki na rzecz praw kobiet, zebrali się mieszkańcy. Były łzy, ale nie radości, tylko smutku, gniewu i żalu. Właśnie w tej szkole trzy lata temu doszło do jednej z największych tragedii z użyciem broni palnej we współczesnej historii Stanów Zjednoczonych. 19-letni Nikolas Cruz wtargnął do budynku, uruchomił alarm przeciwpożarowy, poczekał, aż uczniowie i pracownicy szkoły wybiegną na zewnątrz, po czym otworzył ogień. Najpierw strzelał do tych, których napotkał tuż przy głównym wejściu, potem przedzierał się w głąb budynku, na kolejne piętra. Uzbrojony w półautomatyczny, samopowtarzalny karabin AR-15, zabił tego dnia łącznie 17 osób: 14 uczniów i trzech nauczycieli. Kolejne 17 osób zostało rannych.

Masakra w Parkland przeszła jednak do historii nie tylko dlatego. Nastolatki z tej placówki, wstrząśnięte

Opróżnianie magazynków

Czy 2021 okaże się rokiem reformy prawa do posiadania broni w USA?

po „Marszu po nasze życie”, jak nazywano demonstrację przeciwko powszechnemu prawu do broni.

González i pozostali aktywiści byli nie tylko głosem smutku i rozgoryczenia z powodu śmierci najbliższych. Stali się też żywym dowodem na to, że w amerykańskim społeczeństwie dojrzewa postulat głębokiej zmiany podejścia do broni palnej. Coś, co przez dekady wydawało się poza zasięgiem bez względu na aktualnie rządzącą opcję polityczną, zaczyna majaczyć na horyzoncie jako realna inicjatywa legislacyjna. Według danych pracowni badań sondażowych Gallup od dziewięciu lat sukcesywnie spada odsetek Amerykanów, którzy deklarują zadowolenie z obecnie obowiązujących przepisów dotyczących broni. W styczniu

opowiedziało się za zaostrzeniem kryteriów, po spełnieniu których można otrzymać broń palną. Rozbrojenie Ameryki nagle przeniosło się z półki „niemożliwe” na tę opatrzoną etykietką „bardzo trudne”.

Wbrew pozorom to naprawdę powód do optymizmu. Zwłaszcza że, jak niemal na wszystkich płaszczyznach życia, i tutaj piętno odcisnęła pandemia koronawirusa. Jak wynika z badań prowadzonych przez Phillipa Levine’a i Robina McKnighta z Wellesley College, w ubiegłym roku w Stanach Zjednoczonych sprzedano niewiele sztuk broni palnej w historii. W dużej mierze z dwóch powodów – ogromnego stresu wywołanego pandemiczną niepewnością oraz strachu przed rozlewającymi się na cały kraj protestami. Demonstracje przeciwko instytucjonalnemu rasizmowi policji rzadko wprawdzie przeradzały się w zamieszki czy uliczne rozróbki, ale w wielu miejscach, zwłaszcza w konserwatywnych kanałach telewizji kablowej, przedstawiane były niemal jak zapowiedź wojny domowej, ostatecznej konfrontacji między liberalną i konserwatywną Ameryką. Dlatego, piszą Levine i McKnight, mieszkańcy kraju częściej niż w poprzednich latach sięgali do portfela, żeby kupić kolejne pistolety, strzelby, karabiny. Łącznie ten „naddatek” prewencyjnych zakupów wyniósł aż 5 mln sztuk broni – o tyle więcej zostałoby ich w sklepach, gdyby nie COVID-19, lato protestów i skrzywienie ich wizerunku przez środki masowego przekazu.

Jednocześnie Ameryka w ubiegłym roku wybrała nowego prezydenta. Stary, wiernie służący lobby producentów broni, przynajmniej na razie poszedł w odstawkę. Przez swoje cztery lata w Białym Domu Donald Trump robił dosłownie wszystko, by

W amerykańskim społeczeństwie dojrzewa postulat głębokiej zmiany podejścia kraju do broni palnej.

śmiercią kolegów i koleżanek, rozpoczęły dosłowny i metaforyczny marsz na Waszyngton. Domagały się gruntownej reformy prawa do posiadania broni – przez wielu w Ameryce uważanego za prawo święte, najważniejszy wyznacznik ich wolności osobistej. Emma González, jedna z najbardziej wyrazistych postaci ruchu uczniowskiego, widziała w nim zaś emanację czystego zła. Powód, dla którego setki, może nawet tysiące młodych ludzi w jej kraju boją się wchodzić do swoich szkół, a zamiast historycznych dat i równań matematycznych uczą się na pamięć planów ewakuacyjnych każdego budynku. „Nikt nie jest w stanie zrozumieć, jak głęboko to nas dotknęło”, mówiła nieco ponad miesiąc po masakrze, stojąc na scenie w trakcie wiecu

tego roku wynosił on 42%, przy 56% respondentów domagających się reformy. Z jednej strony, nie należy przywiązywać do tych danych zbyt dużej wagi, bo są one podatne na wahnięcia. Za każdym razem, gdy w kraju dochodzi do masowej strzelaniny, odsetek niechętnych obecnym regulacjom wzrasta skokowo – najwyższy w ciągu ostatnich dwóch dekad był w styczniu 2016 r., miesiąc po masakrze w San Bernardino. Z drugiej jednak, pokazują, że zmiana rzeczywiście ma miejsce, i to na poziomie dużo głębszym, bo świadomości społecznej. Tym, którzy stwierdzili, że prawo powinno zostać napisane na nowo, Gallup zadał dodatkowe pytanie – w którym kierunku powinna iść reforma. Tu aż 42% (drugi najwyższy wynik od 2001 r.)



„Marsz po nasze życie” w sprawie wprowadzenia przepisów dotyczących kontroli posiadania broni, Waszyngton 2018 r.

popularnych w USA targów broni, nikt nikogo nie musi sprawdzać.

Tę właśnie legislacyjną próżnię chce wypełnić Joe Biden, polityk, który w próbach ograniczenia dostępu do broni ma naprawdę spore doświadczenie. Obecny system federalnej weryfikacji powstał w dużej mierze przy jego udziale, kiedy jeszcze w latach 90. Biden zasiadał w Senacie. Potem już jako wiceprezydent u boku Obamy chciał tak zmienić prawo, żeby do sprawdzania kupującego obligowało każdego sprzedawcę. Wtedy jednak re-

forma przepadła w zdominowanym przez republikanów Kongresie. Teraz Biden spróbuje jeszcze raz, na celownik biorąc nie tylko procedury weryfikacyjne, ale też rodzaje broni dostępne na wolnym rynku. Do 2004 r. w USA obowiązywał np. zakaz sprzedaży detalicznej tzw. broni szturmowej, w tym karabinów automatycznych i półautomatycznych, typowych dla działań wojskowych. Nowy prezydent już zapowiedział próbę ponownego ich zakazania, ale przeprowadzenie takiej reformy może być politycznie bardzo kosztowne, nawet dla demokratów. Ryzyko czai się także w Sądzie Najwyższym, gdzie republikanie mają zdecydowaną większość (sześciu sędziów do trzech) i gdzie

wszelkie nowe ograniczenia mogą zostać uznane za sprzeczne z drugą poprawką do konstytucji.

Nie oznacza to jednak, że nowa administracja nie będzie próbować. Wręcz przeciwnie, po raz pierwszy od lat ma naprawdę szerokie poparcie społeczne dla ograniczenia dostępu do broni. W dodatku, prześladowana śledztwami o nadużycia finansowe i niepłacenie podatków, słabnie machina lobbingowa NRA. Być może więc nadszedł dla Ameryki czas na pożegnanie z bronią.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

zakochanym w strzelaniu obywatelom umilać życie. Choć to za jego kadencji miały miejsce najtragiczniejsze w skutkach masowe strzelaniny – nie tylko ta w Parkland, ale również w Las Vegas (październik 2017 r., 58 ofiar), Sutherland Springs (listopad 2017 r., 26 ofiar) czy El Paso (sierpień 2019 r., 22 ofiary), stać go było co najwyżej na straszenie wyborców demokratami i ich rzekomo tragiczną w skutkach inicjatywą ograniczenia dostępu do broni. „Idą po wasze prawa, które gwarantuje druga poprawka do konstytucji!”, krzyczał w swoim stylu z wiecowej trybuny w listopadzie 2019 r. Wcześniej, po wydarzeniach z Florydy, zapowiadał wprawdzie, że ma pomysł na reformę, jednak nie precyzował, na czym miałaby ona polegać. Wprawni obserwatorzy amerykańskiej polityki i tak wiedzieli, że te słowa nigdy nie zostałyby przekute w czyn. NRA, National Rifle Association, największa i najbardziej wpływowa organizacja w świecie handlu bronią, na kampanię wyborczą Trumpa w 2016 r. przekazała 30 mln dol. Dwuipółkrotnie więcej niż cztery lata wcześniej, by wesprzeć walczącego z Barackiem Obamą Mitta Romneya. Tak wielka inwestycja po prostu musiała się zwrócić, a Donald Trump zamierzał osobiście tego dopilnować.

Między innymi dlatego nie zrobił nic na rzecz zwiększenia liczby procedur weryfikacyjnych dla potencjalnych posiadaczy broni. W każdym z pierwszych trzech lat jego kadencji przeprowadzono ich mniej niż w 2016 r. – ostatnim pod rządami Baracka Obamy. Liczby podskoczyły dopiero w 2020 r., co akurat było wzrostem naturalnym, bo wynikającym z pandemicznej mobilizacji kupujących. Ubiegły rok był zresztą pod tym względem rekordowy, bo procedur weryfikacyjnych przeprowadzono aż o 84% więcej niż pięć lat

W ubiegłym roku w Stanach sprzedano najwięcej sztuk broni palnej w historii.

wcześniej. Sam fakt poddania kogoś analizie przez władze federalne nie oznacza jednak, że broń trafia w bezpieczne i pewne ręce. Czynności te są często prowadzone wadliwie, instytucje nie dzielą się informacjami na temat badanego, a do kwestii zdrowia psychicznego nie przywiązuje się praktycznie żadnej wagi. Co więcej, obowiązek weryfikowania kandydatów mają wyłącznie licencjonowani dystrybutorzy, czyli sklepy. Jeśli broń przechodzi z rąk do rąk prywatnie, pomiędzy dwiema osobami fizycznymi albo w czasie

Prawdziwy koszt sprzeciwu

Sytuacja aktywistów w Arabii Saudyjskiej

Jakub Katulski

W piątek 26 lutego doszło do wy-czekiwanego od wielu dni wydarzenia. Biuro Avril Haines, powołanej w styczniu przez prezydenta Joeego Bidena dyrektorki Wywiadu Narodowego Stanów Zjednoczonych, upubliczniło raport wywiadowczy na temat zabójstwa 2 października 2018 r. saudyjskiego dziennikarza **Dżamala Chaszukdziego**. Chaszukdzi, znany z krytyki saudyjskiej władzy i rodu rządzącego krajem, miał w tym dniu odebrać w konsulacie w Stambule dokumenty związane z jego zbliżającym się ślubem. Z budynku już nigdy nie wyszedł – wpadł w zasadzkę zorganizowaną przez 15-osobowy zespół zabójców.

Zwłok Chaszukdziego nie odnaleziono. Miały zostać rozczłonkowane, a według doniesień brytyjskiego serwisu informacyjnego Middle East Eye, opartych na anonimowym źródle, jego palce zawieszono do Rijadu i wręczono osobiście księciu Muhammadowi ibn Salmanowi. Sam książę miał powtarzać, że utnie palce



Saudyjski dziennikarz Dżamal Chaszukdzi został zabity 2 października 2018 r.

To jednak sprawiło, że w medialnym zamieszaniu, które zaczęło się po jego śmierci, próbowano przypiąć mu łatkę dżihadysty, aczkolwiek tutaj istotnym czynnikiem były też jego reportaże popierające mudżahedinów walczących przeciwko Związkowi Radzieckiemu w latach 80.

Muhammada ibn Salmana. Zwracał uwagę na to, że mimo deklaracji zmiany ekonomii i norm społecznych władza aresztuje dysydentów i oczernia intelektualistów, którzy mają inne zdanie niż monarcha. Kiedy Arabia Saudyjska w 2018 r. przyznała kobietom prawo do prowadzenia pojazdów, co prawda pochwalił księcia, lecz podkreślił, że w więzieniach nadal przebywają aktywistki, które o to prawo walczyły. Wśród nich **Ludźajn al-Hazlul**.

W ostatnich latach Al-Hazlul stała się symbolem walki o prawa kobiet w państwach Półwyspu Arabskiego. Sprzeciwiała się nie tylko zakazom prowadzenia pojazdów, ale również przepisom zmuszającym kobiety do posiadania męskiego opiekuna, zazwyczaj ojca, brata lub męża, bez którego zgody nie mogły choćby podróżować za granicę, brać ślubu czy ubiegać się o rozwód, aż do 2019 r., kiedy przepisy te zostały zliberalizowane dla kobiet powyżej 21. roku życia.

Ludźajn al-Hazlul zbierała w tym celu podpisy pod petycjami do króla Salmana i organizowała brawurowe (jak na lokalne standardy) akcje, takie jak próba wjazdu do Arabii

Według upublicznionego raportu amerykańskiego wywiadu Muhammad ibn Salman wydał rozkaz zabicia Chaszukdziego.

każdemu pisarzowi, który go krytykuje. To właśnie krytyczne poglądy miały być przyczyną śmierci dziennikarza, w ostatnim okresie życia związanego z „Washington Post”.

Dżamal Chaszukdzi zajmował się dziennikarstwem już od lat 80., początkowo pracując jako reporter w arabskich czasopismach. W tym czasie był także związany z Braciami Muzułmanami, islamistyczną organizacją, o której w Europie zrobiło się głośno przy okazji protestów na placu Tahrir w Kairze w 2011 r. W toku kariery Chaszukdzi miał się od Braci odsunąć, choć popierał postulat demokracji muzułmańskiej, będący jedną z ich podstawowych zasad.

Do końca następnej dekady Chaszukdzi był korespondentem zagranicznym, a później dwukrotnie redaktorem naczelnym „Al-Watan” (Ojczyzna), dzisiaj jednej z wiodących gazet w Arabii Saudyjskiej. W tej roli naraził się rodzinie panującej, kiedy na łamach pisma opublikowane zostały teksty krytykujące ścisłe normy religijne w królestwie. Zrezygnował z pracy w „Al-Watan”, ale nie zniknął całkowicie z saudyjskiego życia publicznego i nadal pojawiał się w arabskich i międzynarodowych mediach. Dopiero od 2017 r. zamieszkał w Waszyngtonie i zaczął pisać dla „Washington Post”, otwierając już krytykując władze i księcia

Saudijskiej samochodem ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich 1 grudnia 2014 r. Po tym po raz pierwszy została aresztowana i zatrzymana na 73 dni pod zarzutem narażenia bezpieczeństwa narodowego. Kolejne zatrzymania miały sprawić, że stała się najbardziej znaną więźniarką polityczną królestwa. Zwłaszcza kiedy w marcu 2018 r. została porwana w Zjednoczonych Emiratach Arabskich i deportowana do Arabii Saudyjskiej. Po kilku dniach zwolniono ją, tylko po to, by w maju ponownie zatrzymać, tym razem z grupą dziesięciu innych aktywistek i aktywistów, bez postawienia konkretnych zarzutów.

Według Amnesty International oraz informacji przekazywanych przez Alię al-Hazlul, siostrę Ludźajn, aktywiści mieli być torturowani, a wachlarz metod stosowanych przez personel więzień rozciągał się od bicia po rażenie prądem i niesławny *waterboarding*, czyli podtapianie. Co więcej, w torturach miał uczestniczyć Saud al-Kahtani, doradca i przyjaciel Muhammada ibn Salmana, obecny też przy zabójstwie Dżamala Chaszukdziego.

Dopiero po prawie roku od zatrzymania rozpoczął się proces Al-Hazlul, chociaż nadal nie postawiono jej sprecyzowanych zarzutów, a dziennikarzom oraz zagranicznym dyplomatom zainteresowanym jej sprawą nie pozwolono wchodzić na salę sądową. Saudijska Agencja Prasowa doniosła jedynie, że kobieta jest podejrzewana o niewłaściwe kontakty zagraniczne i „finansowanie wrogich elementów” poza granicami królestwa. Proces przeciągał



Ludźajn al-Hazlul stała się symbolem walki o prawa kobiet w państwach Półwyspu Arabskiego.

11 lutego warunkowo zwolniono aktywistkę z więzienia, ku radości jej rodziny i organizacji działających na rzecz praw człowieka. Jej siostra Alia na Twitterze zamieściła zdjęcie 31-letniej Ludźajn, chudszej niż przed więzieniem i z wyraźnymi siwymi pasmami włosów, za to szeroko i szczerze uśmiechniętej. Nie oczyszczono jej jednak z zarzutów i otrzymała zakaz opuszczania kraju, którego musi przestrzegać w oczekiwaniu na proces apelacyjny. W więzieniach natomiast wciąż przebywają inne aktywistki.

Jedną z nich jest **Samar Badawi**, która także głośno walczyła przeciwko systemowi męskich opiekunów,

W 2014 r. przedstawiła sytuację saudyjskich aktywistów przed Radą Praw Człowieka ONZ, jej wysokim komisarzem Zeidem Ra'adem al-Husseinem i amerykańskimi senatorami, za co nałożony został na nią zakaz opuszczania Arabii Saudyjskiej. Po raz ostatni aresztowano ją w lipcu 2018 r., podczas tej samej fali zatrzymań, na skutek której do więzienia trafiła Al-Hazlul. Sarah Leah ▶

Joe Biden zadeklarował, że USA nie będą więcej wspierać saudyjskich sił w jemeńskiej wojnie domowej.

się jednak i w 2020 r. ze względu na wybuch pandemii został odłożony bez podania konkretnego terminu. W tym czasie oskarżonej wielokrotnie odmawiano możliwości kontaktu z rodziną czy prawnikami. Dopiero w grudniu ub.r. zapadł w jej sprawie wyrok – skazana została na pięć lat i osiem miesięcy więzienia za „różne działania zakazane przez przepisy przeciwko terroryzmowi”, o czym doniosła AFP.

po tym jak ojciec w 2010 r. odmówił jej udzielenia zgody na ślub. Sprawa dla obojga skończyła się w sądzie – Samar złożyła pozew, oskarżając ojca o utrudnianie jej zamążpójścia, ojciec zaś oskarżył córkę o nieposłuszeństwo, co poskutkowało jej aresztowaniem i osadzeniem w więzieniu, mimo że sąd uznał jej ojca za winnego. Z więzienia wypuszczono ją dopiero pod koniec roku i przekazano pod opiekę wuja.

Czy Georges Gilles de la Tourette miał zespół Obajtki?

Odpowiedź w nowym numerze tygodnika „NIE”.



► Whitson, dyrektorka bliskowschodniego oddziału organizacji Human Rights Watch, powiedziała wówczas, że te aresztowania, wraz z zatrzymaniami innych przedsiębiorców czy duchownych, dowodzą, że dla saudyjskich władz wszelki sprzeciw jest równy zagrożeniu.

Natychmiastowego wypuszczenia Badawi domagał się w sierpniu 2018 r. kanadyjski rząd. W efekcie Rijad ogłosił, że kanadyjski ambasador Dennis Horak jest *persona non grata*, i dał mu dobę na opuszczenie kraju. Zawieszono też wymianę handlową z Kanadą, rozpoczęto sprzedaż aktywów w Kanadzie zagranicznym inwestorom i ogłoszono, że saudyjscy pacjenci przebywający w kanadyjskich szpitalach będą leczeni w innych krajach. Ambasador Naif bin Bandar al-Sudairi wrócił do Rijadu. Minister spraw zagranicznych Kanady Chrystia Freeland, komentując na konferencji prasowej 6 sierpnia wydalenie ambasadora Horaka, powiedziała, że „Kanada zawsze będzie stać po stronie praw człowieka w Kanadzie i na świecie”. I choć konserwatyści wzywali premiera Justina Trudeau, by udał się do Rijadu i przeprosił rodzinę królewską, obustronne relacje nie wróciły do normy sprzed aresztowania Badawi. Ona sama wciąż przebywa w wybudowanym w 2015 r. więzieniu Zahban o zastraszonym rygorze, w którym wraz z więźniami

politycznymi osadzeni są terroryści Al-Kaidy i Daesz.

Kwiecień 2019 r. przyniósł kolejną falę aresztowań, w której zatrzymanych zostało dziewięć osób, w tym mający podwójne, saudyjsko-amerykańskie obywatelstwo **Salah al-Haidar**, syn zwolnionej miesiąc wcześniej z więzienia aktywistki **Azi-zy al-Jusef**, a także lekarz i pisarz **Bader al-Ibrahim**. Te dwa nazwiska zdają się jednak dobrane dość przypadkowo. Al-Ibrahim w przeszłości pisał eseje, w których promował arabski nacjonalizm czy sprzeciwiał

amerykańskiego konsultatu. Będą musieli mimo wszystko ponownie stać się przed sądem, by bronić się przed zarzutami związanymi z terroryzmem, a pierwsza rozprawa odbędzie się jeszcze w marcu.

Na liście saudyjskich dysydentów znajdują się dziesiątki czy nawet setki innych nazwisk, osób, które wystąpiły otwarcie przeciwko władzy lub kiedyś napisały nieprawomysłny artykuł czy zrobiły wpis na blogu. Fasada reform społecznych przeprowadzanych przez Muhammada ibn Salmana stopniowo

Aktywiści w saudyjskich więzieniach mieli być torturowani, od bicia po rażenie prądem i podtapianie.

się upolitycznianiu islamu i wypowiadał w obronie praw saudyjskich kobiet w artykułach pisanych dla „Al-Arabi al-Dżadid” (Nowy Arab), gazety i strony internetowej z siedzibą w Londynie. W momencie aresztowania nie był już aktywny jako dziennikarz, na co zwraca uwagę Komitet na rzecz Ochrony Dziennikarzy (CPJ), amerykańska organizacja pozarządowa propagująca wolność prasy. Zdaje się, że Salah al-Haidar nie popełnił żadnej zbrodni, ale urodziła go niewłaściwa w oczach Rijadu kobieta.

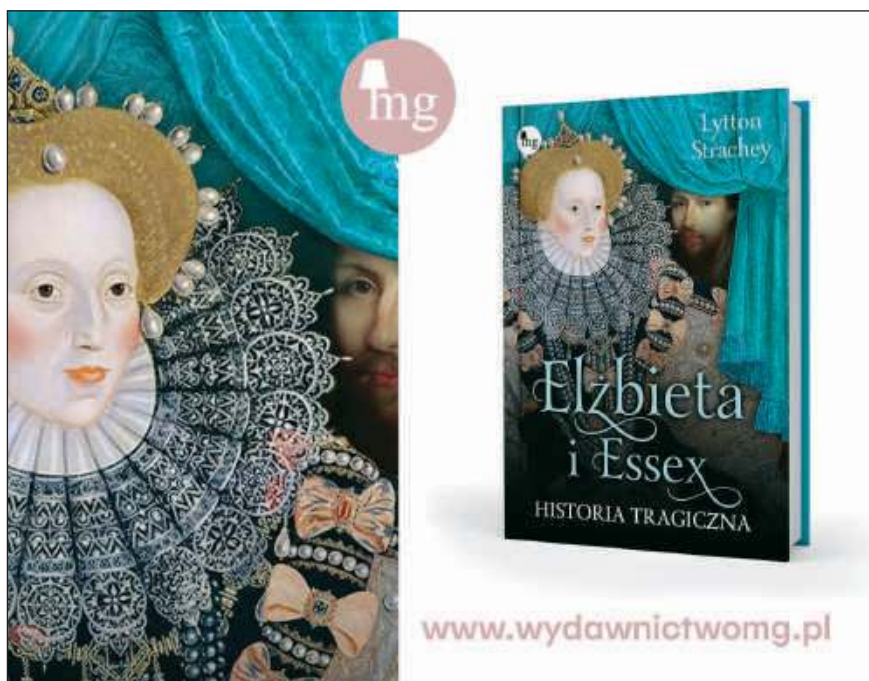
Obaj zostali warunkowo zwolnieni z więzienia, m.in. dzięki działaniom

pęka i choć książkę umiejętnie operuje wizerunkiem własnym i swojego królestwa, to nawet bliscy sojusznicy mogą nie chcieć dłużej przymykać oczu na łamanie praw człowieka w królestwie.

Taki wniosek można wysnuć z upublicznionego raportu amerykańskiego wywiadu, w którym czarno na białym widnieje ocena, że Muhammad ibn Salman wydał rozkaz zabicia Chaszukdziego. Jednak raport to raczej wątpliwy (całość bez strony tytułowej zajmuje dwie strony druku) dokument, oparty jedynie na założeniu, że książę od 2017 r. *de facto* sprawuje absolutną władzę w Arabii Saudyjskiej, i nieprzedstawiający rzeczywistych dowodów na jego udział w zabójstwie. Taki dokument na nic by się nie zdał w sądzie i sprzeciw saudyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, mówiący, że „raport zawiera niewłaściwe informacje i wnioski”, jest równie treściwy.

Ze strony nowej amerykańskiej administracji jest to jednak dość śmiały ruch, zwłaszcza że za nim idą sankcje nałożone na saudyjskich obywateli, którzy z zabójstwem mieli związki, w tym na Sauda al-Kahtaniego, i deklaracja prezydenta Bidena, że Stany Zjednoczone nie będą więcej wspierać saudyjskich sił w jemeńskiej wojnie domowej. Za wcześniej jeszcze, by orzec, czy to zupełnie nowa polityka wobec państw arabskich, w każdym razie analitycy będą mieli co obserwować.

Jakub Katulski



www.wydawnictwomg.pl

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Czas żniw

Wójt z Pcimia ma kłopoty. Ale niewielkie, w oczach prezesa Daniel Obajtek to geniusz, polski biznesowy Napoleon, więc włos mu z głowy nie spadnie. Taśmy mówią nam, że w przeszłości jako wójt postępował wbrew prawu, słyszymy też, że na co dzień używa knajackiego języka. Lud pisowski i tak w to nie uwierzy. Do sprawy jednak na wszelki wypadek odniosły się naukowo „Wiadomości” TVP, postawiono tam tezę, że prezes Obajtek cierpi na zespół Tourette’a, który charakteryzuje się m.in. kopolalią, czyli niedającą się opanować potrzebą wypowiadania nieprzyzwoitych słów. Cudne. To są rzeczy straszne i śmieszne. Straszne, że tacy ludzie jak Obajtek, Banaś czy Greniuch mogli zejść tak wysoko, ten trzeci upadł jedynie dlatego, że są jeszcze wolne media, a hitlerowskie pozdrowienie nadal fatalnie się kojarzy. Tacy ludzie robią teraz kariery, to jest ich czas, czas żniw.

Mecz Igi Świątek i jej zwycięstwo. Jeszcze mnie bawią takie tenisowe emocje i coś jakby dotknięcie patriotyzmu, o co niełatwo dzisiaj, bo PiS zatrulo nam też patriotyzm. Już nawet biało-czerwona flaga robi się podejrzana.

Mój starszy syn nie chce czytać „Syzyfowych prac”, mam pisma zebrane Żeromskiego, jeszcze z księgozbioru ojca. Najpierw narzeka, że takie stare wydanie, a potem, że go to nudzi. Biedny Żeromski, staje się udręką młodych. Ojciec uwielbiał Żeromskiego, by po latach ze zdumieniem ujrzeć, że nie jest to najlepszy pisarz, że jego rzeki słów pełne są mielizn, że miał grafomańską, młodopolską manię. Ja bym w programach zostawił tylko jego opowiadania. Napisałem i jakoś mi się zrobiło smutno, że tak myślę. Z kolei młodszy Franio męczy się z „Królem Maciusiem”. Niezwykle cenię Korczaka, ale to zupełnie dzisiaj nie na czasie, aż głowa od tego boli. Polska szkoła to jakieś nieszczęście.

W znakomitych dziennikach węgierskiego pisarza Sándora Márai, w tomie z lat 40., znajduję myśl pokrewną temu, co pisałem niedawno: „Pomiędzy pisaniem a władzą państwową istnieje tajemniczy związek. Bez zgody i poparcia elity umysłowej władza jest bezsilna: może zdobyć całkowite zaufanie tłumów tylko wówczas, gdy owa elita na swój pogański, szamański sposób zapewni społeczeństwo, że system władzy, o który właśnie chodzi, jest dobrym systemem i warto dla niego złożyć ofiarę. Władza kusi i grozi na przemian. Czyni wszystko, by uzyskać poparcie elity umysłowej”. Teraz PiS już

wie, że nie ma szansy przekonać do siebie elity, tej, którą Polska odbudowała z takim trudem, elity od stuleci niszczonej przez historię. Próbuje więc ją ośmieszyć i zgnoić. I stworzyć własną. To zadanie niemożliwe, ale się stara. Czarnek już wertuje podręczniki szkolne, by wciskać tam treści narodowe i katolickie. Wszędzie wygrzebywane są jakieś ludzkie pokraki, które myślą duszno, ciasno i dogmatycznie, i tacy zostają mianowani na niskie i na wysokie stanowiska.

Jadę do wsi Chrzęsne, gdzie stary pałacyk, nie tak dawno podniesiony z zaniedbania. Mam mieć wykład, gawędę o Norwidzie, bo jest Rok Norwida, a poeta tu bywał, urodzony w pobliskiej wsi Laskowo-Głuchy (ten dworek jest własnością Karoliny, córki Beaty Tyszkiewicz i Andrzeja Wajdy). Nagranie online, bo zaraza. Potem kilka osób mnie chwaliło, ale mówiły, że okropnie byłem smutny, mówiąc o Norwidzie. Ależ tak, bo on był smutny i nieszczęsny, pisał: „Więc to mi smutno – aż do kości smutno”. Ta jego „czarna nić” też mnie oplata.

Norwid, najbardziej niezwykły i oryginalny polski poeta. Poeta myśli, rozumu, już nie romantyczny. Także dlatego nierozumiany za życia. Mickiewicz go

uważał za palanta. A jaki triumf pośmiertny, on, światły katolik, gdybyż wiedział, że tak go będzie kochał i często cytował polski papież, umierałby radosny, a odchodził w nędzy i opuszczeniu. Najczęściej chyba publicznie cytowany polski poeta. Mój ojciec był wybitnym znawcą twórczości Norwida, napisał o niej piękną książkę „Gwiazdzisty diament”. A o jego mrokach tak pisał: „Architektura jego poglądów jest skomplikowana i ciemna, ale tak ciemne są wnętrza katedr”.

Potem jedziemy do pobliskiej wsi Dębinki, tam też pałac, teraz zupełnie opuszczony i do remontu. Należał do Ksawerego Dybowskiego, opiekuna Norwida, poeta wcześniej stracił matkę. Moim kierowcą i gospodarzem spotkania był Jacenty Matysiak, to on z grupą ludzi z pasją stworzył Fundację Museion Norwid. Zakochany, zafascynowany poetą. Wydzierżawił Dębinki, na razie z prawnych powodów nie można ich kupić. Fundacja chce tu stworzyć muzeum Norwida i to podobno realne. Na razie zbierają norwidiana. Myślałem, że Matysiak jest zamożnym biznesmenem i ma duże środki, a jest księgowym. Niezwykle cenię takich ludzi i takie pasje.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Małgorzata Żuber-Zielicz

Przy okazji prób zawłaszczania przez polski Kościół kolejnych obszarów życia społecznego bądź przy co większych kompromitacjach kleru karierę w internecie robią memy przypominające niebywałą liczbę godzin lekcyjnych poświęcanych na naukę religii. Bo też sumarycznie ten przedmiot jest, po języku polskim, matematyce i WF, największym pożeraczem uczniowskiego czasu. Przynajmniej tego spędzanego w szkole. Taki jest skutek dwóch godzin religii tygodniowo przez całe 12 lat szkolnej nauki. Niektórym te dwie godziny w tygodniu mogą się wydać mało znaczące, więc warto je z czymś porównać. Otóż Warszawa, najbogatsze miasto w Polsce, funduje swoim uczniom trzy godziny – czyli niewiele więcej! – tygodniowo wszystkich (!) zajęć pozalekcyjnych (kółka, zajęcia wyrównawcze itd.) na klasę. Właściwie fundowało, bo jeszcze przed październikowym lockdownem pod pretekstem pandemii z tego zrezygnowało. Inne polskie samorządy aż tak bogate nie są, więc fundują mniej albo wcale. Religia zżera zatem ubogie polskiej szkole więcej środków niż wszystkie zajęcia pozalekcyjne razem wzięte.

Warto wobec tego przyrzeć się temu przedmiotowi nieco szerzej, choć generalnie cała lista przedmiotów i siatka godzin wołają w polskiej edukacji nieco paradoksalnie o „pomstę do nieba”. W religii bowiem jak w soczewce skupiają się prawie wszystkie problemy z tym związane.

Akurat w przypadku religii w szkole Kościół był ostrzegany nawet przez swoich co bystrzejszych zwolenników (w rodzaju Anny Radziwiłł!), że to się dobrze nie skończy. I rzeczywiście – po 30 latach sprawdza się znane powiedzenie ks. Tischnera o marnych katechetach wychowujących ateistów. Sama pamiętam swoją religię z przykościelnych salek katechetycznych i jej atmosferę, pamiętam licznych swoich uczniów zafascynowanych aktywnością w ruchu oazowym w latach 80. Dziś to wszystko należy już do przeszłości – religia stała się zwykłym, banalnym szkolnym przedmiotem. Na dodatek zaabsorbowała kościelne kadry do tego stopnia, że na inne, atrakcyjniejsze formy aktywności brakuje im czasu i energii.

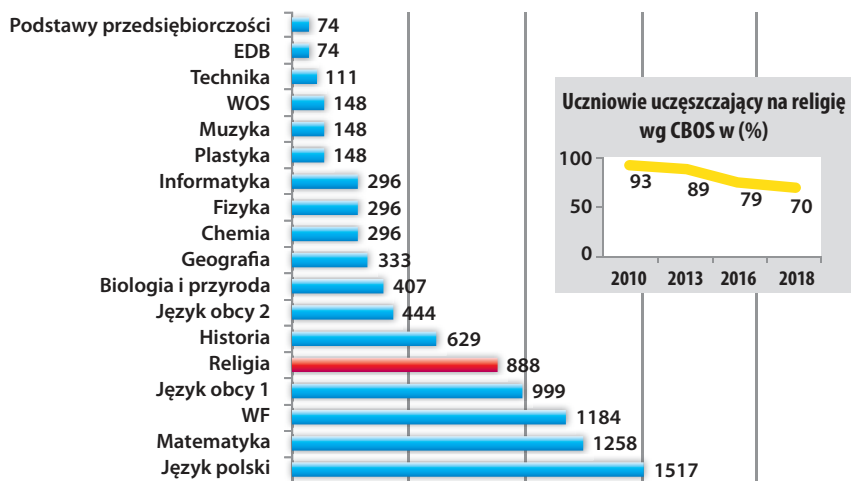
Godziny pożądania

Religia, po języku polskim, matematyce i WF, jest największym pożeraczem uczniowskiego czasu

Wygląda na to, że kościelny Lewiatan zdecydowanie przecenił swoje siły – mimo państwowego sponsoringu dwie godziny religii tygodniowo stanowiąc przekraczają jego kadrowe możliwości. Okazuje się bowiem, że w rynkowej Polsce, w bogatych wielkich miastach, gdzie o atrakcyjne oferty pracy nie tak trudno, a średnia płaca jest wysoka, etat nauczyciela nie wydaje się kuszący – stąd braki kadrowe wielkomiejskich szkół (pisałam o tym problemie parę razy na łamach PRZEGŁĄDU, ostatnio: www.tygodnikprzeglad.pl/zatrzymac-nauczycieli/). Brakuje też chętnych do zawodu katechety. Nie są więc odosobnione przypadki, gdy godziny katechety po jego rezygnacji z pracy czy długiej do niej niezdolności miesiącami pozostają nieobsadzone. Pod wpływem braków kadrowych wielkomiejskie kurie coraz częściej wyrażają po cichu zgodę na nauczanie religii w wymiarze jednej godziny tygodniowo – takim, jaki istniał przez kilka lat po wprowadzeniu tego przedmiotu do szkół. Oczywiście znakomicie utrudnia to również jakkolwiek selekcję katechetów.

Niemniej jednak kościelny Lewiatan, niepomny doświadczeń, wciąż próbuje zjeść więcej, niż może. Ostatnio biskupom szczególnie zamarzyła się matura z religii, a minister Czarnek obiecuje to marzenie spełnić. W zasadzie każdy wojujący ateista powinien temu przyklasnąć i trzymać za ministra Czarneka kciuki. Jest bowiem całkiem sporo księży i katechetów, którzy prowadzą religię z talentem i sporym zaangażowaniem, zyskując szacunek i sympatię uczniów. To ci, którzy potrafią na swoich lekcjach dyskutować o różnych fascynujących młodzież sprawach i mają z uczniami dobry albo wręcz świetny kontakt. Ich atutem jest znaczna swoboda w prowadzeniu zajęć i podejmowaniu różnorodnych atrakcyjnych tematów. No bo akurat oni nikogo do żadnego egzaminu przygotowywać nie muszą. Jeśli jednak ci ze szkoły średniej, gdzie trudno zbyć młodzież byle czym, będą mieli w klasach osoby zdające z religii maturę, to siłą rzeczy będą musieli się skoncentrować na „realizacji” maturalnego sylabusu. A to już dla pozostałych uczniów atrakcyjne nie będzie.

Liczba godzin w ciągu 12 lat nauki w szkole podstawowej i liceum ogólnokształcącym



Źródło: „Nie dla chaosu w szkole”



katecheta jako zatrudniony w szkole nauczyciel przedmiotu religia. „Innowierca” musi zatem pokornie zanieść swoje zaświadczenie do przedstawiciela innej religii. Pół biedy, jeśli ten jest kulturalny i, powiedzmy, ekumeniczny, ale wcale być nie musi i nie jest to reguła. Uczeń zaś zmuszony zostaje przy okazji do ujawnienia, że on i rodzice są np. świadkami Jehowy czy zielonoświątkowcami (nazwa związku wyznaniowego znajduje się na zaświadczeniu), co w wielu miejscach w Polsce nie jest zbyt popularne, mówiąc ogólnie, i co mają prawo zachować w tajemnicy.

Szkolna religia rodzi koszty czasowe i finansowe jeszcze inaczej. Jako listek figowy dla jej wprowadzenia pojawił się bowiem przedmiot zwany etyką. W czasach gdy „ciemnemu ludowi” uzasadniano wprowadzenie religii do szkół, twierdzono, że dzięki stosownemu nauczaniu umoralniającemu absolwenci szkół będą bardziej etyczni. Niewierzącym też jakieś umoralnianie się należało, poza tym ratowało ich świadectwa przed stygmatyzującym, jak się wtedy wydawało, brakiem oceny z tego przedmiotu. W szkole pojawił się więc jako alternatywa dla religii przedmiot o pięknie

Warto wspomnieć o pewnej manipulacji polityków przy okazji wprowadzania w szkołach religii, której koszty ponoszą dziś niczemu niewinni dyrektorzy szkół. Otóż, ponieważ nie jest to przedmiot obowiązkowy (proces rezygnacji z niego znacznie ostatnio przyspieszył!), politycy obiecywali wtedy, pokonując społeczny opór, że będzie ona wyłącznie na pierwszych i ostatnich lekcjach. Tak, by uczeń z różnych powodów nią niezainteresowany nie tracił czasu. Tyle że, jak łatwo policzyć, tych pierwszych godzin jest w tygodniu zaledwie pięć. Ponieważ w wielu szkołach nie wszystkie klasy zaczynają o tej samej porze, to maksimum dziesięć. Podobnie z ostatnimi. Czyli albo katecheta będzie miał w szkole pół etatu (pensum dziesięć godzin), albo po pierwszych dwóch godzinach będzie czekał w szkole czterypięć godzin na te dwie ostatnie. Na takie rozwiązanie ani on, ani pilnujące przestrzegania prawa pracy organy nie pozwolą – z ich punktu widzenia katecheta z czterema czy pięcioma godzinami okienek codziennie (!)

Po 30 latach sprawdza się powiedzenie ks. Tischnera o marnych katechetach wychowujących ateistów.

będzie po prostu dyskryminowanym pracownikiem.

Dopóki więc lekcje religii gromadzą znaczące grupy klasowe, żadne morze słów i wylanego atramentu nie spowoduje, że uczniowie niezainteresowani szkolną religią nie będą marnowali czasu na śródlekcyjnych okienkach. Warto wspomnieć, że obecny stan prawny oraz usytuowanie katechetów katolickich od lat stwarzają okazję (i to niestety się dzieje) do poniżania przedstawicieli innych wyznań. Ci bowiem, a jakże, mają prawo uczęszczać na swoją katechezę, otrzymywać oceny z niej na świadectwie itd. W tym celu muszą jednak dostarczyć do szkoły odpowiednie zaświadczenie z tymi ocenami, by można było je wpisać do dokumentacji. Tyle że oceny te wpisuje na podstawie zaświadczenia, zgodnie z przepisami, nie dyrektor (co byłoby logiczne), ale katolicki

brzmiającej nazwie etyki. W szkolnych dokumentach zaś pojawiła się „ocena z religii/etyki”. Tyle że ani wiedza teologiczna, ani akademicka wiedza o etyce (oraz jej różnorodnych kształtach i źródłach) nie czynią człowieka bardziej etycznym, a często wręcz przeciwnie. Wyraził to pięknie i dobitnie jeden z czołowych polskich akademickich etyków znanym powiedzeniem: „Ornitolog nie musi fruwać, a drogowskaz nie podąża drogą, którą wskazuje”.

Na szczęście utrzymano trzecią drogę: można nie chodzić ani na religię, ani na etykę, i ta trzecia możliwość – możliwość wyboru – jest, zgadnij, czytelniku, dłaczego, perdydycznie obiektem ataków ze strony biskupów.

Poświęciłam tyle miejsca religii/etyce, bo w historii tych przedmiotów skupiają się wszystkie mankamenty związane z wprowadzaniem

Waldemar Frąckowiak
**Państwo i gospodarka
w postpandemii.**
**Nowostare wyzwania
teoretyczne i praktyczne**
Poznań 2020

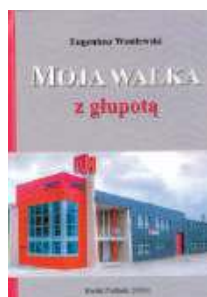
W jakim kierunku podąży świat? Czy w ramach istniejącego porządku społeczno-gospodarczego udoskonali się tylko dotychczasowy mechanizm produkcji, wymiany i dystrybucji dobrobytu? Czy powstanie tylko „lepsza maszyna” do pomnażania dóbr i usług, ale zachowa się *status quo*, wszak na wyższym poziomie ilościowym? Czy zatem świat postpandemii



zachowa swój dotychczasowy paradygmat, na którym opiera się cała budowa społeczeństwa i gospodarki, wraz z właściwymi preferencjami i motywacjami do rozwijania działalności? – zastanawia się autor, profesor nauk ekonomicznych, od wielu lat związany z Uniwersytetem Ekonomicznym w Poznaniu. By odpowiedzieć na te pytania, proponuje prześledzenie dorobku myśli ekonomicznej w tym zakresie.

Eugeniusz Wasilewski
**Moja walka z głupotą
(wspomnienia biznesmena)**
Wydawnictwo ELAN, Bielsk Podlaski 2020

Autor, ekonomista, prakseolog, twórca budownictwa modułowego w Polsce, prezes zarządu bielskich firm budowlanych: Unibudu, Unihouse i Nordhusu, honorowy obywatel Bielska



Podlaskiego, miasta, którego był naczelnikiem w latach 70. (najmłodszym wówczas w Polsce), jak pisze we wprowadzeniu, ostatnie lata przed emeryturą spędził na zwalczaniu „wszechobecnej głupoty, a zwłaszcza korupcji i bezprawia w wydaniu sądów białostockich”. Sądy te uniemożliwiły Wasilewskiemu ratowanie wspomnianego Nordhusu przed upadłością. Ta wspomnieniowa w zamyśle książka pisana dla rodziny i najbliższych znajomych jest w rzeczywistości praktycznym poradnikiem biznesowym dla szerokiego grona odbiorców.

▶ do polskiej edukacji dodatkowych przedmiotów. Przede wszystkim nikt nad tym generalnie nie panuje. Różne lobby walczą z różnych przyczyn o godziny i przedmioty dla siebie, wyszarpując co się da. Nikt, a zwłaszcza chwilowo zatrudnieni w oświacie politycy, nie patrzy na problem całościowo. Osoba najważniejsza, czyli uczeń, nie ma tu nic do powiedzenia. Wreszcie, przy nieprawdopodobnej wręcz centralizacji i uniformizacji polskiego systemu szkolnego, każdy taki przedmiot musi być obecny we wszystkich placówkach. Jeśli nie od razu, jak w przypadku przedsiębiorczości, to po jakimś czasie. W rezultacie uczeń ma po kilkanaście obowiązkowych zwykle przedmiotów, ale w śladowych wymiarach godzinowych.

Jest to sprzeczne z praktyką krajów rozwiniętych. Tam uczeń ma imponującą często dla Polaków listę przedmiotów (i ich poziomu, co ważne!) do wyboru – według pewnego klucza, w którym na ogół język ojczysty i matematyka są obowiązkowe – ale może wybrać tylko kilka, z reguły od trzech do sześciu. W efekcie ma na uczenie się tych przedmiotów po kilka godzin w tygodniu. Polska praktyka uczenia w śladowych wymiarach kilkunastu przedmiotów – co zabiera uczniowi czas, a niczego w jego umyśle realnie nie pozostawia – jest obok konstrukcji (!) podstaw programowych (ale to już temat na osobny tekst) podstawowym źródłem typowego w naszych szkołach ciągłego poczucia dojmującego braku czasu na cokolwiek oraz towarzyszącej temu nerwowości.

W przypadku religii/etyki ich wprowadzenie było skutkiem władczych ambicji potężnej instytucji, jaką jest Kościół, oraz jej zabiegów politycznych i propagandowych. Przy okazji pojawiają się wzniecone hasła. W przypadku innych przedmiotów w grę wchodzi dwa scenariusze. W pierwszym mamy dotkliwy problem społeczny. Politycy, nie mając zwykłe pojęcia o realnych sposobach jego rozwiązania, sugerują (czy wręcz domagają się!) wprowadzenia dodatkowego przedmiotu albo stosownych fragmentów w szkolnych programach. To z reguły wystarcza, by mieć w medialnych pyskówkach problem „z głowy”. W drugim, rynkowym, scenariuszu chodzi o „upchnięcie” w szkole określonych towarów.

Szkola jest bowiem gigantycznym rynkiem pracy, dóbr i usług – zatrudnienia dla absolwentów uczelni, podręczników i innych pomocy, ekspertów programowych i egzaminacyjnych. Zazwyczaj im mniej „chodliwa” dyscyplina, tym większy nacisk na wprowadzenie jej do szkół bądź zwiększenie w nich jej roli. Dlatego np. ekonomiści nie walczą o miejsce swojej dyscypliny w szkole (choć akurat to by się przydało), natomiast robią to z wielkim zaangażowaniem historycy czy filozofowie.

Oczywiście nikt nie mówi wprost, że chodzi o banalną kasę. Do propagandowego obiegu trafiają szczytne hasła utrzymania i rozwoju narodowej lub kulturowej tożsamości, kultury naukowego myślenia itd. Lobbyści przedmiotowi często podczepiają się pod polityków i ich kampanie. Dobrym przykładem była niezbyt odległa kampania historyków o zwiększenie roli (czytaj liczby godzin) historii w szkole. Żaden z występujących w niej w patriotycznym sosie akademickich historyków nie zająknął się, że tak naprawdę zależy mu, aby jego studenci mieli w perspektywie etaty, a on uczelniane godziny, honoraria za podręczniki, bryki i inne pomoce oraz ekspertyzy. Zupełnie przypadkowo zbiegło się to i zgrało z kampanią idącego po władzę PiS...

Mamy więc w polskich szkołach gigantyczną liczbę szalenie rozdrobnionych przedmiotów w śladowych godzinowo dawkach, które pojawiły się tam w efekcie chaotycznych akcji lobbingowych. Nikt nad tym całościowo nie panuje ani nie jest to generalnie przemysłowane. Na ogół są to przedmioty obowiązkowe, uczeń nie ma wyboru. Jest on zresztą niestety, wraz z rodzicami, w dyskusjach i decyzjach najmniej istotnym podmiotem. Za to mamy związaną z tą uniformizacją ogromną inercję systemu – przedmiot, który do szkół trafi, już z nich wyjść nie może, bo to by oznaczało zwolnienie dziesiątków tysięcy nauczycieli. Wszystko to w XXI w. za ogromne (nasze!) pieniądze.

Małgorzata Żuber-Zielicz jest nauczycielką, przewodniczącą Komisji Edukacji Rady m.st. Warszawy w latach 2006-2018, była dyrektorką II LO im. Stefana Batorego oraz wicedyrektorką XXXIII LO im. Mikołaja Kopernika w Warszawie; szkolna koordynatorka programu rozwoju osobistego i społecznego CAS w programie Międzyrodowej Matury IB

Gdyby nie Kołodko

Szczęściem Polski jest to, że Balcerowiczowi nie było dane „reformować” kraju dłużej niż w sumie cztery lata

Leon Podkaminer

W „Magazynie Gazety Wyborczej” 30 stycznia br. ukazało się sążniste dzieło Witolda Gadomskiego „Gdyby nie Balcerowicz”. Strukturalnie tekst ten jest nowoczesny niczym opera Richarda Wagnera. Refleksje o zjawiskach dawnych są tu gruntownie wymieszane z impresjami na tematy współczesne, nawet z domniemaniami dotyczącymi przyszłości, a fakty z fikcjami i mitami. W istocie jednak rzecz dałaby się, przy odrobinie wysiłku edytorskiego, sprowadzić do rzeczowego porównania gospodarczych losów Polski i Rosji w ciągu ostatnich trzech dekad. Z porównania zaproponowanego przez red. Gadomskiego ma jednak wynikać coś więcej. A mianowicie, że Polska poradziła sobie z transformacją nieporównanie lepiej niż Rosja, głównie dzięki jednej tylko osobie. Otóż, sugeruje autor, „gdyby nie Balcerowicz”, skończylibyśmy marnie, jak nasi wschodni sąsiedzi.

Balcerowicz podjął się zadania, którego nie miały odwagi (lub siły) realizować osoby kompetentne, rozważne i odpowiedzialne.

Nie odmawiam Leszkowi Balcerowiczowi jednej niewątpliwej zasługi. W obiektywnie trudnej sytuacji podjął się on zadania, którego nie miały odwagi (lub siły) realizować osoby kompetentne, rozważne i odpowiedzialne (choćby prof. Witold Trzeciakowski). Na tym – moim zdaniem – jego zasługi się kończą. Program gospodarczy („terapia szokowa”) przez niego wykoncypowany i wdrażany od początku 1990 r. był istną katastrofą – porównywalną z katastrofą, jaką spowodowało wdrożenie analogicznego programu (autorstwa Jegora Gajdara) w Rosji.

Za pierwszego wicepremierowania Balcerowicza (lata 1990-1991) PKB Polski spadł o prawie 18%. Tej niestychanej recesji towarzyszyły spowodowane programem hiperinflacja, szybkie nabrzmiewanie deficytu budżetowego, bezrobocie rosnące od 0,3% w styczniu 1990 r. do 14% na początku 1992 r. Absurdalna polityka stóp procentowych

Z matni, w którą wpędziła Polskę „terapia szokowa”, kraj wybrnął dopiero podczas pierwszego wicepremierowania Grzegorza Kołodki.

(ponad 400% w skali rocznej), stosowana także do dawnych zadłużeń kredytowych, i ciężarów fiskalnych z premedytacją narzucanych przedsiębiorstwom państwowym (tzw. popiwki) pomogła wykończyć masę potencjalnie najproduktywniejszych firm krajowych. Ich majątek albo został ześlomowany, rozkradziony, albo za psi grosz odstąpiony komu popadło (w tym zagranicznym łow-

com okazyjnych wyprzedaży). Moim zdaniem, podzielanym przez wielu znawców tematu (należy do nich np. prof. Mario Nuti), gdyby pana Balcerowicza w końcu nie usunięto z rządu, nasza transformacja skończyłaby się kląpą.

Z matni, w którą wpędziła Polskę „terapia szokowa”, kraj wybrnął na dobre dopiero po 1994 r. – podczas pierwszego wicepremierowania Grzegorza Kołodki (w latach 1994-1997). Jednym ze świadectw skuteczności jego polityki („terapia bez szoku”) był skumulowany wzrost PKB o 21,7% w latach

1995-1997. Co „Lesio” zmarnował, „Grzesio” odzyskał.

Niestety, powrót Leszka Balcerowicza na stolec wicepremiera rządu AWS-UW nie przyniósł niczego dobrego. W latach 1998-2000 udało mu się przeforsować „cztery fundamentalne reformy”. Z ich fatalnymi konsekwencjami (system emerytalny, ochrona zdrowia) borykamy się do dzisiaj. Jego polityka fiskalna zmierzała do redukcji podatków obciążających osoby dobrze sytuowane oraz – równolegle – do redukcji wydatków socjalnych (w pierwszym rządzie poprawiających położenie materialne osób gorzej sytuowanych). Pierwszy człon tej polityki udało się zrealizować – drugiego już nie. W rezultacie „mimo woli” Leszek Balcerowicz ponownie wygenerował masywne deficyty

budżetowe. Po czym z godnością porzucił rząd, przeszedł na stanowisko prezesa NBP, pozostawiając sanację rekordowej dziury budżetowej swoim następcom – wpiętem ministrowi Jarosławowi Baucowi z AWS, a potem (od 2001 r.) Markowi Belce. Pokłosiem urzędowania Leszka Balcerowicza było radykalne spowolnienie wzrostu gospodarczego (do 1,2% w 2001 r.) i podwojenie stopy bezrobocia – z 10% jesienią 1997 r. do 20% na początku 2002 r. Krótkie ponowne urzędowanie Grzegorza Kołodki (od połowy 2002 r. do połowy 2003 r.) przyczyniło się do przezwyciężania problemów budżetowych, redukcji bezrobocia i przyspieszenia wzrostu: w latach 2004-2007 średnioroczny wzrost PKB wyniósł 5,5%.

Tragedią Rosji było głównie to, że nie miała ona swojego Kołodki. Szczęściem Polski jest to, że Balcerowiczowi nie było dane „reformować” kraju dłużej niż cztery (w sumie) lata.

Prof. Leon Podkaminer jest emerytowanym pracownikiem Wiedeńskiego Instytutu Międzynarodowych Porównań Gospodarczych. W latach 2005-2009 był członkiem zespołu doradców ds. polityki pieniężnej Parlamentu Europejskiego

Latarnie Kieślowskiego

W filmach twórcy „Dekalogu”
i „Trzech kolorów”
można znaleźć drogę
do samego siebie



Kieślowski
w obiektywie
Krzysztofa
Wojciewskiego.

Stanisław Zawiśliński

Wielu ludziom na świecie Polska kojarzy się z Kieślowskim. Właśnie mija 25 lat od jego śmierci, a najlepsze filmy, które po sobie pozostawił, wciąż budzą zainteresowanie i wpływają na tych, dla których kino to nie tylko biznes i rozrywka.

Znałem Krzysztofa Kieślowskiego jako dziennikarz, który przeprowadzał z nim wywiady, m.in. na potrzeby mojej książki „Kieślowski bez końca”, wówczas, w roku 1994, pierwszej o nim w Polsce. Miałem wtedy poczucie, które nie opuściło mnie do dzisiaj, że spotykam się z człowiekiem wyjątkowym – charmatycznym, mądrym i empatycznym, a równocześnie dowcipnym i szalenie zdystansowanym

Rozmawiałem z twórcą „Trzech kolorów”, gdy znajdował się u szczytu międzynarodowej sławy; akurat ogłosił, że nie będzie już robił więcej filmów. Niektórzy przypuszczali, że to żart albo zabieg marketingowy. Ale to była poważna deklaracja i przemyślana decyzja. Znajomi i współpracownicy namawiali go, by wycofał się z niej. „Nie należysz już tylko do siebie, ale także do tych, którzy czekają na twoje kolejne filmy”, przekonywał go Krzysztof Piesiewicz. „Należę tylko do siebie. Powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia”, ripostował Kieślowski. I słowa dotrzymał – nie stanął już za kamerą. Nie został niewolnikiem sukcesu, ale z kinem nie zerwał. Pisał scenariusze, uczył studentów, miał rozmaite plany na

Polską do ponad 70 państw!), „Podwójne życie Weroniki” i „Trzy kolory”, które trafiły na ekrany w 45 krajach. Skromniejsze obieg miały filmy wcześniejsze – „Amator” i „Przypadek”. Natomiast dokumenty, których zrealizował 25, dopiero na pośmiertnych przeglądach zaczęły zyskiwać prawdziwe życie i odzew. Bez wątpienia pomogły w tym bumie cyfryzacja, wznowienia filmów na nowych nośnikach (wideo, DVD), emisje w telewizjach i w internecie.

Przez lata, które minęły od śmierci Kieślowskiego, odbyły się na całym świecie dziesiątki najróżniejszych imprez poświęconych jego twórczości. I odbywają się nadal, z udziałem nowej publiczności. Powstały książki, albumy i monografie, strony internetowe, filmy, spektakle, utwory muzyczne i plastyczne; szkółki i nagrody jego imienia, a jeszcze festiwal i archiwum w niewielkim Sokołowsku, gdzie spędził kilka lat swojego dzieciństwa.

Skąd ta popularność się bierze? Powody są różne. Najważniejszy? Być może to, że najlepsze filmy Kieślowskiego nie zestarzały się. Kiedy dzisiaj się je ogląda, nierzadko widzi się nie tylko ówczesną rzeczywistość, ale i współczesność. I dzisiejsze niepokoje. A przy tym okazuje się, że ta polska rzeczywistość z „Personelu”, „Pierwszej miłości”, „Amatora”, „Przypadku” i „Dekalogu” była nie tylko polska, lokalna, ale w jakiejś mierze także uniwersalna. Nie bez przyczyny widzowie z różnych kontynentów w rozterkach bohaterów tych filmów odnaleźli i odnajdują własne dylematy. „Ból zęba jest taki

Najlepsze filmy Kieślowskiego nie zestarzały się.

do siebie. Z żadnym innym twórcą nie udało mi się porozmawiać tak szczerze i o tylu sprawach. Gdy mu powiedziałem, że nasza spisuśna z taśmy rozmowa ma 300 stron, przeraził się. „Nikt nie przeczyta tyle gadulstwa. To trzeba skrócić do 40 kartek”, zasugerował. W ten sposób zmusił mnie do zwięzłości i... poniekąd nauczył montażu. Po autoryzacji naszych rozmów podarował mi opatrzoną autografem i pachnącą jeszcze farbą drukarską, opublikowaną w języku angielskim autobiografię „Kieślowski on Kieślowski”, którą skomentował: „Niestety, jest za gruba”. I wydana później polska wersja tej książki była już cieńsza.

przyszłość... W jednym z wywiadów stwierdził: „Jeśli ktoś będzie mnie potrzebował, sięgnie po moje filmy”.

Świat szybko po nie sięgnął. Już rok po spowodowanej nieudaną operacją serca nagłej śmierci Kieślowskiego kompletne retrospektywy jego twórczości zorganizowano w Nowym Jorku i w Rzymie, w Paryżu i w Moskwie, w Warszawie i w Tokio. Zaczęto poznawać „całego Kieślowskiego”, tego polskiego „Mojżesza kina” i „neurochirurga, który skalpelem nacinał bolące rany społeczeństwa” oraz proponował „podróż w głąb siebie”. Za życia Kieślowskiego szeroko znane były „Dekalog” (sprzedany przez Telewizję

sam dla Polaka i Niemca, dla mieszkańca Indii i RPA, dla anarchisty i komunisty. Wszędzie ludzie są do siebie podobni. Trzeba więc szukać tego, co łączy, a nie tego, co dzieli”, pisał Kieślowski.

Jakiś czas temu, w trakcie Berlinale, prof. Gesine Schwan z Uniwersytetu Viadrina podkreślała: „Choć świat się zmienił, to filmy Kieślowskiego są nam dzisiaj potrzebne bardziej niż kiedykolwiek przedtem”. Dlaczego dzisiaj bardziej niż przedtem? Czy dlatego, że w erze światów wirtualnych coraz trudniej mówić w poważny sposób o podstawowych wartościach i duchowości? A może kino XXI w. przestało umiejętnie stawiać ważne pytania? Może przytłoczyły nas nowe technologie, iPhone’y, wrzaski polityków, szum informacyjny? W tym kontekście, w globalnym chaosie, zgiełku i zagubieniu, wyciszone, kontemplacyjne kino Kieślowskiego bez wątpienia

teatralnych, ciekawe, rozproszone teksty publicystyczne, młodzieńcze opowiadania i wiersze, przejmujące zdjęcia wykonane w czasach studenckich, szkice i niezrealizowane, ale mogące inspirować nie tylko filmowców pomysły. U tych, którzy go znali bliżej, pozostawił też dobrą pamięć o sobie. Na poczynania wielu ludzi miał istotny wpływ. Spory dorobek jak na zaledwie 55 lat życia. A przeżył długą, najeżoną trudnościami i okupioną gorzkimi doświadczeniami drogę do międzynarodowego uznania. Warto tę drogę uważnie prześledzić. Jest frapująca i pouczająca. Okaze się, że jego kariera była autentyczna, oparta na talencie, intuicji i wielkiej pracy – nad sobą i z ludźmi.

W globalnym chaosie, zgiełku i zagubieniu wyciszone, kontemplacyjne kino Kieślowskiego zyskuje na znaczeniu.

w swoich naznaczonych skrywanym autobiografizmem filmach. W historii X Muzy ustawiono go w jednym rzędzie z Bergmanem, Fellinim, Antonionim, Tarkowskim. Podobnie jak oni wyznaczył ambitnemu kinu artystycznemu nowy szlak, stworzył interaktywną formułę rozmowy z widzem. Krótko przed śmiercią mówił swoim studentom: „We współczesnej sztuce za dużo już zostało odświeżone, odkryte, może teraz trzeba coś zakryć...”.

Twierdził też, że nie należy za wszelką cenę poszukiwać nowości – warto sięgać po to, co stare, i szukać sposobów współczesnego odzwierciedlania. Był humanistą i jakkolwiek staroświecko by to słowo dzisiaj brzmiało, wydaje mi się naj-

bardziej adekwatne do jego postawy i twórczości.

Co ciekawe, najwięcej nieprzychylnych ocen tej twórczości, zwłaszcza „Dekalogu” i „Trzech kolorów”, pojawiło się w Polsce, tu, gdzie na opiniach i na widowni zależało mu najbardziej. Odszedł zapewne w poczuciu, że we własnym kraju był oceniany niesprawiedliwie. Czy tylko z powodu filmów? Sądzę, że również dlatego, że nieraz narażał się i ryzykował, gdy szedł pod prąd politycznych i środowiskowo-towarzyskich poprawności albo kiedy inteligentnie uprawiał „ślalom” i nie dał się zaafiliować żadnej ze stron konfliktów politycznych, które po 1980 r. targały Polską. W rezultacie udało mu się wybić na niezależność. Podążył własną, „trzecią drogą” i tym samym utrudnił jednoznaczne zaszklakowanie po którejś ze stron. W homilii pogrzebowej ks. prof. Józef Tischner pytał retorycznie: „Mówi się, że Polska nie rozumiała Kieślowskiego. Ale co to jest Polska? Nie rozumieli go politycy, bo był za mało politykiem. Nie rozumieli go doktrynerzy, bo wcale nie był doktrynerem. Ale czy Polska, która nie rozumie, naprawdę jest Polską?”.

I większe zrozumienie Kieślowskiego w Polsce w końcu nadeszło. Co więcej, po latach powoływanie się na



Autor z Krzysztofem Kieślowskim podczas wywiadu do książki „Kieślowski bez końca”, 1994 r.

zyskuje na znaczeniu. Choć nie jest to kino dla każdego. Wzbudzało i wzbudza kontrowersje, ma zastępy admiratorów i zagorzałych krytyków – dziesięć lat temu Filip Łobodziński „oskarżył” Kieślowskiego o to, że „tworzył filmy nudne, puste i złe” i „zmarłował talent za sprawą bezkrytycznych wielbicieli”.

Dzisiaj wszystkie dzieła „reżysera duszy” można obejrzeć w domu, w 40 godzin. To 50 filmów. Pozostawił jeszcze po sobie kilka spektakli

Jako reżysera nie interesowały go masy, tłumy, rozrachunki z historią czy martyrologia – „grzebał” i szukał dramaturgii w codzienności i w życiu zwykłych ludzi. Właśnie człowiek rzeczywisty – a nie skrojony pod potrzeby rynku – zderzający się boleśnie z władzą, społeczeństwem, rodziną, a także swoimi niedoskonałościami i sprzecznościami, znajdował się w centrum jego zainteresowań. On sam twierdził, że wyznaje tę niemożliwą wiarę – w człowieka. Przemyślał ją konsekwentnie

► niego, przytaczanie związanych z nim anegdot i jego sentencji („Nieważne, gdzie się stawia kamerę, ważne jest – po co?” itp.) stało się w pewnych kręgach kultury modne. Jednakże dorobek twórczy tego kultowego reżysera wcale nie został twórczo przepracowany. Nie ma znaczącej kontynuacji sposobu myślenia, który reprezentował. Nie podjęto wielu tropów i projektów, które pozostawił.

Kieślowski wyznawał tę niemodną wiarę – w człowieka.

Warto to zrobić i może to nastąpi – na organizowanych niedawno (m.in. z okazji 30-lecia premiery „Dekalogu”) przeglądach i dyskusjach sale były wypełnione. A owiana legendą postać reżysera – choć zdawać by się mogło, że wszystko już o nim wiemy – oświetlana jest w nowy sposób. Szkoda, że czasem jarmarczny. Przykładem może być epigońska książka Katarzyny Surmiak-Domańskiej



„Dekalog” w Nałęczowie.

„Kieślowski. Zbliżenie”. Ten wytwór „kreatywnego dziennikarstwa” zawierający liczne niezwyfikowane, oparte na chwiejnej pamięci rozmówców informacje, plotki i anegdoty twórcę „Przypadku” pomniejsza i rozmienia

na drobne. Czyni go „sikającym chłopcem” i człowiekiem aż tak „zwykłym”, że nie wiadomo, gdzie tkwi wielkość i na czym zasadza się znaczenie jego sztuki oraz dlaczego świat ją docenił. Niewykluczone, że taki mamy dzisiaj klimat „marketingowy” i to on – pod złudnym pretekstem pokazywania „prawdy życia” – skłania do trywializowania ważnych dla naszej kultury postaci. Z serialu o Osieckiej nie dowiemy się, za co ją publiczność kochała, bo na pierwszy plan wysuwa się to, że piła. Dużo piła.

Na szczęście są różne sposoby podtrzymywania pamięci i popularyzowania wybitnych twórców. W moim przekonaniu najlepszym sposobem zbliżenia się do Kieślowskiego jest oglądanie i analizowanie jego filmów. To filmy – latarnie. Można dzięki nim znaleźć drogę do samego siebie. W tych filmach jest Kieślowski, jego wrażliwość, jego postrzeganie świata i ludzi, jego życie. Życie zgodne z twórczością. To uczyniło go wielkim artystą.

Stanisław Zawisliński

Daj z siebie 1%

Przeznacz 1% podatku i pomóż nam rejestrować nowych potencjalnych Dawców szpiku i skutecznie wspierać Pacjentów chorych na nowotwory krwi.

JAK PRZEKAZAĆ 1% FUNDACJI DKMS?

formularz ePIT

formularz w bezpłatnym programie

tradycyjny formularz papierowy

Wpisz w PIT KRS 0000 318 602
dkms.pl/1procent

1% – tyle wystarczy, by potencjalnych Dawców szpiku było więcej, a Pacjenci otrzymali odpowiednią pomoc!

Fundacja DKMS | ul. Altowa 6/9, 02-386 Warszawa | T: +48 22 882 94 34 | darowizny@dkms.pl | dkms.pl



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Obsceniczni mistrzowie

Ledwie przed tygodniem byłem pod wrażeniem uczynienia z Carycy radiowca nad radiowcami, ale muszę przyznać, że kaczyzowska rewolucja galopuje szybciej niż moja wyobraźnia. Nie podejrzewałem, że mstliwie antyinteligentcki charakter tej rewolty z obsesyjną ideą całkowitej wymiany elit tak prędko osiągnie poziom tyleż złowrogi, co absurdalny. Oto wedle nowej pisowskiej ustawy o korpusie dyplomatycznym ambasadorowie nie muszą posiadać wykształcenia ani znać języków obcych. To jest oczywiście pomysł doskonały, przyznając z podkulonym ogonem, geniusz polityczny Pana Prezesa wciąż mnie przerasta – wreszcie będzie miał pełną kontrolę także nad swoimi ludźmi w rewirach niepokojąco odległych od trójkąta Mickiewicza-Nowogrodzka-Wiejska. I tak już na świecie nie możemy się dogadać z nikim poza Węgrami, nasi ambasadorowie na terenach nieprzyjaznych kaczymowi mogą przyparć do muru, czy raczej dywanika, chlapnąć coś bez konsultacji z naczelnikiem, wszak przekaz dnia nie bierze pod uwagę różnic w strefach czasowych – lepiej więc z góry pozbawić ich możliwości komunikacji.

Stanowczo zbyt często w czasach „dobrej zmiany” przypomina mi się cytat z autobiograficznej powieści Sándora Márai „Ziemia! Ziemia!...”, kiedy narrator pisze o swoim kuzynie faszyście: „– Ja jestem narodowym socjalistą – krzyczał. – A ty – wskazał na mnie palcem – nie możesz tego zrozumieć, bo masz talent. Ja nie mam talentu i dlatego potrzeba mi narodowego socjalizmu. (...) Teraz nadszedł nasz czas, czas ludzi bez talentów – podtrzymywał swoje dziwne samooskarżenie niczym bohater rosyjskiej powieści. – Teraz nadeszły nasze czasy!...”. Kaczym jest narodowym socjalizmem, tyle że katolickim. To prawdziwy raj ludzi małych talentów i wielkiej wiary, zaprawdę, partia czyni cuda, w ramach walki z imposybilizmem zaraz niepiśmiennych uczyni się szefami związku literatów. Wymarzony kaczyzowski *blockbuster* historyczny powinien tym sposobem wyreżyserować ślepiec, daltonistów zatrudni się przy korekacji barwnej, a głusi będą nadzorować ścieżkę dźwiękową. Chcę to zobaczyć, rzekłbym nawet, że pokładałam niejakie nadzieje w tej antykompetencyjnej ścieżce doboru pracowników – filmów gorszych niż „Smoleńsk” czy „Pilecki” i tak zrobić po prostu się nie da.

Obcięcie języków szefom dyplomacji nie powinno więc dziwić, w ogóle obcinanie języków to ulubiona zabawa Prezesa; zanim uda się na wymarzony spoczynek jako emerytowany zbawca narodu, zechce zapewne obciąć, a przynajmniej ujednolicić język krajowych mediów. Zajął

się tym już pan Obajtek, któremu jednakowoż temperować języka nie trzeba. Zupełnie nie rozumiem tego zaślania się kompulsywną koprolalią i turetyzmem – chyba że to wciąż badanie granic ciemnoty ludu, który „wszystko kupi”. No, przede wszystkim kupi, a nawet przytuli za darmo swojskiego cwaniaczka, który w słowach nie przebiera. Lud jest już bowiem na etapie zauroczenia „obszarnym mistrzem”, jak napisał przy okazji refleksji nad trumpizmem Slavoj Žižek w przedmowie do właśnie wydanych po polsku „Kłopotów w raju”. Trump zbudował swój wierny elektorat nie pomimo wulgarnych kłamstw i ksenofobicznych, seksistowskich, chamskich wypowiedzi, ale właśnie dzięki nim. One generują obsceniczną radość z naruszania elementarnych norm przyzwoitości. Za pomocą szokujących wulgaryzmów zapewnia swoim wyznawcom narrację mającą sens – bardzo ograniczony i pokręcony, ale mimo wszystko sens, który oczywiście działa lepiej niż narracja lewicowo-liberalna. Jego bezwstydną przekleństwa służą jako oznaki solidarności z tzw. zwyczajnymi ludźmi.

Kaczym jest narodowym socjalizmem, tyle że katolickim. To prawdziwy raj ludzi małych talentów i wielkiej wiary.

W przypadku Obajtka mamy do czynienia z postacią wprost emblematyczną dla bolszewickiej rewolucji PiS: na pomazańca Wodza awansuje bowiem wójt Pcimia – miejscowości będącej symbolicznym synonimem zapyziałej prowincji, jak Wąchock w dowcipach o bezdennej głupocie „gorzej wykształconych obywateli małych miasteczek”. Antyintelektualizm sięgnął zenitu: wójt Pcimia szefem największego koncernu narodowego – to nic, trzeba go zrobić szefem narodowego rządu. W Warszawie będziemy mieli może Budapeszt, ale cała reszta Polski stanie się Pcimią. Że go złapali na chamskim języku – a ktoś powiedział, że chamstwo nie jest cnotą? Że się dorobił niezgodnie z prawem – znaczy, że sprytny i obrotny. Że pod wujem dołki kopał – no dejta spokój, z rodziną dobrze to tylko na zdjęciach, kogo z was jakiś wuj nie wkurwił przy świątecznym stole, niech pierwszy rzuci bigosem.

W Polsce normy etyczne obowiązują jedynie na wódkach plemiennych – stronę przeciwną. Trybalizm zwalnia z moralności, o ile reprezentujesz właściwą grupę. Kiedy plemię kaczyzowskie znajduje w szeregach swojej ulubionej partii cwaniaczków, przestępców i chamskich, kocha ich jako mistrzów brudnej gry, dzięki którym wygrywa się wojnę.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

PISARKI

portret intymny

Spółecznie mamy większe przyzwolenie na opowieści o życiu seksualnym mężczyzn niż kobiet

MIRA MARCINÓW

– polska filozofka i pisarka, doktor nauk humanistycznych w zakresie psychologii, laureatka Paszportu „Polityki” za książkę „Bezmatek”



Rozmawia Rafał Piłkuła

Na temat tej w gruncie rzeczy bardzo intymnej książki udzieliłaś już sporo wywiadów. Czy pozwoliło ci to nabrać do niej dystansu?

– Wydaje mi się, że na samym początku miałam dużo więcej dystansu. Przy pierwszych wywiadach – dla „Dwutygodnika” i „Wysokich Obcasów” – czułam, że mogę mówić więcej. Myślałam wówczas, że książkę przeczyta niewiele osób, że pozostanie w niszy. Bo chociaż wyszła w dużym wydawnictwie, to w sekcji „Poza serią”, w której znajdują się tytuły niszowe. Potem jednak, gdy „Bezmatek” zaczęło czytać coraz więcej osób, także tych „spoza bańki”, którym odróżnienie bohaterki literackiej od mojej matki i narratorki ode mnie przychodziło z trudem, zaczęłam być ostrożniejsza.

Pewnie pojawiły się pytania o co bardziej pikantne szczegóły, o okno-dziwkę i uwiedzenie 19-latką?

– Szczęśliwie takich pytań nie było wiele, ale może dlatego, że unikałam możliwości ich zadania. Nie chodziłam do telewizji, nie przyjeżdżałam zaproszenia do „Tok Szoł” Wojciecha Jagielskiego, bo wiedziałam, że program, w którym wydobywa on „najszybsze sekrety ze swojego rozmówcy”, nie jest dla mnie. Nie pisałam tej książki z myślą o jej potencjalnej popularności, chciałam stworzyć literaturę i nie myślałam, co będzie potem.

Przede wszystkim: to nie jest książka *non-fiction*, historia moja i mojej mamy, z drugiej strony... to również moja opowieść.

Wydaje mi się, że połączenie kiczu i czarnego humoru skutecznie pozwala ci uciec od patosu, stanowi także formę wzięcia w nawias „autobiograficzności” tematu.

– Ta kiczowatość jest też dla mnie formą walki z patriachatem, z wymuszoną kulturowo powagą. Jeden wydawca, do którego wysłałam książkę, napisał mi, że nie może zrozumieć, jak obok tak mądrych treści może się znaleźć taki kicz. Ja o tej potrzebie kiczu piszę wprost w „Bezmatku”. W mojej książce są i Roland Barthes, i ten Paolo Coelho. Pomieszenie śmierci z seksem, czarnego humoru z żałobą, dobrego i „złego” sztuki – to wszystko jest doświadczeniem, o którym chciałam opowiedzieć.

Książka powstawała spontanicznie. Wystukiwałaś ją na telefonie w trakcie karmienia syna. Czy nie była to pewnego rodzaju forma zachowania pamięci, stworzenia opowieści o babce dla wnuka?

– Nie myślałam tak o tym. Karmienie to bardzo intymny moment. W tym początkowym zaabsorbowaniu macierzyńskim nie ma się kompletnie czasu. Ale były chwile, kiedy mogłam co najwyżej spojrzeć do telefonu i miałam taką potrzebę pisania, że faktycznie napisałam cały „Bezmatek” w ten sposób. To niewygodne połączenie doświadczenia śmierci

bliskiej osoby i narodzin dzieci było wezwaniem do pisania. Myślę, że ta książka musiała zostać napisana, nawet w takich warunkach. Poza tym notatki w telefonie to ostatni bastion intymności, własna przestrzeń, taki „własny pokój”.

To był dla ciebie trudny czas – piszesz, że wózek inwalidzki stał obok wózka dziecięcego jak jakaś pretensjonalna instalacja artystyczna. No właśnie, między patosem śmierci a wzniosłością macierzyństwa znalazłaś dla siebie miejsce na bardzo sensualne, erotyczne, a nawet rubaszne opowieści.

– Niektórym bardzo się to nie podobało! To jest silny i pierwotny lęk przed seksualnością rodziców, zwłaszcza matek. Nie podobało się, że poruszam tematy tabu, takie jak seks po śmierci bliskiej osoby. W końcu w żałobie rozumianej jako rytuał nie ma miejsca na taniec, ale czy jest miejsce na seks? Nie mówi się o tym wprost, ale chyba tym bardziej nie ma wtedy miejsca na życie seksualne. A już większa niż zwykle witalność czy podwyższone libido to skandal!

Zwłaszcza jeśli ta rozwiązłość dotyczy kobiety.

– No tak, bo społecznie mamy większe przyzwolenie na opowieści o życiu seksualnym mężczyzn niż kobiet. Ale musimy pamiętać, że stłumienie kobiecej seksualności nieodłącznie wiąże się ze stłumieniem kobiecej mowy. Jedno ma wiele wspólnego z drugim: seks,

żałoba i możliwość opowiadania o tych doświadczeniach. Wystarczy przypomnieć Antygonę, która łamie zwyczajowo przyjętą zasadę przeżywania żałoby w zaciszu domowym. Reformy Solona to wprowadzenie zakazu publicznego okazywania żałoby. Od VI w. p.n.e. zwłaszcza karane będą dzikie zachowania kobiet w żałobie. Co ciekawe, po publikacji książki dostawałam wiadomości od czytelniczek, piszących o poczuciu ulgi, którego doświadczyły, czytając o podobieństwach w zwróceniu się ku młodości, witalności, także seksualności, po miesiącach, latach obcowania ze śmiercią, starością czy chorobą bliskiej osoby.

A czy ty poczułaś ulgę po śmierci matki?

– Nie, nie poczułam ulgi, ale też brak tej ulgi, poczucie, że pisanie o matce jest jej uobecnianiem, to ważne doświadczenie. Marek Bieńczyk, który bardzo mocno mnie wspierał w trakcie pisania „Bezmatka”, mówił mi o podobnych własnych refleksjach przy tworzeniu „Kontenera”. Taka intensywność relacji ze zmarłą osobą jest czasem trudna do udźwignięcia, gdy o niej piszemy. Ale, jak już mówiłam, matka bohaterka nie jest jeden do jednego moją zmarłą mamą.

Kiczowatość jest też dla mnie formą walki z patriarchatem, z wymuszoną kulturowo powagą.

Możemy powiedzieć, że na poziomie fabuły mamy pomieszanie realności i zmyślenia, ale na poziomie uczuć i emocji już całkowicie prawdę?

– Takie rozróżnienie wydają mi się dość naiwne. „Bezmatek” wyrasta z własnego doświadczenia, ale każda opowieść jest tylko jedną z narracji, szukaniem języka do opowiedzenia własnej historii. Można to pewnie nazwać właśnie poszukiwaniem prawdy emocjonalnej i słów, które najlepiej ją oddadzą. Pewne wątki zostały wprowadzone w celach fabularnych. Wiem, że niektórzy czytelnicy i czytelniczki śledzą prawdę, chcą oddzielić ją od fabuły. Ale nie wydaje mi się, by było to w ogóle możliwe. Jest takie opowiadanie Kereta „Nagle pukanie do drzwi”. W tym opowiadaniu jacyś mężczyźni domagają się od głównego bohatera, by opowiedział im historię, ale bez zwrotów akcji typu:

„nagle pukanie do drzwi”. I gdy ten zaczyna referować to, co się właśnie dzieje, jeden mężczyzna poirytowany mówi, że to nie opowiadanie, tylko sprawozdanie, dokładnie to się teraz dzieje, dokładnie od tego próbują teraz uciec, i dodaje: „Nie zrzucaj tak na nas rzeczywistości jak jakichś śmieci”. W „Bezmatku” starałam się nie zrzucać na odbiorców śmieci.

Poza doświadczeniami nagłego olśnienia młodością są też referencje czytelnicze. Twoja książka momentami przypomina „Rzeczy, których nie wyrzuciłem” Wichy, „Kontener” Bieńczyka, „Dziennik żałobny” Barthesa.

– Kiedy zaczynałam pisać „Bezmatek”, wyszła książka Marcina Wichy. Od razu rzuciłam się na nią z czytelnictwem żarliwością, bo w tamtym czasie interesowała mnie nieomal jedynie matkośmiertna literatura. Myślę, że gdyby nie książka Wichy, nie wróciłyby do mnie tak żywo wspomnienia kłótni o dobrą i złą literaturę z moją mamą. Bo on tam wiele pisze o lekturach matki właśnie. Marek Bieńczyk z kolei od dawna jest moim autorytetem literackim, gdybym nie przeczytała „Kontenera”, w „Bezmatku” znalazłaby się historia o butach kupionych po śmierci mojej mamy, ale jego opowieść o tym w pełni wyczerpała

czy w nas wewnętrznego pisarza? Ale jak już pisać, to same piękne opowieści. Wiesz, jakie jest moje ulubione zdanie w twojej książce?

– Jakież?

„Jedno piękne wspomnienie z dzieciństwa i jesteś zbawiony». Jeśli to prawda, to moja mama mnie ocalała». Jakim wspomnieniem ocalała cię twoja mama?

– Mama zabiera mnie i moją siostrę na kwietną łąkę. Uczy nas nazw kwiatów i ziół, kończy się etap naszego przyrodniczego analfabetyzmu. Zbieramy maki, skrzyp polny. Mama tłumaczy, że ze skrzypu robi się np. płukanek na włosy, żeby pozostały ciemne. Rozcieramy w dłoniach różne zioła. Pachnie, jest upalnie. A jakie jest twoje wspomnienie?

Też związane z naturą. Wędrujemy z ojcem i braćmi z miasteczka stryja do wioski dziadka. Jest upalne lato, chce nam się pić i nagle wychodzimy z lasu na pole i widzimy sad pełen jabłoni. Biegniemy, wspinamy się na drzewa i zajadamy soczyste jabłka.

– Piękne. Aż zapachniało latem. **Wspomnienie lata w środku zimy. Twoja książka jest też formą klasistowskiego coming outu. To opowieść o prowincjonalnej biedzie, rozczerowaniach transformacją. Jak książka została przyjęta w twoim rodzinnym Szczecinku?**

– Różnie. Na jednym z lokalnych portali pojawiła się informacja o tym, że otrzymałam Paszport „Polityki” i odbierając nagrodę, pokazałam maseczką z błyskawicą. Pod artykułem było mnóstwo hejtu z powodu tego politycznego gestu. Z drugiej strony odezwała się do mnie kobieta, której mama była moją wychowawczynią w pierwszych klasach podstawówki i opowiadała córce o mnie, a ona – nawet po śmierci swojej matki – nadal śledzi moje losy i mi kibicuje. To było bardzo przyjemne. Wzruszył mnie też dobry odbiór „Bezmatka” przez moje starsze sąsiadki tu, gdzie teraz mieszkam, w Warszawie. Jedna przyniosła bukiet róż i odręcznie napisany list, z podziękowaniami, również za tę błyskawicę, za to, że utożsamiam się ze Strajkiem Kobiet i protestuję. Cieszę się więc bardzo z tego, gdzie teraz jestem, ale mam też dobry kontakt z osobą, którą byłam – z tą nastolatką mieszkającą w małym mieście, której marzyło się, że będzie kiedyś pisarką. ■

Złote Globy:
Jane Fonda
odbiera premię
za całokształt

LALECZKA, BOJOWNICZKA, GIMNASTYCZKA



Wiesław Kot

W każdy zakręt życiowy należy wchodzić z nowym pomysłem na siebie. Że te pomysły się nie kleją? Nie szkodzi. I tak wystarczy, by zostać gwiazdą Hollywood, a nawet ikoną XX w. Jane Fonda przykładem.

Jane urodziła się w 1937 r. w rodzinie aktorskiej. Niestety. Tata, Henry Fonda, był jednym z tych słynnych tall manów złotej ery Hollywood – gwiazdor wysoki, smukły i przystojny. Kochały się w nim miliony kobiet. Jane niewiele z tego miała, bo rycerski i czuły tata bywał tylko na ekranie. W domu przeciwnie. Zwłaszcza od czasu gdy zostawił jej mamę dla 21-letniej aktoreczki. Mama zresztą nie interesowała się córką wcale. Mała Jane wyobrażała więc sobie, że to pogodna i wyrozumiała Katharine Hepburn jest jej rodzicielką. Co bardzo jej pomagało, szczególnie gdy rodzona matka podcięła sobie gardło w prywatnej klinice, do której oddał ją ojciec, przeczuwając, że nie wyjdzie z depresji. Taty to nie obeszło,

podobnie jak nie obchodziła go dorastająca córka. Gdy za pierwsze zarobione pieniądze kupiła mu prezent, nawet nie otworzył paczuszki.

Czym prędzej za to wypchnął dorastającą pannicę na pensję dla „dziewcząt z dobrych domów”. Rygor panował tu jak w koszarach. Od nastolatek wymagano, by na ceremonialny obiad stawiały się w szpilkach i z perłami na szyi. Jane lekceważyła ten ceremoniał, za co była piętnowana, ale też odwdzięczyła się po swojemu. Na kolejny obiad przyszła w szpilkach i ze sznurem pereł na szyi. Tylko w szpilkach i tylko w perłach. I już było wiadomo, że nie zostanie ozdobą salonu tatusia. Kiedy więc zażyczyła sobie studiować sztuki piękne w Paryżu, ten wykladał fundusze, byle się pozbyć kapryśnej panienki. Jane przy sztalugach nudziła się jednak bardzo i szybko wróciła do Nowego Jorku, by za 35 dol. tygodniowo zostać słuchaczką szaleńce modnego Actors Studio. Tam przyuczano takie przyszłe gwiazdy jak Dustin Hoffman czy Gene Hackman, by przed kamerą zachowywały się,

jak przeciętny Amerykanin zachowuje się na ulicy.

Po pierwszych rólkach filmowych jedni krytycy twierdzili, że Jane ma pewien potencjał, a drudzy, że poza nazwiskiem Fonda nie wnosi do filmu dostojnie niczego. Najwyżej miłą buźkę nieskażoną wysiłkiem umysłowym. Przyszłość w amerykańskim filmie nie rysowała się przed córeczką znanego tatusia zbyt pomyślnie. Na szczęście świat filmowy ogarnęło szaleństwo na punkcie francuskiej Nowej Fali. Jane, z temperamentu chuliganica, doskonale nadawała się do surowych i antykołtuńskich filmów. A kiedy francuski reżyser Roger Vadim zauważył, jak w trakcie przyjęcia w paryskim salonie popija potrawkę z małej coca-cola, z mieszcza doszedł do wniosku, że ta nieokrzesana panienka z wielkim amerykańskim nazwiskiem podkręci jego karierę. Ostatecznie Brigitte Bardot („uroda bufetowej”, jak pisała prasa), wcześniejsze odkrycie reżysera, pokazała już wszystko, co miała do pokazania, i widowni nieco się opatrzyła. Ale Vadim nie był twórcą na

miarę Nowej Fali. Zaangażował więc Jane do komedii erotycznej „Krag” i namawiał intensywnie do pozbycia się bielizny przed kamerą. Jane tymczasem wyciągnęła wnioski z historii B.B. i postanowiła nie odkrywać na starcie wszystkich kart. Na razie dziewczęcą buźkę (i tylko buźkę!) pokazała w komedii z Dzikiego Zachodu „Kasia Ballou”. Widownia przyjęła jej miłą twarzyczkę do wiadomości i na tym się skończyło. Bo Oscara za udział w tym samym filmie zgarnął jej partner Lee Marvin, obnoszący brudną, zapijaczoną mordę. Ileż jednak w niej było wyrazu!

O wiele częściej można ją było zobaczyć na kampusach uniwersyteckich niż na planie filmowym.

No i zaczęto się bawić Jane jak lalczką. Pewnego dnia dzwoni do niej tata z informacją, że jej nagie zdjęcia figurują na rozkładówce „Playboya”. Grom z jasnego nieba. Przecież ona nigdy dla tego magazynu nie pozowała! Okazało się, że w trakcie kręcenia nagich zdjęć do kolejnego filmu, które ostatecznie do niego nie weszły, ktoś (zapewne sam Roger Vadim) wpuścił na plan fotoreportera „Playboya”, a ten napstrykał fotek. Awantura rozpetęła się nieziemską. Szef magazynu Hugh Hefner, od którego aktorka zażądała 19 mln dol. odszkodowania, odmówił. Tłumaczenie było proste: nagie zdjęcia aktorki to reportaż z planu filmowego wykonany w czasie jej czynności zawodowych, a nie efekt szpiegostwa jakiegoś prymitywnego *paparazzo*.

Ta jej twarz i sylwetka lalczki Barbie stała się przyczyną kolejnego nieszczęścia, mianowicie przyjęcia głównej roli w filmie „Barbarella” wyreżyserowanym przez – a jakże! – Rogera Vadima. I to w czasie gdy odmówiła zagrania wiodących ról w takich tytułach jak „Doktor Żywago”, „Bonnie i Clyde” czy „Dziecko Rosemary”. A ta Barbarella była śliczną zapożyczoną z komiksu, odpowiedniczką Supermana. W dodatku w fabułę napakowano tyle rzewnych idiotyzmów – z maratonem orgazmów, który ma zabić nieszczęsną Barbarellę – że film do dzisiaj uchodzi za bezdyskusyjny okaz filmowego kiczu. Warto było?

Kariera Jane zmierzała by w jak najgorszym kierunku, gdyby nie film

Sydneya Pollacka „Czyż nie dobija się koni?”, opowieść o morderczym maratonie tanecznym w dobie wielkiego kryzysu. Tu nareszcie zagrała „kogoś” – nieudacznicę o imieniu Gloria. Ta, przegrawszy kolejną szansę, prosi, by partner dobił ją, tak jak dobija się stare konie prowadzone na rzeź. I właśnie taka: pobrzydzona, z przyciętymi włosami, w hipisowskiej bluzie, Jane weszła w lata 70. Bardzo się sobie spodobała. 8 marca 1970 r. zastał ją na czele 200 Indian maszerujących na Fort Lawton, pod którego bramą Jane odczytała proklamację skierowaną do Wielkiego

Białego Wodza Richarda Nixona. Indianie domagali się zwrotu plemiennych terenów i Jane Fonda z miejsca awansowała na anarchistkę. Pod lupę wzięło ją FBI i osobiście jego szef J. Edgar Hoover. Teczka aktorki zaczęła gwałtownie puchnąć. Sami Indianie bywali zniesmaczeni faktem, że biała bogata kobieta wypowiada się w ich imieniu, jakby nie zdążyli się dorobić własnych liderów.

Ale nie szkodzi – aktorka przeżyła się na wspieranie Czarnych Panter, bojowej organizacji, która stawiała sobie za cel likwidowanie segregacji rasowej, choćby nawet z koltem w dłoni. Teraz w jej terminarzu figurowały jeden za drugim: marsze protestacyjne, przemówienia

przed sądami, żeby w świadomości publicznej utrwaliło się, że Jane Fonda to komunistka i narkomanka.

To zapętlenie się powiększało, zresztą na życzenie samej kontestantki. Zawędrowała do Wietnamu i apelowała do amerykańskich żołnierzy, by wycofali się z tej „brudnej wojny”. Gorzej, że dała się zaprosić Wietnamczykom (czy raczej ich radzieckim dowódcą) do rzekomych obozów dla amerykańskich jeńców. A ci, oczywiście sterroryzowani przez Wietkong, przed kamerami opowiadali Jane i amerykańskim telewizjom, jak to wspaniale im się żyje w tych obozach. Do tego stopnia, że wcale nie mają ochoty wracać do Stanów Zjednoczonych. Po takich występach amerykański widz głupiał kompletnie. Zdania na temat „misji” Jane i jej samej były – delikatnie mówiąc – podzielone. W dodatku w filmie „Powrót do domu” związała się z weteranem wojny wietnamskiej, sparaliżowanym, poruszającym się na wózku, zdecydowanym pacyfistą. Dla niego porzuca męża, który dzielnie walczył w wietnamskiej dżungli, a po odejściu żony z innym popełnia samobójstwo. Za tak pomyślaną rolę Jane dostała Oscara, natomiast organizację kombatanckie zatrząsły się z oburzenia. Epitet „dziwka z Hanoi” przyłgnał do niej na stałe.

Nie było rady, należało spuścić nieco powietrza z tego ideologicznego nabzdyczenia. Aktorka zdecydowała się w latach 80. zostać światową twarzą aerobiku. Telewizja, kasety, pokazy i kursy. Bo przecież zdrowie kobiety

Znalazła się na liście wrogów Ameryki sporządzonej osobiście przez prezydenta Nixona.

i wiece. Niedawna lalczka Barbie kontestowała według harmonogramu: wojnę w Wietnamie, broń jądrową, biedę, wykluczenie, nierówności społeczne, gorsze traktowanie kobiet i oczywiście dyskryminację kolorowych. O wiele częściej można ją było zobaczyć na kampusach uniwersyteckich niż na planie filmowym. Znalazła się nawet na liście wrogów Ameryki sporządzonej osobiście przez prezydenta Nixona. Po kolejnej kontroli na lotnisku zamknięto ją za rzekome posiadanie LSD. Sprawę celowo przeciągano

jest najważniejsze. Kiedy jednak odwiedziła Polskę w 1987 r., władze starały się ją pokazać nie jako „panią od wufu” z kaset VHS, lecz jako „naszego człowieka w Ameryce”. A Fonda na to, że obeznana jest z polskimi tradycjami wolnościowymi jak rzadko kto. I że składa wyrazy uznania, ale tak raczej ogólnie, bezkierunkowo. Kiedy zaś po latach szukano aktorki, która mogłaby Andrzejowi Wajdzie wręczyć Oscara za całokształt, okazało się, że w całym Hollywood nikt lepiej nie rozumie polskich spraw niż właśnie Jane Fonda. ■

MIĘDZY OKŁADKAMI

NA EKRANACH



Suzanne Redfearn
W jednej chwili
tłum. Maria Smulewska
Rebis, Poznań 2021

Wariacja na temat „Ty-le wiemy o sobie, ile nas sprawdzono”, a po części załatwienie dawnych porachunków i przestroga dla rodziców powierzających dzieci cudzej opiece. Krótki wypad na narty przemienia się w bezwzględną próbę charakterów, lojalności, miłości, kiedy kamper, którym podróżują dwie zaprzyjaźnione rodziny, w śnieżycy wypada z drogi i stacza się z urwiska. Decyzje podejmowane czasem w ułamku sekundy, odruchowo, obciążają sumienie bohaterów, zmieniają ich sposób patrzenia na siebie i innych. Jeśli oczywiście są zdolni do odczuwania wyrzutów sumienia. „Najgorszy z nas cierpią najmniej”, pisze autorka, odwołując się do wspomnienia z własnego dzieciństwa, kiedy w nieco podobnej sytuacji pierwowzór postaci wujka Boba nie miał nawet cienia refleksji, że powinien się zatroszczyć nie tylko o swoje, ale również o dzieci przyjaciela, który przecież wyruszył po pomoc. W opowiadaniu o wydarzeniach z perspektywy ducha nie ma naiwności, jest za to miejsce na więcej empatii, na dostrzeżenie samotnego zmagania się z bólem.

Aleksandra Pańko



Joan Didion
Dryfując do Betlejem
tłum. Mikołaj Denderski
Cyranka, Warszawa 2021

Małe wydawnictwo dało nam wielką książkę, wyczekiwaną przez wielu. Na polską edycję „Dryfując do Betlejem” musieliśmy czekać niemal pół wieku. Jednak reportaży i esejów, z których składa się książka, nie czyta się jak gorących komentarzy do tworzącej się „tu i teraz” historii. Perspektywa czasowa pozwala bardziej skupić się na warsztacie ikony amerykańskiego dziennikarstwa, jej wizji świata, obrazach Kalifornii, jakie nosi w sercu, refleksjach na temat stanu literatury i dziennikarstwa. Zebrane teksty są oczywiście nierówne: od fenomenalnego tytułowego reportażu z hipisowskiej dzielnicy Haight-Ashbury po nieco kiczowate obrazy Sacramento. Wszystkie teksty spaja jednak poczucie klęski. Autorka jest kimś z zewnątrz, ale też częścią świata, który opisuje. Didion reportażystka obserwuje świat w rozkładzie, Didion człowiek wyzbywa się złudzeń. To połączenie jest siłą tego zbioru i stanowi o jego wyjątkowości.

Rafał Piłkuła

SOUND OF METAL

reż. Dariusz Marder, prod. USA,
już w kinach

Na pierwszy rzut ucha to tylko kolejny film o artyście, który musi się pogodzić z utratą słuchu. Ale dla Rubena, czystego od czterech lat narkomana, głuchota oznacza i niepełnosprawność, i odcięcie od muzyki, która dotąd skutecznie zagłuszała mu złe myśli. Jego dziewczyna Lou dezerceruje: zostawia chłopaka w ośrodku prowadzonym przez niepijącego alkoholika Joego, niesłyszącego weterana wojny w Wietnamie. Debiut Dariusza Mardera zaskakująco rymuje się z pandemią koronawirusa. Ruben marzy o powrocie do tego, co było, a Joe i spółka przekonują go, że starego świata nie da się przywrócić i nie zmieni tego nawet implant ślimakowy za dziesiątki tysięcy dolarów. Ratunkiem jest zaakceptowanie nowej sytuacji, wsłuchanie się w siebie zamiast w innych. Choć raczej wydają się nierozstrzygalne, ich zawzięte zderzanie się iskry emocjami. Zasluga w tym oscarowej roboty montażyście dźwięku i Riza Ahmeda. Ci pierwsi pozwalają nam odbierać otoczenie przez ucho Rubena, w którego ten drugi brawurowo się wciela. Recenzent „Vulture” słusznie nazwał Brytyjczyka aktorem z kina niemego przypadkowo przeniesionym w XXI w.

Artur Zaborski



KURTYNA W GÓRĘ



MAŁŻEŃSTWA RAMPOWE

Nowy spektakl Teatru Rampa, pół-otwartego dla publiczności w czasach zarazy, skrzy się humorem, ale niesie też kilka niegłupich myśli przeplatanych klimatycznymi piosenkami o miłości. Główna bohaterka kierująca gabinetem Psychoterapii dla Małżeństw i Par radzi wszystkim, aby rozwiązali swoje problemy, biorąc... rozwód. W drugiej części przedstawienia, kiedy spektakl staje się komedią pomyłek, sytuacja zmienia się diametralnie. Radosny happy end to skuteczna terapia śmiechem.

Dorota Wójtowicz, „Miłość jako jednostka chorobowa”, reżyseria Grzegorz Mrówczyński, Teatr Rampa w Warszawie, premiera 25 lutego 2021

ZASŁUCHAJ SIĘ

Bordo

Nie słuchasz mnie!

Rozdawnictwo Jasłoń/Atman Music

Szósty album krakowskiego duetu Bordo (Robert Stobbe, Michał Bogacki) przynosi godzinną porcję chłodnej, ocierającej się o mrok muzyki. Melodeklamacje, wolne tempa, linia basu z elektronicznym tłem mogą budzić skojarzenia z dokonaniem zespołów spod znaku cold wave („Drażenie”, „Pierwsza Pieśń Rewolucyjna”). Jednak w przypadku Bordo nic nie jest oczywiste. Oprócz typowego „zimnego grania” klimat 11 utworów z tego krążka budują elementy elektronicznego ambientu („Szyby”), partie sitaru czy alikwotowe wokalizy („Grające drzewo”, „Ręce”). Płyta równie intrygująca, co wymagająca w słuchaniu.

Rafał Pyszner



Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Oś w gardle, dycha na chodniku

To miała być tylko zabawa, urozmaicenie, którego większość spotkań potrzebuje po północy, kiedy pojawiają się pierwsze oznaki zmęczenia i część gości prosi o kawę, a część zerka tęsknie na kanapę.

Dzień wcześniej zamówiłam talię – nie tę z klasyczną ikonografią, jaka pojawia się chociażby w filmie Romana Polańskiego „Dziwiąte wrota”, tylko kiczową, gotycką (karty „neko”). Jedyne tę kurier był w stanie dostarczyć w ciągu 24 godzin. Zrobiłam szybki, powierzchowny *research*, bo pomysł był świeży i nie starczyło czasu na badania ani przepatrzenie źródeł – postanowiłam powołać osobny pokój do czytania tarota, gdzie znudzeni goście będą mogli odpocząć, słuchając wróżbitki (czyli mnie), która prawdę im powie. Jednak nawet tych kilka randomowych lektur uwrażliwiło mnie na „pierwszy kontakt z talią”. Miał być wyjątkowy. Trzeba wtedy w skupieniu obserwować własne reakcje i odczucia, „zapoznać się z kartami”. Już to mi się nie udało – trudno było zachować powagę, jeszcze zanim do kuchni zaczęli wchodzić ludzie i pytać ironicznie, czy coś czuję, jeszcze zanim jedną z kart liznął pies, a do drugiej przykleił się żółtawy skrawek kiszki.

Cały dzień próbowałam przyswoić kolejne symbole, aż w końcu zdesperowana zapisałam sobie adres strony internetowej w stylu „Baza znaków i znaczeń”. Owszem, to ściągą, ale (pobieżnie) wyjaśnia symbolikę „maga”, „wisielca”, „głupca”, „papieżycy”, „trójki kielichów”, „diabła”, „giermka mieczy” itd. Pomyślałam, że częścią wyposażenia pokoju wróżb może się stać dyskretny laptop, wszak to byt astralny. Ostatecznie uznałam, że i tak zaangażowałam się za bardzo, bo przecież do pokoju wejść może trzy, cztery osoby, i to te najbardziej pijane – głównie po to, żeby zrobić zdjęcie.

Wreszcie przyszedł wieczór, wybiła siódma i zebraliśmy się w umówionym miejscu. Na końcu korytarza, obok saloniku z żarciem, przygotowano pokój do tarota: ciemnopomarańczowy, z okrągłym zabytkowym lustrem i wysokimi sufitami (byliśmy w kamienicy). Po lewej stronie stała stara rzeźbiona szafa, po prawej dwa dębowe łóżka. Na środku zaś czekał okrągły stolik z metalową tacką i białą, szydełkową serwetą, jaką kładziemy na, za przeproszeniem, jajka, kiedy przychodzi Wielkanoc. Już w holu, gdzie goście obdarowali mnie hojnie (m.in. białą szatwą i peruwiańskim drewnem Palo Santo), pytano mnie, jak długa jest kolejka do tarota. Popyt na usługę był onieśmielający.

Wkrótce niemal siłą wepchnięto mnie do pokoju. Naprzeciwko usiadła koleżanka i wpatrywała się we mnie swoimi wielkimi oczami. Zaczęłam improwizować. Najpierw przy pomocy asystentki (w tej roli wystąpiła reżyserka teatralna) podpaliłam białą szatwę i okadziłam kumpelę, bredząc coś o oczyszczaniu aury (po zakończeniu rytuału dobrze jest się wykąpać w wodzie z dodatkiem soli, ale na taką infrastrukturę nie było nas stać). Rozłożyłam zatem karty i zaczęłam je omawiać, starając się reprezentować znośny poziom literacki, dobrze spożytkować wiedzę o przyjaciółkach, a do tego nikogo nie obrazić.

Szło mi nieźle tak do trzeciej osoby, kiedy to do pokoju wszedł filozof prof. Koczanowicz, który, jak wiadomo, na wszystkim się zna i strach z nim kupować kwiaty, czytać wiersze itd., a teraz się okazało, że strach także wróżyć. Wkrótce zaczął korygować moje odczyty, sprawdzać

Popyt na tarota był onieśmielający. W racjonalnie usposobionej paczce, wśród ateistów (z wyjątkami), w katolickim kraju takie zabobony?

symbole w telefonie, aż wreszcie przejrzał karty i uznał je za „jakieś dziwne”, bez symboli odwróconych, fałszywe i w ogóle – niewarte dalszej lektury.

Do *ad hoc* powołanej loży komentatorów dołączył młody, docieklivy poeta K., który zadawał kartom jakby dodatkowe pytania z offu. Teraz każdy chciał, żebym mu wróżyła, ale z pomocą profesora i przy asyście poety (reżyserka wciąż podawała ogień). Kto by pomyślał: w racjonalnie usposobionej paczce, wśród ateistów (z wyjątkami), w katolickim kraju takie zabobony? Takie praktyki pogańskie, które są przecież „przejawami chęci panowania nad czasem, nad historią i wreszcie nad ludźmi, a jednocześnie pragnieniem zjednania sobie ukrytych mocy”? Do czego doprowadził nas ten rząd?!

Własne urodziny opuściłam trzeźwa, zmęczona, z ubraniem przesiąkniętym dymem. Idąc ulicą Włodkowica, natykałam się na foliowe gwiazdy w błocie – ślady po gościach. Na drugi dzień dostałam mnóstwo esemesów z zaproszeniami na tarota. Okazuje się, że masa ludzi ma chociaż jedną talijkę w szufladzie. Pytania zadawajcie Państwo kartom konkretne.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl



Inkwizycja i płonąca czarownica
– scena średniowieczna.

Małgorzata Kąkiel

Weż szczyptę soli, ziemniakowi wydłub oko, pogłaszcz główkę dziecka, daj kotu siedem ziaren karmy, pozbądź się kurzu, trzyj mydłem płamę, aż ją unicestwisz, powiedz sąsiadce, że ten tysy blondyn to jej rycerz – niech się cieszy, zabierz czarną parasolkę, pod pachę wciśnij wieszak i idź walczyć o babską wolność. Tak, jesteś czarownicą!

Praeatrix (wróżbiarka), *venefica* (twórczyni eliksirów), maga, lamia, *striga*, wiedźma, szeptucha, ragana – każda kultura знаła kobiety o ponadprzeciętnych umiejętnościach, żyjące poza obowiązującymi wszystkimi dookoła normami. Gorączka trawi? Chłopak kochać nie chce, sromoty brzemiennosci trzeba by się pozbyć albo – przeciwnie – zaciążyć? Rochovej czy Maciejowej zrobić na łożość i mleko jej krwi odebrać? Wiedźma potrafi, bo wiedźma ma wiedzę. Mądrzejsi często się przydają, ale przede wszystkim wkurzają: dlaczego umieją więcej od nas? To nie jest normalne, a skoro tak, muszą mieć konszachty ze światem pozaziemskim. No i się zaczęło. Czarna propaganda ruszyła.

Kto z nas nie wie, jak wygląda czarownica? Haczykowały nos z centralnie umieszczoną brodawką, skrzeczający głos, obwisłe piersi, pochylona sylwetka i drapieżnie powykręcane paluchy. A jeśli akurat mamy do czynienia z Babą-Jagą, to jeszcze podejrzanie mieszka w chatce na kurzej nodze, tfu! I najchętniej zjada dzieci. Baba-Jaga jest bardzo, bardzo stara,

Marcowy sabat

Wieki mijają,
a patriarchalny
świat wciąż się boi
czarownicy

najpewniej pojawiała się już w prastowiańszczyźnie, bo (j)ęga (tak, tak, wy-czuwamy jędzę) kojarzyła się z męką, grozą. Jakaż moc w tej babie, skoro ona jedna przetrwała do naszych czasów spośród innych boginek – wił, brzeziń, mamun. A siła u kobiety, niezależność, łebskość irytuje. Taka Ewa... Ileż do niej pretensji, że ciekawa świata, nie pytała, co ma robić, no i ciepłko raju zaprzepaściła. A Lilith? Upiorzyca mezopotamska albo pierwsza żona Adama, co poszła sobie w siną dal, albo główna kochanka naczelnego diabła. Żeńskie demony istnieją od zarania świata i zawsze mają dwa oblicza: pomagają, ale i szkodzą, są zmyślone i realne. Natomiast całkiem jednoznacznie zostały zojdyżone przez męskie elity religijne i świeckie, zwalczające „pogańskie” wierzenia oraz matriarchat.

W 1484 r. papież Innocenty VIII wydał bullę *Summis desiderantes affectibus*, w której przypominał, idąc za Biblią, że „czarownikom żyć nie dopuścisz”. Dwa lata później

dominikanin Heinrich Kramer objawił światu „Młot na czarownice” (w Polsce przetłumaczony w 1614 r.), gdzie opisał swoje działania. W latach 80. XV w. w południowo-zachodnich Niemczech spalił setki kobiet podejrzanych o czary. Zaczął się horror. Każda kobieta, która zachowywała się inaczej niż reszta albo którą ktoś ze złości bądź ze strachu pomówił, przechodziła trudne do wyobrażenia tortury, a potem ginęła w płomieniach. W Polsce pierwszą czarownicę spalono w 1511 r. w Waliszewie koło Poznania, karę śmierci za czary zniesiono dopiero w 1776 r.

Nie tylko czarownice chodziły po świecie i nie tylko one cierpiały. Żyli też czarownicy, magowie, mądrzy mężczyźni, ale oni byli prześladowani w niewielkiej skali i nie utrwalili się w kulturze jako stereotypy. Bo szło nie tyle o czary, ile o niezależność kobiet. Wiedźmy nie czuły się zobowiązane do założenia rodziny, podporządkowania się nakazom i zakazom, żyły jako kobiety wolne, nawet nie kryły się z seksualną swobodą (nie bez powodu oskarżano je o spółkowanie z diabłem – takie to grzeszne wszeteczności). Jules Michelet, francuski historyk, pisarz, w 1862 r. wydał „Czarownicę”, w której tytułową bohaterkę uznał za archetyp kobiety zbuntowanej, za matkę współczesnej nauki, bo ona jak mało kto dobrze rozeznawała się w zjawiskach przyrody, znała podstawy medycyny. Polowanie na czarownice stanowiło – pisał – środek opresji wobec kobiet, które nie zostały okaleczone przez chrześcijańską pobożność i zakazy. Prześladowanie tysięcy

niewiast – nie ukrywajmy – było ludo-bójstwem, o którym do dziś mówimy półgębkiem. Kulturalny, zachodni patriarchat nadal decyduje, o kim warto pamiętać, a kto się nie liczy. Wiedźmy? Nie bądźmy śmieszni.

Tymczasem... wśród ginących w męczarniach na stosie czarownic była też Joanna d'Arc. Dziewczyna czuła, że jest kierowana przez Boga, w czasie wojny stułetniej poprowadziła francuską armię do kilku zwycięstw, ale wpadła w ręce wrogów (Anglików) i oskarżono ją o czary. A do tego nie chciała zdjąć męskiego ubrania! Była pewna swoich racji, inteligentna, odważna. To nie mogło jej pomóc. Fakt, 25 lat po śmierci została przez papieża Kaliksta III uniewinniona (1456 r.), w 1909 r. beatyfikowana, w 1920 zaś – kanonizowana. Współcześnie staje się bliska feministkom. Krótko ostrzyżone włosy, zbroja, biały sztandar w dłoni, inteligentne odpowiedzi podczas przesłuchań – robi to wrażenie. Podobno we Francji pojawiają się koszulki z jej podobizną i napisem: „Jeanne to odważna i waleczna kobieta w każdej z nas. Jeanne to ty, ona i ja”. A gdy ją wiedli na stos, przypominali, że „heretyczka, wtórna heretyczka, apostatka, bałwochwalczyni”. No cóż, nic nas nie zdziwi, wprawdzie nie ta skala, ale o. Tadeusz Rydzik pomrukiwał złowieszczo do swoich studentów: „Maria Kaczyńska to czarownica, która powinna się poddać eutanazji”. Bo nie sprzeciwiała się dramatycznie aborcji. Co tam zresztą współczesny redemptorysta z Torunia, skoro Herbert Spencer, naukowiec pierwszej wody, ewolucjonista, utrzymywał, że wskutek „procesów funkcjonalnej specjalizacji” kobiety nadają się do spraw domowych. To jest naturalna dla nich przestrzeń, a gdy zapuszczają się dalej, grożą im rozstrój nerwowy i choroby ciała. Henry Maudsley w eseju z 1874 r. dowodził, że praca intelektualna odbiera kobietom energię vitalną. Wtórował mu Edward Clarke z Harvardu (ani chybi antenat ministra Czarńka), autor pracy „Płeć w edukacji”, dowodząc: gdy kobiety zdobędą wykształcenie, staną się niezdolne do rodzenia dzieci. Nawet tęgie naukowe głowy nie mogły znieść działań jakiejkolwiek wiedźmy. Tylko John Stuart Mill opowiadał się za badaniami, które stwierdziłyby, czy różnice między kobietami a mężczyznami nie biorą się aby

z różnic w wykształceniu i wcale nie odzwierciedlają natury.

W nieprzyjaznym świecie wiedźmy mogą liczyć tylko na siebie, muszą więc się spotykać, wymieniać doświadczeniami, umacniać siostrzeństwo. Hajże zatem na sabat! Sabat, od hebrajskiego słowa *šabbath*, to święty czas odpoczynku. Gdzie go spędzić? Najlepiej podobno na jakiejś tyśej górze. Największy odbywa się na szczycie Brocken w Górach Harzu w noc Walpurgi, czyli z 30 kwietnia na 1 maja. Walpurga (ok. 710-777) była angielską mniszką i misjonarką na terenie Niemiec. Dobrze wykształcona (umiała pisać), znała się na ziołolecznictwie. Jest patronką rolników, żeglarzy, zwierząt domowych, chroni przed wścieklizną, kaszlem, chorobami oczu, dżumą (może i przed covidem?). Pierwszego maja 893 r. postanowiono w różne miejsca przekazać jej relikwie. Był to ważny dzień i w jakiś tajemniczy sposób połączył się z celtyckim świętem Beltane, dając początek nocy Walpurgi właśnie, gdy gasi się stare ogniska, zapala nowe i wita wiosnę, odradzający się do życia świat. Paradoks. Aż tyle wiedźmy potrafią. Może więc nie ma sensu upierać się dziś, że stołeczne rondo Romana Dmowskiego nie stanie się rondem Praw Kobiet?

Wiek mijają, a patriarchalny świat wciąż się boi czarownicy. Stosów już nikt nie wznosi, ale gdy na przetomie

XIX i XX w. sufrażystki zaczęły się domagać praw dla kobiet, były przez policję oblewane wodą, bite, tratowane końskimi kopytami, osadzone w więzieniach, na siłę tam karmione, gdy rozpoczynały protestacyjne głodówki. Dziś czasem łamie się na demonstracji wiedźmie rękę, psika gazem w oczy, ubliża, zatrzymuje w komisariacie, a na co dzień narzuca zakazy, mniej płaci, lekceważąco, acz dobrotliwie głaszcze po główce (o innych częściach ciała nie wspominam). Na szczęście wiedźmy mają moc i wciąż się odradzają. Ale nie mogą stracić czujności. „Nasze społeczeństwo jest męskie, narodowe, katolickie, heteroseksualne, zrepresjonowane i represjonujące. Wiele kobiet uwewnętrznia i propaguje to przesłanie” – to Maria Janion. Jej słowa zostały przypomniane przez wydawnictwo Albus w „Salve Femina” – feministycznej, czyli wiedźmowatej biblii. Mały format, czarna okładka, czerwone brzegi kart, wstążkowa zakładka, a w środku poczet polskich feministek, poczynawszy od Bibianny Moraczewskiej po współczesne mądre czarownice. Dużo ich na przestrzeni lat. Nie wolno zarzucić ich działania. „Płot nie płot, wieś nie wieś, biesie, biesie!”.

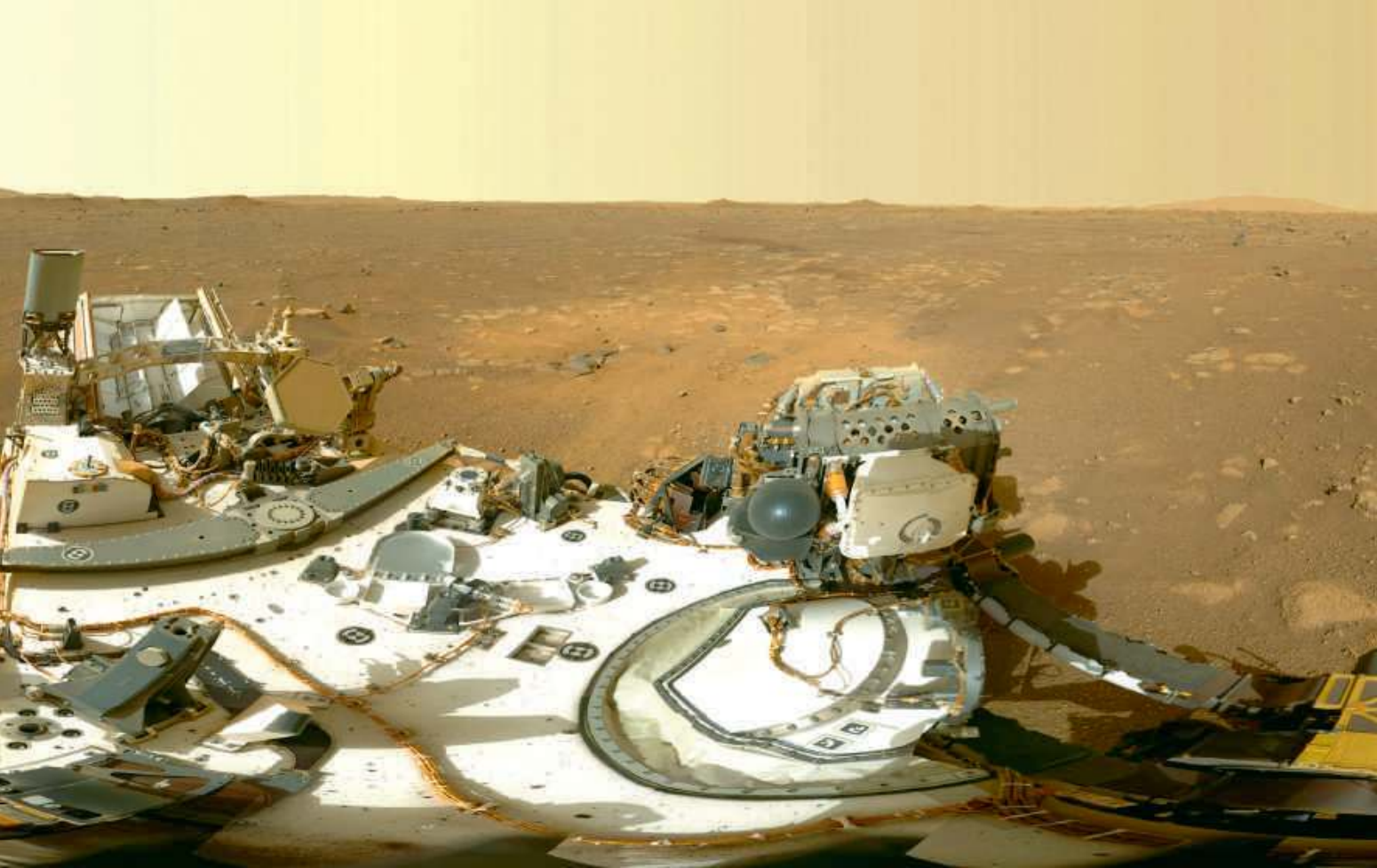
Korzystałam z książek: Kristen J. Sollée, „Polowanie na wiedźmy” (Znak Koncept), Lisa Appignanesi, „Szalone, złe, smutne” (Marginesy)





Niesamowita panorama Czerwonej Planety





Łazik Perseverance przesłał wysokiej rozdzielczości zdjęcia z 19 kamer, z których powstała 360-stopniowa panorama Marsa w kolorze. To pierwsze tak szczegółowe obrazy planety. Kamery zostały umieszczone na maszcie nad łazikiem na wysokości oczu człowieka o wzroście 2 m.

Głównym celem misji na Marsie jest poszukiwanie oznak mikrobiologicznego życia. Łazik bada geologię planety i klimat, zbiera skały i pył. Kolejne misje NASA mają przywieźć zapieczętowane próbki na Ziemię, by tu je dokładnie przebadąć.

(mg)



Rozmawia Paweł Drąg

Śmieszą cię żarty o niskich facetach?

– Tylko te dobre. To, że jestem niewysoki, nie jest równoznaczne z tym, że trzeba mnie traktować z większą delikatnością. Lubię żartować na różne tematy, byle tylko nikogo tym nie krzywdzić. Nie potrzebuję specjalnych praw.

Masz swój ulubiony dowcip?

– Samo życie przyniosło mi niezły dowcip. Jestem o 2 cm za wysoki.

Opowiadaj.

– W dzieciństwie pojawiła się możliwość przeprowadzenia na mnie operacji wydłużenia kończyn dolnych i górnych.

W tamtych latach była to w Polsce innowacyjna, rzadko praktykowana metoda. Cały proces leczenia trwał rok. Zapamiętałem z tego potworny ból. Nagrodą za cierpienie było 18 cm wzrostu więcej. Obecnie mam 147 cm. Z kończynami górnymi nie poszło tak dobrze, bo w lewej ręce mam przykurcz. To też spowodowało, że poniechaliśmy prób wydłużania, gdyż według lekarzy nie przyniosłoby to oczekiwanych skutków.

Nie brzmi to jak niezły dowcip.

– Już tłumaczę. Nie mogę jeździć na zawody międzynarodowe, ponieważ według aktualnie obowiązujących przepisów mojej kategorii sportowej niskorośli muszą mieć maksymalnie 145 cm wzrostu. Ja mam 2 cm więcej, wobec tego mimo że jestem trzykrotnym wicemistrzem Polski w rzucie oszczepem i pięciokrotnym brązowym medalistą w pchnięciu kulą, mogę startować tylko w kraju. Moje jedyne zagraniczne doświadczenie sportowe to udział w świątecznych zawodach w Niemczech. Dostaliśmy tam w nagrodę po mikołaju w czekoladzie. Setnie się tym ubawiłem.

Masz do siebie duży dystans.

– To kwestia świadomości, że nic już z tym nie zrobię. Wiele lat temu mocno to przeżywałem i czułem się niekomfortowo w swoim ciele. Za mną mnóstwo trudnych chwil. W czym miałby mi pomóc ten żal



DANIEL PIETRAS

– trzykrotny wicemistrz Polski w rzucie oszczepem i pięciokrotny brązowy medalista w pchnięciu kulą

Nie potrzebuję specjalnych praw

Złoty medal wisiał już na mojej piersi, po chwili jednak pojawił się komunikat, że jestem drugi. Nie załamuję się

do nie wiadomo kogo? Lepiej pogodzić się ze sobą i być świadomym, że to tylko wzrost. Mam zdrowy umysł, mogę chodzić, samodzielnie oddychać, realizować pasję. Wolę szukać pozytywów i cieszyć się tym, co mam.

Jakie są więc pozytywy?

– Do pewnego czasu darmowe przejazdy komunikacją miejską.

Nie mów, że również darmowe bilety do kina i teatru.

– Przydałoby się! Jest za to sport osób niepełnosprawnych, więc mimo ograniczeń mogę rywalizować z innymi, doskonalić umiejętności i stawać się coraz lepszym. Na pewno nie jest tak, że ze względu na wzrost oczekuję, że będę wszędzie stał w pierwszym rzędzie, by wszystko dobrze widzieć.

Pytam, bo mam wrażenie, że zawsze musisz być gotowy na niewybredny żart czy niestosowne zachowanie wobec ciebie.

– W moim przypadku sprowadza się to do tego, kto jest autorem docinków. Jeżeli osoba mi bliska, to zapewne wiedziała, że może sobie na to pozwolić. Trudno wtedy, abym się obrażał lub źle z tym czuł. Zdarzało się jednak, że obcy ludzie nie traktowali mnie zbyt dobrze. To bolało, ale z biegiem lat złapałem do tego zdrowsze podejście.

Dużo mówi się, że społeczeństwo dorosło do naturalnych reakcji na różnorodność. Ze swojej perspektywy też tak to oceniasz?

– Bez wątpienia staliśmy się wrażliwsi. Młode pokolenia walczą o swoje prawa, nie wstydzą się

inności; z większą zaciętością broni wartości, a także tych, którzy mogą być słabsi. Jest zdecydowanie lepiej. Już samo to, że niepełnosprawni mogą pracować, uprawiać sport i prowadzić życie towarzyskie, jest przywilejem, który kiedyś nie był tak oczywisty.

Czujesz różnicę w postrzeganiu siebie na ulicy teraz i 10 lat temu?

– Dzieciaki nadal robią wielkie oczy na mój widok. To już raczej się nie zmieni. Chyba najpopularniejsze pytanie to: „A dlaczego ten pan jest taki mały?”. Przyjmuję to z uśmiechem. Luzik.

Mieszkasz i pracujesz w niewielkim miasteczku, ale studiowałeś w Szczecinie. Gdzie czujesz się swobodniej?

– Gryfino jest małe, więc dużo ludzi mnie zna, choćby z widzenia. Pracuję w urzędzie miasta, jestem również aktywnym sportowcem – nie jest tak, że wynurzam się z mieszkania raz na kwartał. Społeczeństwo zdążyło do mnie przywyknąć. W Szczecinie jest inaczej, muszę się liczyć z różnymi reakcjami. Kiedyś tego unikałem. Dziś podróżuję po Polsce i za granicą bez obaw. Dojrzałem do tego, by cieszyć się dobrem, które mnie spotyka.

Byłeś kiedyś na spotkaniu osób z achondroplazją?

– Nie byłem, bo jakoś zawsze organizuje się je daleko od Szczecina. Chętnie bym wpadł, to mogłoby być ciekawe doświadczenie. W przeszłości starałem się otaczać tylko zdrowymi. Czułem się w ich otoczeniu lepiej. Dopiero sport otworzył mi oczy i kompletnie zmienił nastawienie. Poznałem wtedy wielu dobrych, mądrych ludzi i przekonałem się, że inteligencja, ciekawość świata czy empatia nie są zależne od stanu zdrowia.

Najbardziej wkurzający stereotyp wobec osób niskorosłych?

– Niepewni siebie, nieciekawi, bojaźliwi, zamknięci w małych perspektywach. Bzdura. Wyobraź sobie, że ktoś kiedyś się dziwił, że mam prawo jazdy. Niesamowite.

Czyli nie miałeś problemów ze zdaniem egzaminu?

– Dzięki specjalnemu programowi unijnemu miałem 70 darmowych godzin kursu, więc był czas, aby odpowiednio do niego się

przygotować. Lekcje odbywały się w specjalnie dostosowanym aucie. Zdałem za pierwszym razem. Moja niepełnosprawność nie przeszkadza mi w prowadzeniu samochodu. Nie mam już żadnych udogodnień, poza gałką przy kierownicy, która pomaga mi przy głębszych zakrętach.

Chwytasz chwile.

– Byłem jakiś czas temu na obozie sportowym w Zakopanem. Zostaliśmy zakwaterowani w ośrodku razem z młodymi piłkarzami, prowadzonymi przez legendy polskiej piłki nożnej – Tomasza Frankowskiego i Mirosława Szymkowiaka. Pewnego wieczoru oglądałem z kolegą mecz Pogoni Szczecin. Na moment dosiedli się do nas wspomniani Frankowski i Szymkowiak. Dumie Pomorza szło średnio, więc zaczęli trochę z nas żartować. Nie pozostaliśmy dłużni i odwzajemniliśmy się tym samym, ale w kontekście ich ukochanej

Mam zdrowy umysł, mogę chodzić, samodzielnie oddychać, realizować pasje. Wolę szukać pozytywów i cieszyć się tym, co mam.

Wisty Kraków. Wszystko z przymrużeniem oka, wytworzyła się świetna atmosfera. Do końca obozu mieliśmy megasympatyczne relacje. Dlaczego o tym opowiadam? Bo gdybym siedział w domu i lamentował nad swoim losem, nie miałbym takich wspomnień.

Twoją siłą napędową jest sport. Co cię mobilizuje?

– W mistrzostwach Polski w rzucie oszczepem czy pchnięciu kulą występują osoby o różnych przypadłościach. Jest zbyt mało niskorosłych lekkoatletów, by zrobić dla nich osobną konkurencję. Dlatego rywalizuję ze wszystkimi. W zależności od schorzenia są odliczane lub dodawane punkty, by było to względnie uczciwe. Moim największym rywalem jest aktualny rekordzista świata – Bartosz Tyszkowski. Jest ode mnie trochę niższy, ale ma dłuższe ręce. To ogromny przywilej przy dyscyplinach sportowych, które uprawiamy. To świetny zawodnik, ale moim marzeniem jest pokonać go i wywalczyć mistrzostwo Polski. Najlepsze jest to, że w zeszłym roku byłem już o krok. Błąd w liczeniu punktów spowodował, że przyznano mi złoto w oszczepie. Medal wisiał

już na mojej piersi, zdążyłem nawet wrzucić post o tym na Facebooka. Po chwili jednak pojawił się komunikat, że jestem drugi. Nie załamuję się. Za rok kolejna szansa.

Potrzebowałeś trochę czasu, aby znaleźć właściwą drogę.

– Zaczynałem od piłki nożnej, ale trener mnie skreślił, ponieważ uznał, że moja wydolność będzie za mała i nie dam sobie rady w rywalizacji z innymi. Później próbowałem sił w strzelectwie sportowym. W tej dyscyplinie osiągałem pierwsze sukcesy na poziomie mistrzostwa województwa. Nie było mi dane dalej się rozwijać, ponieważ musieliby zrobić dla mnie specjalną broń na sprężynie. Brakowało funduszy, więc musiałem o tym zapomnieć. Próbowałem też tenisa stołowego i siatkówki na siedząco. Zawsze pojawiały się jakieś trudności, ale nie poddawałem się i dziś spełniam się w lekkoatletyce

oraz bocci (dyscyplinie paraolimpijskiej wywodzącej się z włoskiej gry w bule – przyp. red.). Trzeba szukać swojej drogi niezależnie od wszystkiego. Sport dał mi wszystko. To on dodaje mi sił.

Myślałeś kiedyś o potomstwie?

– Kilka lat temu od razu zamykałem ten temat. Ze względu na ryzyko, że dziecko również będzie niskorosłe. Jest 50% szans na odziedziczenie achondroplazji. Nie chciałem, by musiał przeżywać to samo. Ten sposób myślenia wiązał się z brakiem akceptacji siebie. Teraz nie jestem już tak kategoryczny. Chciałbym założyć rodzinę. Na pewno ostateczna decyzja będzie bardzo trudna.

Co byś powiedział osobom, które nie mają odwagi, by czerpać z życia?

– Świat nie jest taki zły. Za drzwiami, za którymi się schowali, jest wielu dobrych ludzi i możliwości, które mogą dać im multum szczęścia. Warto poszerzać horyzonty i dzięki doświadczeniom stawać się lepszym. Każda rozpoczęta pasja pozwala odkryć w sobie coś nowego. Przeciwności będą się zdarzały, ale wszystko można zwalczyć. Szukajcie siebie i frajdy z tego, co kochacie. ■

Bill François

Zanim wyraźnie ujrzemy pod wodą ławicę sardynek, dostrzegamy jedynie ulotne rozbłyśki światła, które wydzierają słońcu efemeryczne promienie. Nawet gdy jest ich wiele i znajdują się całkiem blisko, sardynki wiedzą, jak pozostać niewidzialne. Grzbiety mają niebieskie niczym morze, więc nikt nie zdoła zobaczyć ich z góry. Ich perłowe brzuchy oglądane od spodu nikną w blasku nieba. Ich boki odbijają światło jak lustro. Wśród błękitu wody odzwierciedlają kolor otoczenia, przez co ryba staje się zaledwie niebieskim odbłyśkiem, kopią okolicy wtapiającą się w morski krajobraz.

Swoją srebrzystość niektóre gatunki ryb zawdzięczają tak zwanemu *stratum argenteum*, warstwie skóry umiejscowionej pod przezroczystymi łuskami. (...)

Sardynka jest zwierciadłem doskonałym, które pod każdym kątem rozsyła jednakowe refleksy. Potrafi całkowicie wtopić się w świat, który odbija się w jej skórze. Nikt nie

zdoła odróżnić morza od jego odbicia w sardynce. Na swej srebrzystej skórze sardynki, jak większość ryb, noszą dla ochrony łuski. Są one zapisem ich osobistej historii. W miarę jak ryba rośnie, tworzą koncentryczne kręgi przypominające słoje na pniu drzewa. Każdy taki pierścień wskazuje na pewne wydarzenia w jej życiu. Ściśnięty krąg sugeruje surową zimę; bardziej rozstrzelony to efekt hojnego lata. Niektóre są wspomnieniem z okresu tarła lub – w przypadku gatunków migrujących – z czasów, gdy osobnik przekroczył granicę między morzem

a słodką wodą. Ryba nosi więc swój życiorys wypisany na łuskach. Jeśli któraś z nich zostanie wyrwana, na jej miejsce wyrasta nowa; podejmie ona przerwana historię i dopisze do niej ciąg dalszy, nie przeredagowując przeszłości.

Jeśli jednak kiedyś przyjrzelicie się sardynce uważnie, zauważyliście, że nie jest jednolicie srebrna. Z tyłu głowy i wzdłuż boków ma często pasek złożony z delikatnych czarnych plamek. Te drobne cętki stanowią wskazówki pozwalające sardynkom z jednej ławicy łatwiej się rozpoznawać, dzięki czemu lepiej organizują swój ruch. Zagęszczenie tych stworzeń w ławicy sięga około 15 na metr sześcienny. Jeśli weźmiemy pod uwagę ich rozmiary, odpowiada to ścisłowi czterokrotnie większemu niż na korytarzach metra w godzinach szczytu. Mimo to, inaczej niż w metrze, żadna sardynka nigdy nie płynie pod prąd, nie wpada na sąsiadki ani nie powoduje najmniejszego zamieszania czy zatoru. Ryby te nie muszą ze sobą rozmawiać, by zachowywać należytą odległość od pozostałych i dopasowaną do reszty prędkość.

Ściśnięci jak sardynki

Ławica organizuje się samoistnie dzięki prostym interakcjom między sąsiadkami



Sardynka obserwuje najbliższe sąsiadki i wsłuchuje się w prądy wodne wywołane ich ruchem i w ten sposób dostosowuje swoje tempo do innych. Istoty te opanowały sztukę najdoskonalszej elokwencji: wystarczy prosty gest, by wszystko zostało powiedziane; jedno spojrzenie, by wszystko zrozumieć. Ławica nie potrzebuje dyrygenta ani odgórnych rozkazów, bo organizuje

przypadkowo zatonała u wybrzeży Sztokholmu, szwedzka marynarka, poddając się napiętej atmosferze końca zimnej wojny, bardziej niż kiedykolwiek obawiała się sowieckiej inwazji. W prasie stale pisano o znakach wskazujących na jej nieuchronne nadejście. Właśnie wtedy operatorzy sonarów, a więc oficerowie marynarki odpowiedzialni za analizę przechwyconych przez te urządzenia

bioakustyków pod przewodnictwem prof. Magnusa Wahlberga – posłuchać zagadkowych odgłosów sklasyfikowanych jako „tajemnica wojskowa”. Naukowcy mieli podjąć próbę ich zidentyfikowania. Zanalizowawszy „charakterystyczne dźwięki”, uniewinnili rosyjskie łodzie podwodne i ustalili tożsamość winowajcy – była nim ławica śledzi.

Kiedy ryby zbijają się na noc w gromadę, podejmują dość oryginalną rozmowę: komunikują się za pomocą... wiatrów! Ich pęcherz pławny, organ zapewniający równowagę podczas pływania, wyposażony jest w skomplikowaną aparaturę, która produkuje gaz, a następnie wydalą go naturalnymi kanałami. Ten koncert bąków niesie złożone informacje: składa się z sygnałów dźwiękowych powtarzanych rytmicznie w przedziałach od 32 do 133 milisekund. Ryby wykorzystują je, by porozumiewać się na częstotliwościach niesłyszalnych dla polujących na nie drapieżników – nie licząc szwedzkiej marynarki. Pierdnięcia powodują też powstawanie poetyckiej kurtyny baniek, która pomaga śledziom trzymać się razem w ciemności. Wieczorową porą bąbelki syciąją w górę wśród połykających ciał, tworząc harmonijny spektakl, z pewnością znacznie bardziej kojący niż perspektywa wojny, która za ich sprawą niemal rozpełtała się w Europie Północnej.

Rybie społeczności nie ograniczają się do jednorodnych ławic sardynek czy śledzi. W morzu ryby

Sardynki, jak większość ryb, noszą dla ochrony łuski. Są one zapisem ich osobistej historii.

się samoistnie, dzięki nieskomplikowanym interakcjom między sąsiadkami. Tak oto miliony sardynek pływają, automatycznie równając do linii lub szachownicy, w doskonałej synchronizacji.

(...) W przypadku ławicy składającej się z milionów sardynek decyzje podejmowane są w sposób naturalny, bez żadnej dyskusji. Jeżeli zjawia się drapieżnik, ławica stosuje podstęp i niczym ruchoma fontanna dzieli się na dwie części, żeby zmylić napastnika. Jeśli okolicę przemierzają widłonogi, planktoniczne ofiary sardynek, ławica obiera optymalną strategię, tak by każda z jej członkiń mogła się pożywić. Może postanowić, że się rozproszy, aby każda ryba indywidualnie skorzystała z nadarzającej się okazji, albo wręcz przeciwnie, przesunąć się w równych rzędach i pożerać ofiary z systematyczną skutecznością. Z małych, sprzężonych ze sobą akcji poszczególnych sardynek wyłania się zbiorowa inteligencja. To fantastyczna forma demokracji: nie ma wśród tych stworzeń przywódców ani grupy dominującej, nie otrzymują one żadnych rozkazów, a mimo to wszystkie godzą się pływać razem, tak że ich ławice mają nawet do kilkunastu kilometrów długości.

Śledzie, bliscy kuzyni sardynek, również żyją w ławicach, mają jednak gorsze maniery. Gdy po zapadnięciu zmroku chcą przegrupować się, by się nie zgubić, korzystają z siebie tylko właściwego sposobu komunikacji. Jest to metoda dość niegrzeczna, przez którą o mały włos nie doszło do wybuchu wojny.

W 1982 r., zaledwie rok po tym, jak radziecka łódź podwodna

dźwięków, wykryli nieznany odgłos, którego pochodzenia nie potrafili wyjaśnić. Ów „charakterystyczny dźwięk” pojawiał się w tym samym zakresie fal co warkot śrub okrętowych. (...) Szwedzi, przekonani, że mają do czynienia z nieprzyjacielem dysponującym zaawansowaną technologią kamuflażu, wystali samoloty i okręty wojenne, które przez miesiąc patrolowały cały obszar. Wszystkie jednostki składały taki sam raport: w miejscach, skąd dochodził sygnał, zauważano zawsze wypływające na powierzchnię bąbelki, ale tódź podwodna pozostawała nieuchwytna. Szwecja prawie wywołała incydent dyplomatyczny z udziałem ZSRR, który oczywiście zaprzeczył, jakoby sowieckie łodzie poruszały się po wodach Bałtyku. W kolejnych miesiącach i latach do sprawy „charakterystycznych dźwięków” wracano

Żadna sardynka nigdy nie płynie pod prąd, nie wpada na sąsiadki ani nie powoduje zamieszania czy zatoru.

jeszcze kilkakrotnie. Za każdym razem, gdy dało się je słyszeć, wojskowi i dyplomaci na próżno usiłowali wyjaśnić i uspokoić sytuację. (...) W 1994 r. szwedzki rząd, doprowadzony na skraj wytrzymałości nerwowej, zrezygnował z dalszych prób rozwiązania łamigłówki. Premier Carl Bildt napisał do prezydenta Borysa Jelcyna list, w którym zarzucał mu, że nie jest w stanie zapanować nad ruchami swojej podwodnej floty. Jelcyń, rzecz jasna, wszystkiemu zaprzeczył.

Dopiero w 1996 r. szwedzka armia pozwoliła cywilom – zespołowi

nawiązują również międzygatunkowe więzi społeczne i wynajdują języki, dzięki którym się rozumieją, mimo że nie są do siebie podobne. Gdy nad rafami koralowymi zapada noc, graniki i mureny podejmują wspólną pracę przy polowaniu. Przypomina to bajkę o lisie i bocianie. Mistrz granik potrafi gwałtownie przyspieszać i ma przenikliwy wzrok, brakuje mu jednak zręczności; z kolei jego sąsiadka murena umie wyciągać ofiary z ukrycia, wślizgując się do dziur, gdzie się chowają, ale jest powolna i niezbyt dobrze widzi. Kiedy więc granika dopada głód, składa wizytę ▶

► murenie i daje jej szczególny znak płetwami. Ruszają wówczas razem, by tropić rybki zamieszkujące rafę. Gdy granik wypatrzy ukrytą ofiarę, ustawia się prostopadle do mureny i pyskiem wskazuje jej cel, a ta wsuwa się między koralowce i ją wyłuskuje. Ścigana ryba nie może więc

machania płetwami. Uzbrowiłem się w cierpliwość i przez kilka dni dokładnie obserwowałem całą scenę, a wtedy zrozumiałem, że stworzenia te znajdują się w stacji oczyszczania i czekają w kolejce do wargacza czarnoogonowego. Jest to mała rybka we wpadającym w fiolet odcieniu

spotkań, swego rodzaju salon fryzjerski. Przypływa się tam w pokoju: w tej strefie relaksu nawet największe drapieżniki nie atakują gospodarza ani innych potencjalnych ofiar. Przed skałą wargacza często ustawia się długa kolejka. W wielu regionach świata żyją różne gatunki rybich czyścicieli, a tropikalne odmiany wargatka sanitarnika obmyśliły nawet strategię marketingowe. Potrafią odróżnić stałych klientów od ryb, których jeszcze nigdy nie widziały. Aby zaskarbić sobie lojalność nowo przybyłych, a także tych, którzy dawno nie korzystali z czyszczenia, obsługują ich w pierwszej kolejności. W ten sposób zyskują więcej stałych klientów. Niektóre zakłady usługowe mogłyby sporo skorzystać, gdyby zechciały się na nich wzorować. (...)

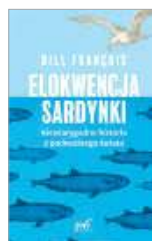
Kiedy ryby zbijają się na noc w gromadę, podejmują dość oryginalną rozmowę: komunikują się za pomocą... wiatrów!

ani uciec na otwarte wody, ani przycząić się w zagłębieniach rafy – może jedynie wybierać, który drapieżnik ją schwyta. Granice tej kooperacji wyznacza jednak apetyt współników: którykolwiek – granik czy murena – złapie ofiarę jako pierwszy, pożera ją sam. Ryby dzielą się wysiłkiem, ale nie nagrodą.

Jeśli w Morzu Śródziemnym skierujemy się w pobliże skał, zobaczymy nieraz ryby różnych gatunków zawieszane pionowo w wodzie, nieruchome, jeśli nie liczyć dziwnego

czerni, która uwalnia swoich klientów od pasożytów, martwego naskórka i resztek po posiłkach, ponieważ sama się nimi żywi.

Ustawienie się pionowo przed skałą wargacza sygnalizuje chęć poddania się czyszczeniu; wyprostowanie płetw na jego widok oznacza przyzwolenie, by czyściciel zabrał się do pracy, także przy ważnych, wrażliwych organach, takich jak skrzela. Stacja oczyszczania to dla ryb miejsce



Fragmenty książki Billa François *Elokwencja sardynki. Niewiarygodne historie z podwodnego świata*, przeł. Elżbieta Janota, Post Factum/Sonia Draga, Katowice 2021

Pomóżmy sobie wzajemnie

1% PIT PODARUJ SENIOROM

KRS 0000161452



Fundacja „EMERYT”
ul. Ogrodowa 8, 00-896 Warszawa
tel.: (22) 620 40 44
www.fundacja-emeryt.org; e-mail: seniorzy@fundacja-emeryt.org





Paweł i Gaweł w jednym stali Gmachu

Gmachem od zawsze pracownicy MSZ nazywali budynek przy Szucha, siedzibę ministerstwa. Do przełomu tysiącleci wszyscy pracownicy i goście wchodzili jednym wejściem, od alei Szucha 23. Po prawej stronie siedział Pan w Garniturze i miał listę gości na dany dzień. Dziś tym wejściem wchodzi minister, jego zastępcy i oficjalni goście. Pracownicy i pozostali goście wchodzić innymi wejściami, których pilnują przedstawiciele „służby ochrony i kontaktu – SOiK”, zatrudniani przez Inspektorat Służby Zagranicznej, o którym więcej pisaliśmy jakiś czas temu.

Gdzieś w latach 80. pojawiło się w Gmachu dwóch absolwentów MGIMO: Adam Kobieracki i Piotr Światalski. Byli nietypowymi absolwentami tej uczelni, ze względu na języki. Inni absolwenci uczyli się chińskiego, japońskiego, tureckiego czy rzadszych języków europejskich. Oni uczyli się angielskiego i francuskiego. Mieli być tłumaczami. Na studiach tworzyli jedną z lepszych par brydżowych.

Trafili, na szczęście dla siebie i ministerstwa, do ważnych departamentów: strategii i ONZ. Konkurowali ze sobą bez podkładania sobie świeć, co w Gmachu było i jest rzadkością. Jak jeden wyjechał do przedstawicielstwa ONZ w Wiedniu, to wkrótce pojechał tam drugi. Jak Adam został zastępcą ambasadora, to Piotr wygrał konkurs na urzędnika centrali OBWE w Wiedniu. Jak Adam został ambasadorem placówki wielostronnej w Wiedniu, to Piotr przebił go dyktando w MSZ i awansem na wiceministra spraw zagranicznych, a potem ambasadora RP przy Radzie Europy w Strasburgu. Tu Adam już nie miał wyboru i musiał wygrać konkurs na zastępcę se-

retarza generalnego NATO ds. operacji. W 2015 r. Piotr wygrał konkurs na ambasadora UE w Erywanii. Był nim do 2019 r. i był ostatnim polskim ambasadorem w UE. PiS bowiem nie wysłał tych z MGIMO czy od wujka Bronka, a własna ławka to raczej ośla ławka i pisowscy nominaci nawet w konkursach nie startują. W ubiegłym roku minister Rau w ogóle nie wystąpił kandydatur. I z tego względu ta korzystna dla wszystkich rywalizacja między Adamem i Piotrem dobiegła końca. Szkoda! Nie piszę o pomniejszych stanowiskach, np. dyrektorskich, które zajmowali w MSZ. Nie muszę też wspominać o niezwykle ważnej i pozytywnej roli, jaką w ich karierach odegrały żony. To oczywista oczywistość!

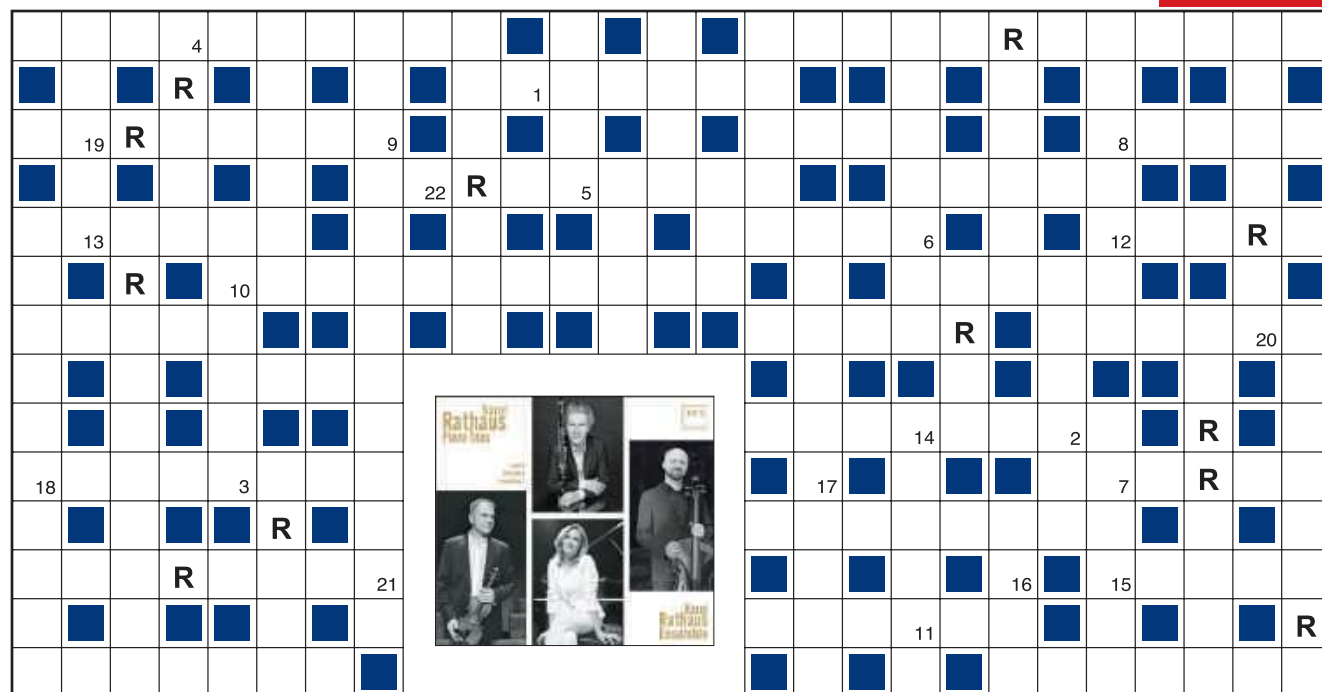
Ech, ile jest w historii MSZ wspaniałych duetów? Nie-wiele. O jednym tylko wspomnę – to Adam Daniel Rotfeld i nieodżałowany Sławomir Dąbrowa. Prof. Rotfeld zakończył karierę w MSZ jako minister. Dąbrowa – był wiceministrem, a także etatowym dyrektorem i trzykrotnym ambasadorem, doktorem habilitowanym nauk prawnych. Legendą, jeśli chodzi o wiedzę i umiejętność jej wykorzystania.

Wracając do Gmachu – do końca lat 80. był jeden przy alei Szucha 23. Potem doszedł budynek Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Sportu przy Litewskiej 2. Później szpiegowiec na rogu Szucha i Litewskiej, a na zapleczu postawiono osobny budynek dla księgowości i administracji. Czyli razem cztery, a z budynkiem przy Krywułta i Akademią Dyplomatyczną na Starym Mieście – sześć. To bardzo dobrze, że warunki lokalowe się poprawiają. Ale gdzie są nowi Kobieraccy i Światalscy?

Attaché



Gdy większość przewozów pasażerskich została odwołana, zostaje dreznina. Rosyjscy dyplomaci z rodzinami wracają z Korei Północnej.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pół ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- przysposobienie dziecka
- imię lichwiarki ze „Zbrodni i kary”
- z puszek – w plastrach zalanych syropem
- służą do oznaczania toru wodnego
- mąż, błoto pośniegowe
- kuma
- Prusowski Anastazy
- Fitulski na rowerze

- barman go przygotowuje
- przewodniczący rady adwokackiej
- wedle inskrypcji na drzwiach przedsięwzięto by ją
- szklivo
- swoje już przepracował
- ...sięgnął bruku
- po Chinach drugi najludniejszy kraj świata

- dział prowadzący ewidencję pracowników
- strój będący połączeniem bluzy ze spodniami
- zakłada ją ministrant
- podręcznik nawigacji, opis wód żeglownych
- wieko, pokrywka starego kufła
- śmiechu, złości albo hysterii
- polifoniczna w „Zbrodni i karze”
- „Ta pamięta lepiej, czyja dłuższa...”
- ciapowatość, niezdarność
- ...nosa – katar
- ...siedmiu złodziei

- Herod Antypas dla Salome
- kostium plażowiczki
- ziębla – przedzimowa na polu
- tchórz trzęsie się jak ona
- imię malarza Kokoschki
- bachusy, zapusty
- czasem trzeba przełknąć gorzką
- łańcuch górski z Księstwem Andory
- „Prowadź swój... przez kości umartwych”
- mody lub stron internetowych
- podstawa apartheidu
- Bartosz Kurek lub Aleksander Śliwka
- Koronny na Wawelu ze Szczerbocem
- Tristan go zabił i odciął mu język

- końcówka odkurzacza
- zdecydowanie, kategoryczność
- japońska forma zapasów
- do naczyń albo do kurzu
- „...San Francisco” – serial kryminalny
- wielki sakwojaż
- pisemny nakaz dopełnienia jakiejś formalności
- jakie weźmiemy na pożegnanie, mój kapitanie?
- zrobiona w spódnicy lub włożona do książki
- przechowywane w spizarni
- powierza komuś wykonanie usługi
- odkryte przez archeologów
- damska marynarka

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1003”. Do rozlosowania płyty „Karol Rathaus. Piano Trios” ufundowane przez DUX. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 14 marca 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1000” z nr. 8: **Człowiek zawsze na coś liczy.**
Nagrody otrzymują: Marek Kaszuba z Łodzi, Tadeusz Pilichowski z Łodzi, Wanda Spaulenok z Warszawy.

PENETRACJE

FORUM za
Städteutsche Zeitung

BILL GATES,
WSPÓŁZAŁOŻYCIEL
MICROSOFTU

Nie jesteśmy przygotowani do następnej pandemii. Mam nadzieję, że za dwa lata perspektywy będą lepsze. Jest wiele rzeczy do dyspozycji: szczepionki, testy, leki, wiedza epidemiologiczna i metody monitoringu. Ta pandemia jest okropna, ale następna może być 10 razy gorsza. Trzeba więc znaleźć globalną odpowiedź na zagrożenie. Podczas prac nad szczepionką rozwijała się ponadnarodowa współpraca uczonych, firm, organizacji międzynarodowych i rządów. Żaden kraj z osobna nie dałby rady.

TYGODNIK
ANGORA

HANNA BAKUŁA,
MALARKA

Agnieszka Osiecka była tylko raz w życiu zakochana. On nazywał się Mentzel. I to koniec. Otaczała się mężczyznami, by Zbyszek był zazdrosny. Jak spojrzymy na jej przyjaźnię, to z Umer – twórcza, z Jandą – twórcza, ze mną także, z Mentzlem też twórcza, bo on usiłował pisać, do dziś usiłuje. Najważniejsza była miłość. Ona nie mogła żyć bez miłości. Wielu w niej się kochało, ona też w wielu, choć były to takie epizodyczne fascynacje. Nie brała tematów z powietrza. Kiedy Zbyszek się z nią rozstał, napisała taką piosenkę – „Siądź z tamtą kobietą twarzą w twarz, kiedy mnie już nie będzie”. Cały utwór napisała o tym, że Mentzel miał kogoś.

VIVA!

DOROTA SEGDA,
REKTOR AKADEMII SZTUK
TEATRALNYCH W KRAKOWIE

Mam zabawną historię związaną z Czarnym Protestem. Kiedy doszliśmy na krakowski Rynek, okazało się, że jest fatalne nagłośnienie. Dziewczyny działaczki coś krzyczały, ale gigantyczny tłum stłoczony na Rynku nic nie słyszał. Uznałam, że moje umiejętności głośnego mówienia są w tej chwili potrzebne. Stałam na fontannie, przechwytywałam hasła dziewczyn i podawałam je drugiej stronie Rynku. W pewnym momencie pojawiło się hasło: „Rząd nam ciąży, rząd nam ciąży”, ale ja w tym ferworze usłyszałam: „Żądam ciąży”... Przez dłuższą chwilę połowa rynku krzyczała z entuzjazmem „Żądam ciąży”.

URODA

EWA BŁASZCZYK,
AKTORKA, ZAŁOŻYCIELKA
FUNDACJI „A KOGO?”

Dla mnie świat jest wciąż tajemnicą. Nie bądźmy tacy zarozumiali i nie myślimy, że już wszystko odkryliśmy. Nie ma co się tak nadymać. Przecież cały czas dzieją się rzeczy, które zaskakują medyków, naukowców. Uważam, że to jest głupie, żeby odwracać się plecami do czegoś tylko dlatego, że nie umiemy jeszcze tego „czegoś”. Odcięcie się od metafizycznego wymiaru świata bardzo ogranicza, sprowadza nas do roli jakichś maszynek cyborgowych, które mają jedynie jeść i spać.

Aby język giętki...

DANIEL PASSENT
O POLITYCE HISTORYCZNEJ

Historia pisana na zamówienie to nie jest nauka, tylko upaństwowione kłamstwo.

MARTA LEMPART
O WYCIĄGANIU LUDZI NA ULICĘ

Nienawidzę tego określenia, bo ludzi nikt nie wyciąga, sami wychodzą.

ANTONI SZPAK
O WYSPIE WOLNOŚCI

Na morzu zniewolonych państw europejskich Polska jest wyspą wolności, przypominającą coraz bardziej Alcatraz.

PROF. MAREK BELKA
O PRACY ZDALNEJ

Potrafie, ale jest to tak wyjawiające intelektualnie, że taka praca jest mało efektywna jakościowo.

JOANNA BATOR O KOBIECIACH

Cywilizacja została zbudowana na opresji kobiet, a zdobycze emancypacyjne są świeże i kruche.

JERZY URBAN
O TOMASZU SAKIEWICZU

Zaprosił Trumpa do portalu internetowego „Gazety Polskiej”. No to ja zapraszam królową brytyjską na piżama party.

PROF. RAFAŁ MATYJA
O ADAMIE BIELANIE

Przedkłada własną ambicję ponad lojalność, czego doświadczył też Kaczyński.

EWA SZYKULSKA
O MĘŻU ZBIGNIEWIE PERNEJU

Chyba dobrze nam razem. Na wszelki wypadek wmawiam mu to każdego dnia.

ADAM MAŁYSZ O SKOCZKINIACH

Nie jest łatwo powiedzieć młodej dziewczynie, że ma zbyt wiele kilogramów i musi schudnąć.

MAJA OSTASZEWSKA
O ODRABIANIU LEKCJI Z DZIEĆMI

One nie chodzą ze mną do pracy, a ja nie wyręczam ich w lekcjach, bo to ich własny obowiązek.



Tutaj jeszcze jest ściernisko, ale będzie... pięknie wyremontowany za publiczne pieniądze z Ministerstwa Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu zabytkowy dworek Daniela Obajtki w Borkowie Łębskim.

Ziemniak nie wyklucza

Globalny producent zabawek, firma Hasbro, zdecydował, że markę Głowa Pana Ziemniaka zastąpi Głowa Ziemniaka. Firma uspokaja, że postacie Pana i Pani Ziemniak nie znikają, a nowa nazwa po prostu lepiej opisuje popularną linię produktów, istniejącą od 70 lat. Jednocześnie wiceprezeska przedsiębiorstwa Kimberly Boyd zapowiedziała, że nowe zestawy będą zawierać wystarczająco dużo elementów, by wszystkie dzieci mogły odtwarzać rodzinę, która odpowiada ich własnej, nawet jeśli wykracza ona poza tradycyjne normy. – Ziemniaki nie reprezentują żadnej konkretnej rasy lub kultury. To ziemniaki – przypomniła.

Kradzione tuczy dżucze

Korea Północna dokonuje ataków hackerskich na giełdy kryptowalut, by finansować produkcję broni nuklearnej i pocisków balistycznych – alarmują eksperci Rady Bezpieczeństwa ONZ. Szacunkowa wartość cyfrowych aktywów skradzionych przez to państwo od końca 2019 r. do listopada 2020 r. wynosi ok. 316 mln dol. Północni Koreańczycy piorą zajmowane wirtualne pieniądze m.in. dzięki spółkom zarejestrowanym w Hongkongu. Niech ktoś zabierze Kimowi komputer...

Za bity zarobek sowity

Angielsko-francuski dom aukcyjny Christie's jako pierwszy rozpoczął sprzedaż w pełni cyfrowych dzieł sztuki. Dzięki tzw. tokenom NFT można sprzedawać i kupować na wyłączność niematerialne wytwory artystów, a także udowadniać ich autentyczność. Jako pierwszy pod młotek trafił kolaż 5 tys. futurystycznych obrazów autorstwa Mike'a Winkelmana, który ma już na koncie sprzedaż 20 cyfrowych prac 3D za 3,5 mln dol. Czytelników pragną-



cych zainwestować w e-sztukę informujemy, że Christie's przyjmuje płatności również za pośrednictwem platformy kryptowalutowej Ethereum.

Mistrz skalpela nadaje

Nadzorująca lekarzy Kalifornijska Rada Medyczna przyrzeczy sprawie chirurga plastycznego, który uczestniczył w zdalnej rozprawie sądowej podczas wykonywania operacji. Czujne oko sędziego wyłapało, że Scott Green jest ubrany w fartuch i ma na sobie maseczkę chirurgiczną. Poproszony o wyjaśnienia stwierdził, że może operować i jednocześnie być sądzonym, bo jest z nim inny chirurg. Sędzia potępił zachowanie medyka i zdecydował o przełożeniu posiedzenia w sprawie przewinienia drogowego. Ciekawe, skąd tym razem połączy się nasz zuch o podzielnej uwadze – z obiady z teściową, z partyjki golfa, a może z czynu społecznego?

Nie przesadzajmy z tą równością

Tamayo Marukawa, japońska ministra ds. równouprawnienia kobiet, nie chce, by jej współobywatelki wychodzące za mąż mogły zachowywać panieńskie nazwisko. Kodeks cywilny z 1896 r. nakazuje, by małżonkowie mieli je wspólne. Choć nie musi to być nazwisko mężczyzny, niemal zawsze właśnie panna młoda „dostosowuje się” do oblubieńca. Zyskującej popularność idei zmiany przepisów sprzeciwiają się konserwatywni parlamentarzyści,

MEMY BEZ ŚCIEMY





Siła i piękno kobiet. Umiejętności transportowe Ugandyjki i fantazyjne kurydziane nakrycie głowy kobiety z plemienia Suri w Etiopii.

w tym Marukawa – która zresztą w pracy posługuje się nazwiskiem rodowym, mimo że zgodnie z dokumentami nazywa się tak jak mąż. Kobieta kompromisu!

Nadjeżdża prawo i porządek

Policjanci na rolnych będą walczyć z plagą kradzieży na zatłoczonych ulicach największego miasta Pakistanu.

– Czuliśmy, że musimy wy-

myślić innowacyjne podejście do zwalczania przestępczości ulicznej – wyjaśnił Farrukh Ali, szef formacji. Dodał, że uzbrojonym funkcjonariuszom rolnikom łatwiej będzie ścigać złodziei na motocyklach, choć przyznał, że do wielu części Karaczi nie dotrą z powodu nierównych chodników. O tym, czy samobieżni mundurowi będą mieli na czapkach tzw. koguty, nie wspominał.

Biznesplan, że oczy wychodzą z orbit

Orbital Assembly Corporation zaprezentowała plany budowy stacji kosmicznej połączonej z hotelem. Voyager Space Station ma być gotowa w 2027 r. i mieć łącznie ponad 11 tys. m kw. powierzchni mieszkalnej. Ma oferować naukowcom, ale i turystom m.in. sztuczną grawitację, wysokiej jakości jedzenie i picie, możliwość ćwiczeń fizycznych, opiekę medyczną, wydarzenia rozrywkowe oraz piękne widoki Ziemi i kosmosu. Niestety, ceny pobytu mają być kosmiczne.



FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA, A-MEM, POLSKA ORKA POLITYCZNA, BAZ RATNER/REUTERS/FORUM, MEDIADRUMLWORLD.COM/@TORIEBOHN/MEDIA DRUM/EAST NEWS



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 **wew. 119**
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogolkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Paula Leśniewska,
Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazini, Tomasz Miłkowski,
Lech Miodek, Jan Ordynski, Wojciech Osiński (Berlin),
Rafał Pikula, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tuńłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Kornel Wawrzyński, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoredaktorzy: Magdalena Głuska,
Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: **www.sklep.tygodnikprzeglad.pl**

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtuska 120

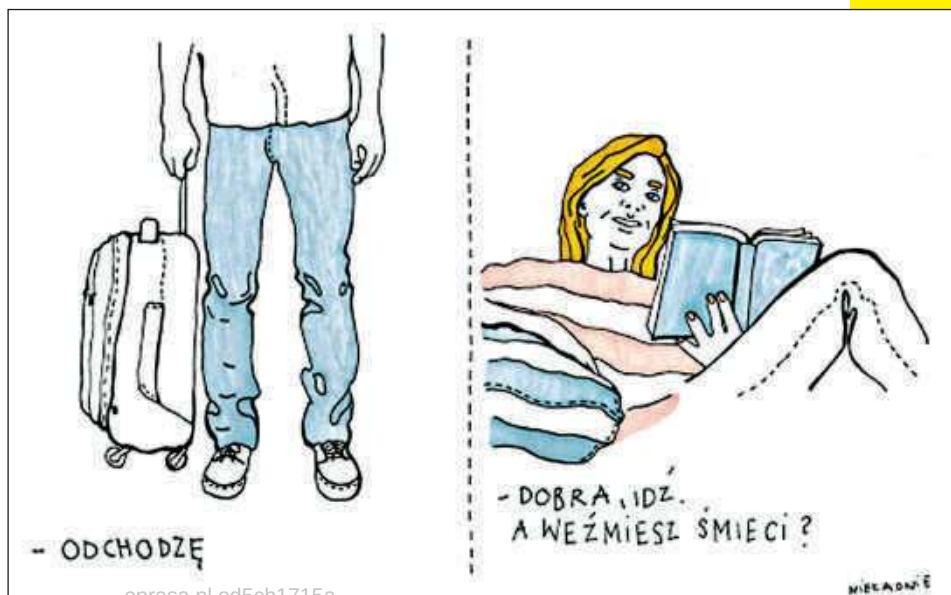
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPLPLP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



NIEŁADNIE

Kamila Szczęśniak od pięciu lat tworzy profil Nieładnie na Facebooku i Instagramie. Z humorem opowiada o absurdach życia codziennego, problemach realnych i wymyślonych. Jej rysunki demaskują perfekcyjny świat kolorowych periodyków, obsesyjną pogoń za pięknem i radość na pokaz. Dodatkowo autorka prezentuje swoją pierwszą książkę – „Nieładnie. Wielka księga fakapu”. To zbiór satyryczno-komiksowych ilustracji pokazujących, że w życiu każdego człowieka zdarzają się wzloty i upadki.

Galeria Bellotto
Warszawa,
Krakowskie Przedmieście 79
do 31 marca



KĄŻDY MA SWOJE LATO

Anita Poddębniak
Maciej Grzybowski
Nicolas Przygoda
Sandra Drzymalska

reżyseria Tomasz Jurkiewicz

w kinach od 12 marca



TVP
TELEWIZJA POLSKA



PAŃSTWOWY INSTYTUT KINEMATYKI
POLSKIE FILMY



INTEKSA

Promocja filmu
dotrainingowana z środków



PAŃSTWOWY INSTYTUT KINEMATYKI

Patronat medialny

RADIO 357

KINO

wyborcza.pl

na Temat.pl

Magazyn

ROCK

LAVIE

GŁOS KULTURY

24

bookbook
KSIĘGARNIE



Polska Akcja Humanitarna

Twój 1%   działa!

Przekaż jeden procent podatku
Polskiej Akcji Humanitarnej
KRS 0000 136 833